

ANNA LAURA RUCIŃSKA

# ZAGUBIENI

*w*

# PARYŻU

MARGINESY



ANNA LAURA RUCIŃSKA

ZAGUBIENI  
*w*  
PARYŻU

MARGINESY

*Moim Córkom –  
Laurze i Paulinie.*

Stukot obcasów po drewnianej posadzce zagłuszał myśli Valérie, tak bardzo chaotyczne tego ranka. Nie mogła sobie z niczym poradzić. Na ogół była zorganizowana, ale tego dnia wydawało się jej, że życie dzieje się poza nią. Wszystko zaczęło się poprzedniego popołudnia, kiedy odebrała telefon od dyrekcji, że jej młodszy syn znowu został usunięty ze szkoły. To już trzeci raz i Valérie miała wrażenie, że przestaje panować nad sytuacją. Rozdarta między pracą a obowiązkami wobec dzieci coraz częściej łapała się na tym, że nie jest do końca ani w pracy, ani w domu. Jej myśli krążyły gdzieś pomiędzy. W dodatku tego dnia metro, jak zwykle przepełnione, zatrzymywało się co kilka minut w tunelu, ruszało powoli i znowu stawało. Zirykowany paryżanie pomstowali, o niedogodności transportu oskarżając związki zawodowe, rząd i cudzoziemców. Valérie zastanawiała się, czy nie lepiej było wsiąść do autobusu, ryzykując z kolei stanie w korkach.

Kiedy w końcu dotarła do biura, międzynarodowy kongres do spraw kultury już się rozpoczął. Zdenerwowana wkroczyła do sali. Przemówienie jednego z przedstawicieli krajów Wschodu trwało już zapewne od dłuższego czasu. Zresztą i tak nie była w stanie się na nim skupić. Leżące na stoliku słuchawki włożyła tylko dla zachowania pozorów. Monotonny głos tłumacza przerwał na chwilę potok jej myśli – wciąż zastanawiała się, co powinna zrobić w sprawie Enza. Do tej pory zawsze interesowała się innymi kulturami i ludźmi, którzy przyjeżdżali do Paryża z dalekich i odmiennych miejsc, ale tego dnia nie potrafiła wskrzesić w sobie zaciekawienia.

Tak przebiegł cały ranek. W końcu nastąpiła oczekiwana piętnastominutowa przerwa. Valérie miała zamiar wykorzystać ją na wykonanie telefonu do szkoły syna. Może uda się jej przekonać dyrekcję, żeby dali mu jeszcze jedną szansę?

Jako pierwsza podniosła się z krzesła. Głowy przedstawicieli różnych krajów zwróciły się w jej kierunku. Była jedną z nielicznych kobiet pracujących w wymianie kulturalnej. Elegancka, wysoka, szczupła wzbudzała zainteresowanie w każdym miejscu, w którym się pojawiła, bez względu na to, czy była to konferencja, restauracja, ulica czy metro. A jej długi czarny warkocz, jako kontrast do klasycznego, odpowiedniego na każdą okazję stroju, zadziwiał. W tym czasie kobiety z jej środowiska na ogół nosiły krótkie włosy albo sięgające ramion. Ona jednak zachowała w sobie coś z cudzoziemki, postanawiając, że nie do końca podda się paryskim kanonom.

Urodzona w Australii, przywykła do wielkich przestrzeni, wolności i przyrody tak odmiennej od tej, którą zastała w Europie. Czuła się inna, bardziej wolna. Swoją otwartość rozumiała już od dzieciństwa, ucząc się języka ojca, Australijczyka, i matki Francuzki, ludzi tak bardzo się od siebie różniących. Ojciec Valérie był wysoki, brytyjski pod każdym względem, milczący i zamknięty w sobie. Matka natomiast była drobna, ruchliwa, bardzo wymagająca i zazwyczaj obrażona na cały świat. Tęskniła za Francją i być może to było powodem jej trudnego dla otoczenia charakteru. W jakich okolicznościach rodzice się poznali i dlaczego się pobrali, tego już nikt nie pamiętał, ani Valérie, ani jej liczne rodzeństwo.

Przywiązanie do ojca, jego milcząca, a jednocześnie opiekuńcza obecność już na zawsze wyrobiły w Valérie potrzebę poszukiwania tego typu charakteru u mężczyzn. Kiedy później znalazła się w szkole w Anglii, poznała dużo od siebie starszego Włocha, który spodobał się jej, bo dostrzegła w nim nietypowy dla włoskiego temperamentu spokój. Młoda niedoświadczona dziewczyna z odległego kontynentu zakochała się w Antoniu prawie natychmiast. Platoniczna miłość nie trwała długo i wkrótce Valérie zaszła w ciążę. Oboje wyjechali do Włoch, do rodzinnego miasteczka Antonia, gdzie wzięli ślub, raczej cichy ze względu na stan panny młodej i nieobecność rodziny Valérie nie do końca poinformowanej o sytuacji.

Rodzice Antonia i on sam okazali się hodowcami kur i właścicielami dobrze prosperującej kurzej ферmy. Zajęcie to pochłaniało mnóstwo czasu jej małżonka, ale niestety nie jego matka, typowej włoskiej *mammy*. Wszechobecna, spędzała z nimi większość czasu skoncentrowana na dogadzaniu ukochanemu synowi. I chociaż Valérie była zszokowana innym pojmowaniem dystansu, brakiem dyskrecji, nie potrafiła stawić czoła teściowej. Gdy po urodzeniu Mattea potrzebowała pomocy przy praniu pieluch i gotowaniu dla Antonia, wsparcie teściowej okazało się zbawienne. Niewiele korzystała z życia, nie знаła nawet dobrze małego miasteczka, w którym mieszkali, ponieważ obowiązki domowe pochłaniały cały jej czas, a ciągła obecność teściowej uniemożliwiała dłuższe spacerowanie. Miasteczko było położone w górskiej dolinie i Valérie miała klaustrofobię, z której na początku nie zdawała sobie sprawy. Dopiero po paru miesiącach uświadomiła sobie, że jej nieustanny smutek wynika właśnie z otoczenia górami, do których nie była przyzwyczajona, bo wychowała się na rozległych przestrzeniach z horyzontem w oddali.

Rok po przyjeździe na świat Mattea urodził się Enzo. A Valérie, choć szczęśliwa jako matka, miała wrażenie, że jej życie jako osoby niezależnej już się skończyło. Miała zaledwie dwadzieścia lat i już dwoje niemowląt. Była oddalona o tysiące kilometrów od rodziny, skazana na otoczone górami miasteczko i teściową, która jej w niczym nie ufała, co wyrażało się między innymi w codziennym przynoszeniu obiadów dla Antonia.

Valérie nie wiedziała jeszcze, gdzie leży prawda, jak powinna zareagować, ale czuła, że nie jest to sytuacja, w której ona, dziewczyna z Australii, powinna być się znaleźć. Antonio był dla niej dobry, był jednak tylko tym, kim mógł być mężczyzna wychowany w małym górskim miasteczku, w tradycyjnej, prostej włoskiej rodzinie, gdzie dominuje *mamma* i nic nigdy nie ma prawa się zmienić. Gdzie wszyscy od pokoleń jedzą trzy razy dziennie makaron i żadne inne danie nie ma racji bytu.

Antonio w duchu zachwycał się Valérie, podziwiał jej piękne błękitne oczy i ciężki czarny warkocz. Nie umiał jednak kochać inaczej niż po włosku, tak jak od pokoleń kochali wszyscy mężczyźni w tym małym górskim miasteczku. Nie chciał też słyszeć o podróżach do Australii ani o tęsknocie za rodziną. Valérie miała swoje obowiązki: powinna siedzieć w domu, opiekować się dziećmi, uśmiechać do teściowej i od czasu do czasu doglądać kurnika. Przekonała się również, że milczenie Antonia, które jeszcze w Anglii wydawało jej się tajemnicze i pociągające, wynika nie z jego romantycznego usposobienia czy skrytości, ale z tego, że Antonio po prostu nie ma nic do powiedzenia. Jest zupełnie innym człowiekiem, niż go sobie wyobrażała.

Dwudziestoletnia Valérie władała trzema językami (nauczyła się płynnie mówić również po włosku), doskonale znała literaturę angielską i francuską, a jej inteligencja z całą pewnością przewyższała poziom intelektualny przeciętnego obywatela świata, nawet o wiele od niej starszego. Tymczasem Antonio, mimo niewątpliwych zalet, nie był dla niej odpowiednim partnerem do dyskusji. Tego jednak, z powodu jego małomówności, Valérie nie wiedziała. Jedynym tematem, który go nieco ożywia, były kury, ich gatunki, kolory i wydajność. Faktycznie, kurza ferma, której był współwłaścicielem, prosperowała coraz lepiej, a on unowocześniał ją w miarę swoich możliwości.

Drugim tematem, który skłaniał go do mówienia, była kuchnia włoska. Makarony, sosy, pizza. Kochał jeść i zadowalał się skromnym repertuarem włoskiego menu. Innego nie znał. Nawet będąc w Anglii, żywił się tylko i wyłącznie we włoskich *trattoriach*. W jednej z nich zresztą poznał Valérie, która przychodziła tam prawie codziennie po szkole w towarzystwie swojej angielskiej koleżanki. Od razu zakochał się w jej fiołkowych oczach i czarnym warkoczu. Teraz miał ją u siebie w górskim miasteczku. I chociaż wszystko ułożyło się tak pięknie, mieli

dwóch udanych synów, Valérie była miłą i raczej uległą żoną, starającą się o dom i o niego, a nawet o jego wspaniałe kury, to jednak nie bardzo wiedział, jak ma postępować z tą dziwną w jego oczach dziewczyną. Nie rozumiał jej zamyślenia, potrzeby samotnych spacerów ani późnych wieczorów, które tak bardzo lubiła spędzać w fotelu z książką. Właściwie nie było dnia, żeby Valérie nie wzięła książki do ręki, nie zaczytała się w niej choćby przez pół godziny. Tego Antonio nie był w stanie pojąć. Nie chciał również zrozumieć jej potrzeby kontaktu z rodziną, chęci podróży do Australii, aby spotkać się z rodzicami i rodzeństwem, albo chociaż wyjazdu do Francji, żeby odwiedzić babcię. Niewiele wiedział o rodzinie Valérie, bo nigdy nie rozmawiali na ten temat. Antonio nie dopytywał, a Valérie jakby straciła ochotę do rozmów. Tolerował jej wyprawy na pocztę, gdzie regularnie nadawała listy do Australii i Francji.

Od pewnego czasu jego matka zaczęła skarżyć się na zachowanie Valérie. Mówiła, że synowa stała się mniej gościnna i nie dotrzymuje jej towarzystwa, kiedy ich odwiedza, żeby pobyć trochę z wnukami i mówić do nich po włosku. Bała się, że dzieci nie nauczą się włoskiego, jeżeli będą przebywać tylko z matką mówiącą do nich wyłącznie w jakimś obcym, niezrozumiałym języku. W dodatku któregoś dnia, kiedy jak zwykle przyniosła obiad dla swojego syna, Valérie ostentacyjnie wyrzuciła zawartość garnka przez okno i przyznała się do tego bez jakiegokolwiek poczucia wstydu. Matka nie kłamała. Antonio nieraz już widział w oczach Valérie niebezpieczny błysk, a od jakiegoś czasu pojawiał się on coraz częściej. Nie wiedział jeszcze, co to oznacza, ale postanowił uważniej przyjrzeć się poczynaniom swojej żony, różniącej się tak bardzo od żon jego braci i sąsiadów. Zauważył, że jej korespondencja z Australią stała się coraz częstsza, a listy po przeczytaniu Valérie wrzucała do pieca. Poza tym jednym szczegółem ich życie toczyło się zwykłym trybem, niewskazującym na to, że cokolwiek może się zmienić.

Jakież więc było jego zdziwienie, kiedy pewnego wieczoru po powrocie z fermy nie zastał w domu ani Valérie, ani dzieci. Wyglądało, że gdzieś wyjechali, bo zniknęła również torba podróżna, kilka sukienek i ubranka chłopców na kilka dni. Dokąd jego żona mogła się udać z małą torbą i dwojgiem dzieci pod pachą? Nie wzięła nawet wózka dla małego Enza.

Antonio nie wiedział, że Valérie spodziewa się trzeciego dziecka i uciezka z klaustrofobicznego włoskiego miasteczka była dla niej ratunkiem, by nie popaść w szaleństwo. Dusiła się już od dawna w tym zamkniętym środowisku, które nie tylko jej nie rozumiało, ale nawet nie chciało poznać jej lepiej czy zainteresować się, kim naprawdę jest. Zdecydowała więc, że listownie opowie historię swojego małżeństwa ojcu. A on natychmiast zareagował i przesyłał jej pieniądze oraz niezbędne wskazówki co do postępowania i trasy uciezki.

Valérie czekała na odpowiedni moment, kiedy teściowa nie przysłała jej odwiedzić z powodu przygotowań do chrztu u sąsiadów, a Antonio był zajęty na fermie spotkaniem z dostawcą. Listę rzeczy niezbędnych do zabrania miała już od dawna w pogotowiu. Wrzuciła wszystko do lekkiej torby podróżnej. Zarzuciła ją na ramię, obu chłopców wzięła na ręce i szybko wybiegła z domu. Było południe i gorące słońce zalewało ulice. Mieszkańcy miasteczka siedzieli w domach z opuszczonymi żaluzjami w oknach, by słoneczny żar nie dostawał się do środka.

To przedziwne, ale nikt z mieszkańców nie widział, jak Valérie z dziećmi na rękach czeka w skwarze na spóźniający się autobus. Nikt nie widział jej zaniepokojonej twarzy ani kropli potu spływających z jej czoła. Przepełniona sukienka przylegała do jej obolałego ciała, a dzieci, które wydawały się coraz cięższe, wierciły się i trudno było je utrzymać. Autobus w końcu przyjechał i po kilku godzinach męczącej drogi po serpentynach górskich dotarł do miasta. Stamtąd Valérie musiała jeszcze odbyć podróż do Rzymu na lotnisko. Całe szczęście, że miała ze sobą sporą kwotę pieniędzy, więc mogła sobie pozwolić zarówno na taksówkę, jak i smaczne jedzenie po

drodze.

Dzieci były wyjątkowo spokojne, jakby czuły, że dzieje się coś ważnego. Patrzyły tylko na matkę pytająco oczami Antonia. Tak bardzo były do niego podobne. Valérie nie czuła do męża niechęci, raczej coś w rodzaju zniechęcenia. Lubiła go na swój sposób i pragnęła zachować wspomnienia naiwnej miłości, obcej jej w tym momencie. Teraz martwiła się tylko o to, jak przetrwa tak długą, męczącą podróż.

Podczas drogi, zarówno w autobusie, w pociągu, jak i na lotnisku, mijający ją ludzie patrzyli na nią ze zdziwieniem. Niektórzy zatrzymywali się wręcz na jej widok, inni oglądali się za nią, jeszcze inni wyglądali, jakby chcieli coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedzieli co. Wywoływała zdumienie i niepokój. Młoda, piękna, zmęczona, z dwojgiem malutkich dzieci na rękach, podążająca przed siebie w tak bardzo zdeterminowany sposób.

Na lotnisku odprawa celna trwała dłużej niż powinna. Celnik powoli i pedantycznie oglądał jej paszport, zdziwiony brakiem bagażu do nadania na tak daleką podróż. W końcu przybił pieczętkę i oddał jej dokument. Valérie mogła przejść za innymi pasażerami.

Już dotychczasowa podróż bardzo ją wyczerpała, a przecież tę najdłuższą, najcięższą miała dopiero przed sobą. Siedząc w poczekalni i czekając na odprawę, starała się zebrać myśli i nieco odpocząć. Chłopcy przysnęli na jej kolanach zmęczeni drogą i upałem. Valérie zauważyła, że jakaś kobieta siedząca naprzeciwko przygląda się jej w szczególny sposób, w końcu wstała i usiadła obok.

– Kim jesteś? Przed czym uciekasz? – I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Nie bój się niczego. Pomogę ci w czasie drogi. Czekają nas daleka podróż. Ja też niejedno przeżyłam i dlatego nie musisz mi nic mówić, jeżeli nie chcesz.

Valérie rzeczywiście nie miała ochoty opowiadać historii swojego życia, ale chętnie skorzystała z uprzejmości tej obcej osoby, która mimo wszystko wydała jej się bliska, bo jako jedyna zaproponowała pomoc. Tak więc nowa znajoma imieniem Mary wniosła jej torbę i jedno dziecko do samolotu i mimo że nie siedziały razem, często przychodziła do Valérie, żeby dowiedzieć się, czy czegoś nie potrzebuje, albo zabrać jednego z chłopców, by Valérie mogła trochę pospać. Tak samo było podczas przesiadki. Mary dzieliła z Valérie ciężar noszenia dzieci i torby.

Czekając na następny samolot, lecący do Sydney, kobiety spędziły razem dwie godziny. Chłopcy, wyczerpani, leżeli na fotelach w poczekalni, a one zmęczone, lecz zadowolone, że już spora część podróży jest za nimi, przysiadły obok. Valérie nie wytrzymała i wyznała Mary, że spodziewa się trzeciego dziecka, uciekła od męża i jedzie do rodziców.

– Nie martw się, Valérie, będziesz jeszcze szczęśliwa. Jesteś dzielna, masz silny charakter i zawsze wyjdiesz zwycięsko z każdej trudnej sytuacji.

Valérie patrzyła przez jakiś czas w ciemne, mądre oczy Mary i uwierzyła jej, przyjęła jej słowa za prawdę, przepowiednię. Zapamiętała je i zawsze, kiedy zaczynała wątpić, czy uda jej się rozwiązać jakiś problem, przypominała sobie tamtą scenę na lotnisku: dwóch małych chłopców śpiących w fotelach, siebie w przepoconej brudnej sukience, Mary i jej słowa.

Na lotnisku w Sydney czekali na nią rodzice i jeden z braci. Valérie nie pamiętała prawie niczego z tamtej chwili, oprócz przenikliwego chłodu i radości. Wiedziała doskonale, że rodzina nie była zadowolona z jej związku, ze zbyt szybkiej decyzji poślubienia Antonia. Decyzji, która była oparta tylko i wyłącznie na naiwnym uczuciu. Właściwie nie знаła tego młodego mężczyzny ani jego rodziny, nie wiedziała o nim nic, wyjeżdżając do małej włoskiej miejscowości. Rodzice znali jednak charakter Valérie, jej upór i samowolność i wtedy nie byli w stanie nic zrobić, aby uchronić ją przed katastrofą. Kochali ją taką, jaką była, a teraz cieszyli się, że po tylu miesiącach przygotowań wszystko się powiodło i stała przed nimi, trzymając w ramionach ich dwóch

małych wnuków. Matka płakała ze wzruszenia i zdenerwowania. Całymi dniami rodzice wyczekiwali, nie będąc pewni, czy uda jej się wyrwać z Europy. Ojciec wziął ją w ramiona i długo trzymał w objęciach, a na jego twarzy malowało się z troską.

Opatulili ich swetrami i szalami. Podróż samochodem do ich rodzinnego domu trwała kilka godzin, a Valérie nareszcie mogła spokojnie zasnąć – już nie musiała się obawiać, że ktoś ją zatrzyma albo że policja będzie ją ścigać. Przenikliwy chłód zmęczył również dzieci, które spały teraz na kolanach u babci i wujka. Kiedy w końcu dotarli do domu, Valérie nie miała siły iść. Ojciec wziął ją na ręce i zaniósł do jej dawnego pokoju. Majaczyła i nie poznawała nikogo. Matka wezwała lekarza, a ten stwierdził stan skrajnego wyczerpania. Po tygodniu spędzonym w łóżku, przy zaciągniętych storach, doszła do siebie i kiedy wstała, choć zmęczona i słaba, była szczęśliwa, że jest w domu, w kraju, który kochała, otoczona ludźmi, którzy są jej bliscy. Już nikt się nie dziwił, że wieczorami czyta książki, że lubi się zamyślić, że ma ochotę posłuchać muzyki klasycznej. W końcu mogła być po prostu sobą.

Idylla nie trwała jednak długo. Po paru dniach pojawił się szeryf; ojciec Valérie dobrze go znał, ale dzisiaj na twarzy gościa nie było uśmiechu.

– John, zła wiadomość. Włoch zgłosił w ambasadzie ucieczkę Valérie i porwanie dzieci. Nie jest wprawdzie Sycylijczykiem, ale sprawa wygląda niewesoło. Działaj! Mam w obowiązku wysłać do ciebie moich ludzi. Przyjdą przeprowadzić ankietę i stwierdzą obecność twojej córki i dzieciaków. Najlepiej jedź z Valérie do Sydney, do ambasady włoskiej, niech od razu wystąpi o rozwód. I niech zbierze przekonujące argumenty. Tylko się nie denerwuj. Europa jest daleko.

Tymi samymi słowami uspokajał ich zaprzyjaźniony adwokat. Dobrze, że przyjechali i zajęli się prawnym uregulowaniem sytuacji, w ten sposób będą mieli spokój z policją, a Europa jest tak daleko, że i tak nic nie będzie się działo. W dodatku nie wiadomo, czy Włoch od razu nie zgodzi się na rozwód. Trzeba z nim porozmawiać.

- Antonio, to ja, Valérie, obudziłam cię? Która u ciebie godzina?
- Valérie... Czemu uciekałeś? Przecież cię kochałem. Czego ci brakowało?
- Powietrza, Antonio. Przestrzeni. Zrozumienia.
- ...
- Przyjaźni...
- Czy to za mało, że cię kochałem?
- Za mało, Antonio. Przepraszam.
- Kiedy wrócisz, Valérie?
- Nigdy nie wrócę, nie gniewaj się.
- Musisz wrócić. Brakuje mi moich dzieci. Brakuje mi ciebie.
- Kiedyś mi wybaczysz. Dzieci zobaczysz po rozwodzie.
- Co?!
- Tak, Antonio. Wystąpiłam o rozwód. Musiałam. To twoja wina. Nasłałeś na mnie policję.
- Nasłałem. Nie widziałem innej możliwości. Domyśliłem się, że uciekałeś do Australii. Widziano cię na lotnisku, ale nie było pewności, że to ty, bo trzymałaś na rękach tylko jedno dziecko. Czy to byłaś ty w pomarańczowej sukience?
- Tak.
- A gdzie było drugie dziecko?
- Na rękach Anioła, którego spotkałam po drodze.
- Valérie, co ty opowiadasz?
- Antonio, nie gniewaj się. Zgódź się na rozwód, a będziesz miał kontakt z dziećmi.



– Valérie, zabraniam ci nawet marzyć o rozwodzie. Gdy skończy się lato, masz wrócić do domu. Moja matka jest na ciebie wściekła. I ciągle płacze, że nie ma swoich wnuków.

– Powiedz jej, że jestem szczęśliwa bez jej ciągłych wizyt i kluch al dente.

Valérie rzuciła słuchawką.

Chyba nie uda im się dogadać. Na razie był jednak spokój.

Życie w Australii było przyjemne. Nikomu nie brakowało przestrzeni, dom był duży, ogród olbrzymi i Valérie właściwie nie musiała niczym się martwić. Ojciec zapewniał całej rodzinie wygodne życie, a matka poświęciła się bez reszty opiece nad wnukami, które szybko przyzwyczały się do nowych warunków. Mijały miesiące i Valérie coraz bardziej odczuwała, że znowu będzie musiała poświęcić się macierzyństwu. Lekarz był zadowolony z przebiegu ciąży. Na świat przyszła zdrowa i piękna Chiara, podobna do swoich dwóch starszych braci.

– Antonio, znowu cię obudziłam. Musiałam do ciebie zadzwonić. Poinformować cię...

– Co się stało?

– Mam córeczkę. Jest śliczna...

– Jaką córeczkę? Co ci się stało? Czyją córeczkę?

– Antonio, wczoraj urodziłam dziewczynkę.

– Kto jest ojcem?

– Jak możesz tak mówić?!

– Mało, że uciekłaś, to jeszcze zrobiłaś ze mnie rogacza!

To była ich druga rozmowa od czasu ucieczki i Valérie tym razem znowu rzuciła słuchawką.

Później dowiedziała się od matki, że podczas jej pobytu w klinice Antonio dzwonił wiele razy, ale nikt nie wiedział, o co mu chodziło. Krzyczał coś po włosku, bardzo poruszony i wściekły.

– Antonio, dzwoniłeś...

– Valérie, muszę to wiedzieć. Kto jest ojcem?

– Ty!

– Nie wierzę.

Znowu cisnęła słuchawką.

Po kilku dniach ponownie zadzwonił.

– Valérie, wyślij zdjęcie dziecka.

– Dobrze.

– Jak ma na imię?

– Chiara.

– Ładnie.

– Valérie, widziałem zdjęcie... To moje dziecko.

– Twoje.

– Kiedy wrócisz?

– Nigdy.

– Tak bardzo żałuję, że zgodziłem się, by wpisać chłopców do twojego paszportu...

Byłem chyba naiwny... Co z dziećmi?

– Zobaczysz je po rozwodzie.

Taki był schemat ich rozmów przez następne miesiące. Rodzice namawiali ją, żeby przestała z nim dyskutować, ale ona nie umiała postępować inaczej. W końcu był ojcem jej dzieci i czuła potrzebę informowania go, jak się rozwijają i co nowego potrafią robić. Czasami wysyłała mu zdjęcia.

W końcu po dwóch latach zgodził się na rozwód.

– Antonio, jedziemy całą rodziną do Francji. Będziemy przez dwa miesiące w Burgundii. Możesz przyjechać zobaczyć dzieci. Chiara ma już ponad dwa lata. Matteo i Enzo są niezdolni, ciągle coś broją. Wsiądziesz do samolotu z Rzymu do Paryża, później pojedziesz pociągiem do Chalon. Dokładny adres wyślę ci pocztą. O resztę dowiedz się sam.

– Przyjadę.

Podróż była jak zwykle trudna i skomplikowana. W Paryżu zatrzymali się u brata matki Valérie. Jean nie przypominał nerwowej siostry. Był spokojny albo raczej pozornie spokojny. Do każdego posiłku wypijał co najmniej dwie lampki czerwonego wina, a papierosy zapalał jeden od drugiego. Czasami zdarzało mu się nie trafić w popielniczkę i gasił papierosa na obrusie. Jego niemiecka żona, Elke, chyba przyzwyczała się już do zachowania męża i nie komentowała codziennych domowych strat. Mówiła głośno, trochę jakby pokrzykiwała, i raniła wszystkim uszy swoim niemieckim akcentem. Nie była złą kobietą, wręcz przeciwnie, nieustannie starała się pomagać ludziom w potrzebie. Na tym zresztą polegała jej praca w Amnesty International. Nie umiała jednak wzbudzić spontanicznej sympatii ani swojego otoczenia, ani rodziny. Valérie zastanawiała się, czy to z powodu jej strasznego akcentu, czy chłodu, jaki wokół siebie rozsiewała, czy może niemieckiej szorstkości. Nie była ani brzydka, ani niemila, a mimo to nie zjednała sobie ich serc. Jedyne z uprzejmości okazywali jej sympatię. Najgorszy afront robiła jednak Elke burgundzka babcia Valérie. Przez te wszystkie lata nigdy nie przyjęła Elke ani jej rodziny w swoim salonie w Burgundii. Oznajmiła wszystkim, bardzo oficjalnie, że żaden Niemiec, nawet jeżeli jest to jej synowa, nie ma prawa wejść do jej salonu. Tak więc Jean i Elke, jak również ich dwoje dzieci przebywali w wakacje w Burgundii wszędzie, w całym olbrzymim domu burgundzkiej babci, nawet w jej sali bilardowej na ostatnim piętrze, w rozległej jadalni czy bibliotece, ale nie w salonie. Elke zносиła te upokorzenia bez najmniejszego komentarza. Nikt nigdy nie dowiedział się, czy było to dla niej przykre. Zachowywała się tak, jakby nie zauważała afrontu. Zajęta swoimi sprawami nie mówiła wiele ani o tym, co zaprzętało jej myśli, ani o swojej niemieckiej rodzinie. Żyła w Paryżu tak, jakby się w nim urodziła. W każdy piątek urządzała kolacje dla uchodźców politycznych. Były to niezwykle interesujące spotkania, jako że bez względu na narodowość przychodzili na nie na ogół ludzie światli, mający wiele do powiedzenia. Jeśli chodzi o stronę kulinarną, Elke udostępniała im swoją kuchnię, a zadaniem uchodźców było przygotowanie ich narodowego posiłku. Jean uwielbiał te spotkania, i chociaż sprawiał wrażenie nieobecnego, z kieliszkiem czerwonego wina, które niechcący rozlewał po obrusie, i nieodłącznym papierosem, to wsłuchiwał się w dyskusje i następnego dnia opowiadał swoim kolegom na Sorbonie o niesamowitych przeżyciach uchodźców.

Po przyjeździe do Francji rodzina Valérie zatrzymała się na dwie noce w małym paryskim mieszkanku Elke i Jeana przy rue des Écoles. Valerie z dziećmi, jej siostra i bracia zostali umieszczeni w trzypokojowym, dodatkowym mieszkaniu na czwartym piętrze. Rodzice natomiast w pokoju gościnnym w mieszkaniu Elke i Jeana znajdującym się na pierwszym piętrze.

Paryż, rozświetlony słońcem, hałaśliwy, z przeróżnymi zapachami, przeważnie kawy, perfum i innymi, niedającymi się określić, wywołał w Valérie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy przyjeżdżała tutaj w odwiedziny. Matka była wtedy szczęśliwa, że jest nareszcie w swojej ukochanej Francji. Ojciec jednak, bardziej milczący niż zwykle, był pochłonięty własnymi myślami.

Na stacji w Chalon czekał na nich kuzyn. Ponieważ nie mogli zmieścić się do jednego samochodu, musieli dodatkowo wziąć taksówkę. Od stacji do domu babki było jeszcze około pięćdziesięciu kilometrów. Wyboiste drogi zalane słońcem zdawały się te same co siedemdziesiąt czy sto lat temu. Czas się tutaj zatrzymał.

Valérie niecierpliwie wyczekiwała widoku domu, który wyłonił się zza drzew. Długa

aleja wiodąca do wejścia była jakby udekorowana po obu stronach platanami. Stary, olbrzymi, trzypiętrowy dom wydawał się mniej ponury w promieniach słońca. Kiedy pojawili się na podwórzu, rozległo się szczekanie psów, które miały oddzielny domek z ogródkiem, przylegający do zabudowań gospodarczych. Beagle nie miały jednak prawa opuszczać swojego terytorium. Teraz poznały, że rodzina przyjechała, i dawały upust radości w przeczcuciu zbliżających się polowań w pobliskich lasach.

Valérie, wchodząc do hallu, poczuła znany jej od dawna zapach starych mebli, zapach tego właśnie domu, jakże innego od ich australijskiego przestronnego i jasnego domostwa. Babcia jak zwykle przebywała w salonie na parterze i oczekiwała ich, siedząc w swoim ulubionym olbrzymim fotelu. Wszystko było na dawnym miejscu; wielki dębowy stół pokryty szaroniebieskim obrusem w drobne różowe kwiatki, pochodzącym z XIX wieku. Pozostałe meble, typowe dla burgundzkich domów, pamiętały jeszcze czasy sprzed rewolucji.

Kiedy wszyscy stanęli w progu salonu, babcia obrzuciła każdego z nich zimnym, przenikliwym spojrzeniem. Sprawiała wrażenie osoby chłodnej i bezwzględnej i prawdopodobnie taka też była, ale ci, którzy ją lepiej znali, wiedzieli, że umiała gorąco kochać najbliższych, miała olbrzymie poczucie więzi rodzinnej, a swoim silnym charakterem wzbudzała szacunek. Teraz na długi czas zatrzymała spojrzenie na Valérie i jej dzieciach. Wszyscy wyczekiwali w milczeniu, z zapartym tchem, jaka będzie jej reakcja. Valérie, jej ukochana, nieznośna wnuczka złamała wszystkie konwenanse. Matka Valérie doskonale wiedziała, ile bólu sprawiły babci wiadomości o nowym życiu wnuczki, jej dziwnym małżeństwie, o dzieciach, których do czasu ucieczki z Włoch nikt z rodziny nie widział. Dzieci zachowywały się nadzwyczaj spokojnie, zahipnotyzowane wzrokiem babci.

W końcu babcia oderwała od nich wzrok, jakby się lekko uśmiechnęła i zwróciła się do matki Valérie:

– Dzień dobry, Nicole, wyglądasz blado po podróży. Podejdź tu bliżej z dziećmi. Niech je poznam. To w końcu moje prawnuki. Jesteśmy dużą rodziną. Jak się masz, John? Jak tam interesy w Australii? Valérie, powiedz Marii, żeby przyniosła herbatę, a kolację przygotowała wcześniej niż zwykle. Jesteście zmęczeni po podróży.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Najgorsze przypuszczenia co do reakcji babci na nową sytuację Valérie okazały się bezpodstawne.

Podczas kolacji, kiedy wszystkim dopisywał dobry humor z prostego powodu bycia razem, w rodzinnym gronie, w rodzinnym domu, przy stole zastawionym smacznymi daniami, z butelką czerwonego burgundzkiego wina, która pokazała już swoje dno, i służąca przyniosła następną, Valérie zdobyła się na odwagę, żeby poinformować babcię o wizycie Antonia.

– Babciu, Antonio chciałby się spotkać z dziećmi, więc zaproponowałam mu, że może tutaj przyjechać.

Zapadło milczenie. Sztuńce zawisły w powietrzu. Matka zmroziła Valérie wzrokiem. W jednej chwili wyraz twarzy babci uległ zmianie. Znowu pojawiły się na niej zmarszczki, a rozświetlający ją przed chwilą blask zniknął.

– Nicole – zwróciła się do córki. – Wiedziałaś o tym?

Matka Valérie jak mała dziewczynka zaczęła przewracać oczami.

– Mamo, czy mama wie, jaka to skomplikowana sprawa? Antonio nie chciał się zgodzić na rozwód. To był jedyny sposób.

– Nicole! Dlaczego dopuściłaś do tej sytuacji? Dlaczego pozwoliłaś wyjechać Valérie do Anglii? Jeżeli chciałaś, żeby studiowała w Europie, mogła przyjechać do Francji. Gdyby tam nie pojechała, nie poznałaby tego całego Włocha.

– Mamo...

– Babciu...

– Przecież mama dobrze wie, że gdyby przyjechała do Francji, nie mieszkałaby tutaj w Burgundii, lecz w Paryżu.

– I mogłoby się skończyć jeszcze gorzej, bo poznałaby tam na przykład jakiegoś Araba – odezwał się ktoś z końca stołu, chyba jakaś tutejsza ciotka.

Na początku sierpnia pojawił się Antonio. Wsiadł z taksówki w jasnym garniturze i słomkowym kapeluszu. Wyglądał bardzo przystojnie i trochę egzotycznie z opaloną twarzą i ciemnymi włosami sięgającymi prawie ramion.

Serce Valérie zabiło mocniej, kiedy wybiegła na ganek. Nie spodziewała się jego wizyty tego ranka i już prawie zapomniała, że miał przyjechać.

We wszystkich oknach pojawiły się zaciekawione twarze rodziny. Wydawało się, że Antonio odgrywa jakąś rolę teatralną, sądząc ze sposobu, w jaki wysiadł z taksówki, wkraczał na ganek czy witał się z Valérie. Kiedy weszli do hallu, cała rodzina już tam na nich czekała, łącznie z rodzicami i ciotkami. Tylko babcia została w swoim pokoju. Valérie przedstawiła członków rodziny i starała się wprowadzić miłą atmosferę, a Antonio nie szczędził wysiłków, by wszystkich oczarować. I jak się później okazało, osiągnął swój cel.

Powitanie z dziećmi, a zwłaszcza łyzy młodego ojca, wzruszyło wszystkich. Antonio usiadł w swoim ślubnym garniturze na podłodze razem z dziećmi i bawił się z nimi klockami. Trudno go było odciągnąć na herbatę, nawet kiedy wszyscy siedzieli już przy stole.

– Powiedz mu, Valérie, że powinien nauczyć się angielskiego. Jak ma z nami rozmawiać? To bardzo męczące takie ciągle czekanie na to, co przetłumaczysz – zauważyła matka.

– Mamo, on już tu więcej nie wróci. Przyjechał tylko zobaczyć się z dziećmi. To był warunek, że da mi rozwód.

– To wcale nie takie pewne, kochanie. Przecież widzisz, jaki ma stosunek do dzieci.

Wieczorem, kiedy siedzieli z Antoniem na schodkach ganku, a niemal wszyscy już od dawna spali, Valérie starała się poruszyć temat rozwodu.

– Valérie, nie chcę rozwodu. Mamy troje dzieci. Podobasz mi się w dalszym ciągu. Moja matka jest bardzo nieszczęśliwa, że uciekłaś. I wstyd jej przed sąsiadami.

– Nic mnie nie obchodzi twoja matka ani jej sąsiedzi. Obiecałeś!

– No niby obiecałem, ale nie mam przekonania do rozwodu.

– Jak długo zamierzasz tu zostać? – zapytała ze złością Valérie.

– Jeszcze nie wiem. Parę dni, może tydzień. Aż zgodzisz się wrócić ze mną do domu.

Valérie zdenerwowana uciekła na górę i zamknęła się w swoim pokoju. Upływały kolejne podobne do siebie dni, pełne pozorów, uprzejmości, wspólnych posiłków, podczas których dominowała miła atmosfera, spacerów po łąkach i leśnych ścieżkach. Nawet ciotki brały udział w tych wszystkich letnich atrakcjach. Nikt, nawet matka, nie domyślał się, jak bardzo Valérie była rozczarowana i niespokojna. W końcu po tygodniu Antonio, zniechęcony chłodem Valérie, oświadczył, że wyjeżdża.

Następnego ranka pod dom podjechała taksówka. Antonio wsiadł do niej w tym samym ślubnym garniturze, w którym przyjechał. Valérie wydawało się, że dzieci patrzą na niego zdziwione i nie rozumieją do końca, kim jest, dlaczego przyjechał i dlaczego teraz wyjeżdża. Rodzice pożegnali się z nim serdecznie i zapraszali go do Australii. Ciotki jeszcze długo stały na ganku i machały chusteczkami. Nawet babcia, która przez ostatnie trzy dni nie opuszczała swojego saloniku, wyszła na chwilę do hallu podać mu dłoń.

Kto zrozumie Valérie i jej problem? Już nie po raz pierwszy poczuła się samotna w tej sytuacji, która ją zdecydowanie przerastała, a teraz na dodatek była rozczarowana faktem, że wszyscy tak łatwo dali się nabrać na grę Antonia.

Kiedy wieczorem po kolacji siedziała w swoim pokoju, nagle ktoś zapukał do drzwi. To była Maria.

– Pani prosi panienkę do siebie – zakomunikowała z portugalskim akcentem.

Babcia czekała w saloniku. Siedziała jak zwykle w fotelu obok okna i wyglądała na zamysloną.

– Valérie, kochanie, dobrze, że przyszedłaś, musimy porozmawiać.

I zachęciła ją, żeby usiadła w fotelu koło niej.

– Co się stało, babciu?

– Długo myślałam o twojej sytuacji, obserwowałam, co się tutaj dzieje, i muszę ci wyznać, że rozumiem twoją decyzję.

– Naprawdę babcia rozumie?

– Tak. Antonio umie czarować, wszyscy dali się nabrać na jego grę, łącznie z twoimi rodzicami. Ja też dałabym się nabrać, gdybym była młodsza i mniej doświadczona. On nie jest złym człowiekiem, tylko brak mu wychowania, a poza tym ma typową naturę Południowca.

– To nie tylko to, babciu. Ta jego okropna rodzina. Matka to prawdziwa włoska matrona. I to jego kurze gospodarstwo.

– Tak, wiem. Twoja matka opowiedziała mi o wszystkim. Masz jednak troje dzieci i on jest ich ojcem. To nie ulega wątpliwości. Są do niego bardzo podobne.

– Babciu...

– Valérie, bardzo polubiłam twoje dzieci. Naprawdę bardzo.

– I co ja mam teraz zrobić? On nie chce mi dać rozwodu. Chce, żebym do niego wróciła.

– A ty nie chcesz.

– Nie chcę.

– Rozumiem cię. Ja też bym nie chciała. Dlatego muszę się zastanowić, co dalej robić.

– To znaczy, że babcia jest po mojej stronie.

– Jestem, i ci pomogę.

Po paru dniach babcia znowu zaprosiła Valérie na rozmowę.

– Valérie, zamieszkaż we Francji. Rozmawiałam z Jeanem, załatwi ci pracę w Paryżu, a wakacje będziesz spędzała z dziećmi tutaj, w Burgundii. Przemyśl to.

Upalne dni sierpniowego lata rozłeniwiły rodzinę. Babcia często przez całe dnie zostawała w swoim pokoju. Pisała coś w dzienniczku. Maria przynosiła jej posiłki i popołudniową herbatę, zawsze na tej samej tacy, na tym samym porcelanowym serwisie, kremowym w błękitne kwiatki, który przeżył prawdopodobnie rewolucję. W domu nawet w najgorętsze dni panował miły chłód, więc dopiero przed zachodem słońca babcia wychodziła na ganek, siadała w wielkim wiklinowym fotelu i przyglądała się swoim prawnukom bawiącym się przed domem na trawie. Wyglądała zawsze na zadumaną, ale nikt, nawet jej własne dzieci, nie ośmielał się dopytywać, co zaprzęta jej myśli. Czasami na jej srogiej twarzy pojawiał się uśmiech i wówczas cała rodzina wpatrywała się w nią, czekając, co powie. Dawało się wtedy odczuć jakby powiew świeżego powietrza, czegoś lekkiego i niosącego poczucie bezpieczeństwa. Czasami mówiła o rzeczach zupełnie banalnych, ale w jej ustach nabierały one wielkiej wagi. Innym razem wspominała dawne czasy. Te sprzed pierwszej wojny światowej. Jakże inne było wówczas życie od tego teraz, którego babcia nie rozumiała. Przyznawała też, że często żyje przeszłością. Czasami zaczynała opowiadać jakieś historie o swoich rodzicach i dziadkach i nagle milkła, a jej twarz pochmurniała. Były też wieczory, kiedy opowiadała o koszmarze wojny, jak się tutaj mówiło Wielkiej Wojny, bo pierwszą wojnę światową we Francji uważa się za wielką i bohaterską. Opowiadała o tym jednak tylko wtedy, kiedy akurat nie było z nimi Jeana i jego niemieckiej żony. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem, chociaż niektóre z tych historii babcia

opowiadała już wiele razy, a oni przeżywali je razem z nią na nowo, oczyma wyobraźni widząc przed sobą przesuwające się jak na filmie obrazy. Później babcia milkła, skrupulatnie przyglądała się każdej z otaczających ją przejętych twarzy, wstawała i szła do swojego pokoju.

W końcu nadszedł dzień wyjazdu, pakowania bagaży, bardzo licznych, do taksówek i moment rozstania. Babcia stała na ganku i patrzyła na całe to zamieszanie. Beagle ujadły w swoim ogródku, a Maria i jej mąż, Paulo, pomagali jak mogli upychać walizki i liczne pakunki. W końcu taksówki ruszyły, a Valérie przez otwarte okno wykrzyknęła: „Babciu, napiszę”.

I znowu podróż pociągiem, i znowu kilkudniowy pobyt w paryskim mieszkaniu Jeana i jego niemieckiej żony. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Jean i Elke byli udanym małżeństwem. Rozmawiali ze sobą dużo, a wieczorami czytali sobie na głos książki, literaturę z najwyższej półki. Nikt jednak nie mógł tak naprawdę zrozumieć tego związku, a zwłaszcza upodobania Jeana do wsłuchiwania się w niemiecki akcent żony.

Valérie, będąc teraz kilka dni w Paryżu, starała się sobie wyobrazić, jak by to było mieszkać tutaj na stałe, pracować, posłać dzieci do szkoły. Był jednak koniec sierpnia i nawet puszczając wodze wyobraźni, nie było łatwo to sobie zobrazować. Miasto było jeszcze opustoszałe, nieliczni przechodnie snuli się leniwie po rozgrzanych ulicach. Nie było też rozwrzeszczanych dzieci biegnących do szkoły. Postanowiła tego typu rozmyślania odłożyć na później. Nie powiedziała także nikomu o propozycji babci, a wujek Jean – jak zwykle zamysłony i zamknięty w sobie – również dochował tajemnicy.

Po powrocie do Australii każdy zajął się własnymi sprawami, a rozmowy o burgundzkich wakacjach po paru dniach zeszyły na dalszy plan. Wkrótce stały się tylko wspomnieniami, do których nikt już nawet nie wracał.

Pewnego grudniowego dnia przyszedł od Antonia telegram, w którym informował, że przyjedzie na święta. Valérie pobladła i zacisnęła pięści: „Wcale go nie zapraszałam!”.

– Valérie, uspokój się, kochanie, przecież to ojciec twoich dzieci, a poza tym jest taki miły.

– Mamo, jak możesz tak mówić, przecież wcale go nie znasz.

Wybiegła poruszona do swojego pokoju i od tego dnia zaczęła poważnie rozmyślać nad propozycją babci.

Antonio przyjechał, tak jak zapowiedział. Kiedy taksówka zatrzymała się przed domem, wysiadł z niej, uśmiechnięty, ubrany tak jak w Burgundii i tak jak w dniu ich ślubu, tylko włosy miał krótko ostrzyżone.

– Ale tu przestrzenie! Jaka wspaniała przyroda! A po drodze widziałem prawdziwe kangury!

Valérie skrzywiła się ze złości, a jej rodzeństwo wybuchnęło śmiechem. Wszystkim wydał się nagle trochę głupkowaty, zwłaszcza że wykrzyczał to łamaną angielszczyzną, wyczoną z jakiejś książki dla turystów.

Święta upłynęły pod znakiem humorów Valérie. Czasami prawie nie wychodziła ze swojego pokoju i pojawiała się tylko po to, by zająć się dziećmi. Innym razem siła się na uprzejmość, siedziała wówczas ze wszystkimi w salonie i nawet starała się pomóc w trudnej dla wszystkich komunikacji z gościem, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej uciążliwa.

Antonio po świętach wyjechał, zapowiadając, że niedługo wróci, bo Australia bardzo mu się podoba, a rodzina jego dzieci jest miła i gościnna, tylko burgundzka babcia wydaje się trochę dziwna, ale przecież nie przyjedzie do Australii. Nie, nie przyjedzie. To dla niej za daleko. Jest już zmęczona i nieco schorowana, chociaż dokładnie nic na ten temat nie wiadomo, bo nic konkretnego jej nie dolega, poza starością. Tak więc Antonio postanowił częściej odwiedzać ten

odległy kontynent, a może nawet osiedlić się tutaj na stałe. Zna się przecież na hodowli zwierząt i mógłby rozkręcić jakiś interes, a John na pewno mu w tym pomoże.

Valérie nie mogła słuchać tych wywodów i kiedy w końcu Antonio wsiadł do taksówki wiozącej go na lotnisko, oddaliła się, nie czekając nawet, aż taksówkarz włączy silnik i ruszy.

Napisała długi list do babci, będący początkiem ich częstej korespondencji. Zastanawiała się w niej wspólnie, jak wprowadzić w życie plan, który nabierał teraz coraz bardziej wyraźnych kształtów.

Życie rodzinne biegło własnym rytmem, rozległy dom wypełniała wrzawa dzieci, które – przyzwyczajone teraz do przestrzeni i wolności – rozbiegały się po ogrodzie i często przynosiły ze sobą jakiegoś zagubionego małego zwierzaka: kangurka czy misia koalę. Jak się przystosują do życia w Paryżu, innego klimatu, tylu ograniczeń? Babcia poradziła, żeby Valérie przyjechała z dziećmi „na próbę”, na przykład zimą.

I tak się stało. Śniegu wprawdzie tego roku nie było, ale temperatura dochodziła do minus dziesięciu stopni Celsjusza. Dzieci, mimo że ciepło ubrane, wracały na obiad do domu przemarznięte, bo gubiły gdzieś po drodze rękawiczki i szaliki. Tuż po kolacji natychmiast zasypiały, przemęczone ciągłym zimnem zarówno na dworze, jak i w niedogrzanym domu. Wówczas Valérie szła do babci, bo dopiero wtedy miały czas tylko dla siebie. Maria przynosiła im tacę z herbatą i upieczonymi przez siebie cytrynowymi babeczkami, po czym usuwała się dyskretnie, zostawiając je same.

– Valérie, moje pobudki namawiania cię na przeprowadzkę do Francji są częściowo egoistyczne. Chcę cię mieć blisko siebie. Od czasu śmierci twojego dziadka czuję się bardzo samotna. Z rodziną nie zawsze mam ochotę rozmawiać. Oni się mnie boją, a więc nie są szczerzy. Czasami mam wyrzuty sumienia, że tak zachęcam cię do przyjazdu. Ale myślę, że jesteś zbyt inteligentna, by siedzieć w Australii. Popatrz na swoją matkę. Zupełnie tam zgłupiała.

– Babciu...

– No dobrze. W sumie jest teraz w lepszej formie fizycznej, niż jak mieszkała tutaj.

– Babciu, może oni wszyscy wrócą kiedyś do Francji.

– Pewnie wrócą, ale mnie już wtedy nie będzie na tym świecie.

Ich rozmowy były przeplatane długimi chwilami milczenia. Siedziały wygodnie w fotelach, opatulone w wełniane szale, wpatrywały się i wsłuchiwały w ogień trzaskający w kominku.

– Idź już spać, Valérie. Jutro wstajesz wcześniej, jedziecie z Marią do Dijon kupować materiały. Ona nauczy cię szyć.

– Dlaczego, babciu? Już mnie kiedyś babcia uczyła szyć.

– Ale dla twoich lalek. Teraz nauczysz się szyć sukienki dla siebie. Jak zamieszkasz tutaj, będziesz chciała być dobrze ubrana. Jesteś zdolna i będziesz bywać w świecie. Nie zawsze gotowe sukienki są dostatecznie ładne. A te ładne nie zawsze tanie. No idź już.

Skoro świt wyruszyły w drogę. Najpierw taksówką do Chalon, a później pociągiem do Dijon, gdzie spędziły prawie cały dzień. Kupiły materiały na cztery sukienki i wykroje; Valérie sama wszystko wybrała. W drodze powrotnej Maria stała się bardziej rozmowna.

– Zobacz panienska, to nie takie trudne, a radość wielka. I satysfakcja. Najpierw wypierzemy materiały, na wypadek gdyby miały się skurczyć, później wyprasujemy i będziemy kroić...

– Mario, dlaczego mieszkasz we Francji? Nie kochasz Portugalii?

– Kocham. – W ciemnych oczach Marii pojawiły się dwie ogromne łzy. – Wrócimy tam z Paulem, jak będziemy na emeryturze.

– Jaka, Mario, jest ta twoja Portugalia?

– Jest piękna. I słońca dużo. A pelargonie są wielkości waszych begonii.

– Czyli słońca też ci brakuje.

– Tak, panienko.

– I mnie też go będzie pewnie brakowało, jeżeli zamieszkałam we Francji. W Australii jest tyle słońca. I zupełnie inne zwierzęta i rośliny. Tutaj jest często ponuro, a zimą trzeba nawet nosić rękawiczki.

– Nie każdej zimy, ale przeważnie jest zimno.

– Jaki jest twój prawdziwy zawód, Mario?

– Wykształcona byłam na nauczycielkę, ale zaraz po szkole przyjechałam do Francji.

I szybko znalazłam pracę. Panienci babcia chciała mieć wykształconą służącą.

Valérie wybuchnęła śmiechem. Tak długo się śmiała, że skromna i pełna rezerwy Maria również do niej dołączyła. Obie zanosily się śmiechem, aż pozostali podróżni odwrócili głowy w ich kierunku.

– Och ta babcia... Ale kocham ją bardzo.

– Ja też, panienko. To bardzo dobry człowiek. Tylko na zewnątrz jest taka zimna.

Przez następne dni w każde popołudnie zabierały się razem do szycia. Najpierw kroily, później fastrygowały, a następnie Valérie zasiadała przy starej maszynie do szycia, jeszcze na pedał nożny, i przesywała fastrygę. Po tygodniu miała już dwie piękne sukienki. Po trzech tygodniach szycie stało się jej pasją i znowu musiały jechać po kolejne materiały. Tym razem wybrały się do Paryża, do Marché Saint-Pierre. Był tam też duży sklep Reine, ale ekskluzywny i drogi, więc postanowiły zostawić go na przyszły rok, kiedy Valérie będzie już dobrze szyła.

Obladowane pakunkami wspięły się po schodach do bazyliki Sacré Cœur. Musiały się przeciskać przez tłum licznych grup turystów z całego świata oraz czarnoskórych sprzedawców koralików, naszyjników i innych egzotycznych pamiątek. Valérie po raz pierwszy odwiedziła bazylikę. Często widywała ją z daleka, gdy jako mała dziewczynka przyjeżdżała do różnych dzielnic Paryża. Wybudowana na wzgórzu, widoczna z okien wyższych budynków czarowała ją bizantyjskim kształtem i bielą odbijającą słońce. Była jak księżyc w pełni. Słyszała również wiele razy, jak Elke opowiadała o niezwykłej historii tego miejsca. Jak to dwóch francuskich przemysłowców podczas wojny francusko-pruskiej poprzysięgło sobie, że jeżeli Paryż ocaleje, to w podziękowaniu za zachowanie miasta sfinansują budowę bazyliki.

Po prawej stronie od wejścia znajduje się ołtarz świętego Michała Archaniola. I tam zatrzymały się najdłużej. Olbrzymia postać pierwszego rycerza aniołów, wyrzeźbiona w kamieniu, wywarła na nich ogromne wrażenie. Obie stały przed nim zagłębione we własnych myślach.

Kolejne trzy dni spędziły na zwiedzaniu Paryża. Valérie znała go trochę z dzieciństwa, ale bardziej z opowieści matki, która w chwilach nostalgii opowiadała dzieciom o każdym zakątku tego miasta. Prawdopodobnie je idealizowała, ale być może w czasach dzieciństwa Nicole miało ono swój niezwykły urok, który tak bardzo ujął urodą i jedynym w swoim rodzaju klimatem tylu cudzoziemców. Stworzył też pewnego rodzaju mit, który przetrwał bardzo długo, nawet w okresie, gdy niektórzy uznali Paryż za miasto umarłe lub upadłe. Teraz jednak, na początku lat siedemdziesiątych, było tu dosyć miło i wszystko wydawało się możliwe. Przed kawiarniami i bistrami stały stoliki, a przy nich tłoczyli się paryżanie. Siedzieli, nie mając poczucia czasu i nie czując najmniejszej potrzeby jakiegokolwiek zmiany. Bo niby po co zmieniać? Życie było przecież wystarczająco komfortowe: jedzenia pod dostatkiem, i to smacznego, pracę łatwo znaleźć, kino na niemal każdej ulicy. Atmosfera jak we francuskich filmach. Turyści, którzy przyjeżdżali zwiedzać miasto, mieli ochotę zostać tutaj na zawsze. Czuli się prawdopodobnie jak bohaterowie jednego z filmów, który widzieli ostatnio na dużym ekranie.



Valérie z Marią od rana do wieczora spacerowały po Paryżu, podziwiając fasady kamienic, prawie wszystkie w tym samym haussmanowskim stylu, wdychając zapach kawy, który rozchodził się na każdej ulicy z licznych kawiarni, i oglądając kolorowe wystawy sklepowe. Udały się do domu handlowego Printemps; na zewnątrz wydał im się niezwykle piękny ze względu na dekoracyjne płaskorzeźby i połączoną kopułę, ale kiedy weszły później do Galerii Lafayette i podniosły głowy, ujrzały jeden z cudów architektonicznych. Olbrzymia kopuła, wzniesiona na początku dwudziestego wieku w typowym secesyjnym stylu, z licznymi krużgankami, jakby balkonikami, nieskończoną liczbą witraży w najpiękniejszych kolorach, płaskorzeźbami oraz niezliczonymi motywami kwiatowymi i roślinnymi w dominującym złotym kolorze. Nie były w stanie oderwać oczu od przepychu dekoracji. W każdej sekundzie odkrywały nowy element wykonany na sklepieniu. W dodatku jako osoby wrażliwe czuły, że panuje tam niesamowita energia wibrująca od kopuły aż do samego dołu, gdzie znajdowały się stoiska różnych luksusowych firm.

Innego dnia udały się do domu towarowego Bon Marché w jednej z najbardziej burżuazyjnych dzielnic Paryża. Tam z kolei panowała inna atmosfera. Kompletny spokój, jakby wszystko toczyło się na zwolnionych obrotach. Sprzedawczynie, sprawiające wrażenie, jakby ich uśmiech był przyklejony do twarzy jakąś niewidoczną taśmą klejącą, obsługiwały wymagające, często rozkapryszone damy z dzielnicy. Owe damy, niektóre z nich raczej damusie, jak też skromne, ale eleganckie kobiety pochodzące z dobrych rodzin, uważały Bon Marché za swój sklep dzielnicowy i zaopatrywały się w nim w garderobę i kosmetyki. Wszystko było tu wyważone i w dobrym guście, ale brakowało rozmachu i dynamiki Galerii Lafayette. A może tutaj, w tej mieszczańskiej dzielnicy rozmach byłby nie na miejscu?

Na tyłach sklepu, przy rue du Bac, znajduje się znane na całym świecie sanktuarium Matki Bożej od Cudownego Medalika. Te medaliki można zobaczyć na szyjach wiernych z całego świata. Wchodzi się tam inaczej niż do innych kościołów w Paryżu. Najpierw trzeba przejść przez bramę od ulicy, później posuwać się jakby długim podwórzem, po którego prawej stronie mieszczą się różne przykościelne biura, i dopiero na końcu tego podwórkowego korytarza znajduje się wejście do sanktuarium. Obie z Marią weszły tam i zastygły, przejęte panującą wewnątrz atmosferą skupienia. Valérie nie bardzo wiedziała i nie rozumiała, co czuje. Maria wydawała się bardziej opanowana. Później dowiedziały się od Elke, że ta ukryta w podwórzu paryska kaplica to znany cel pielgrzymek z całego świata. Stąd pochodzą cudowne medaliki na pamiątkę ocalań od epidemii cholery na początku dziewiętnastego wieku, a ci, którzy tu teraz przychodzą, przepełnieni są nadzieją na uzdrowienie. Po prawej stronie ołtarza znajduje się szklana trumna świętej Katarzyny.

Maria miała ochotę zwiedzać wszystkie kościoły w Paryżu. Valérie na początku chodziła z nią tylko po to, by jej sprawić przyjemność. Szybko jednak zdała sobie sprawę z tego, że zwiedzają miejsca naznaczone piętnem historii, i postanowiła poznać je nie tylko od strony religii, ale również architektury.

Wieczorami wracali do domu Jeana i Elke. Oboje czekali na nie z kolacją na ciepło i zasypywali je pytaniami – co robiły, jak odebrały to, co widziały. Byli dla nich źródłem pożytecznych informacji. Elke od razu przynosiła książki i albumy i układała je na brzegu stołu. Wertowała kartki, przesuwiała palcem po datach. Valérie chciałyby poznać te wszystkie historie z innej strony, ale na razie nie wiedziała jeszcze, na czym miałyby to polegać. Miała jednak przeczucie, że sama powinna poszukać tajemnicy każdego z tych miejsc. Maria siedziała milcząca i zamyślona, słuchała rozmowy, ale była jakby nieobecna. Valérie domyśliła się, że nadal przebywa w miejscach, które oglądały. Jean namawiał je, żeby zostały u nich jeszcze kilka dni i zwiedziły kolejne zabytki. Elke podała na stół kolację składającą się z zapiekanki

kartoflanej polanej sosem beszamelowym i sałatki. Jean jak zwykle popijał czerwone burgundzkie wino i palił papierosy. Obrus był wprawdzie świeży, ale pełen starych plam po winie, które nie dawały się usunąć, i podziurawiony papierosami Jeana. Obrusy Elke były stałym tematem żartów w całej rodzinie.

Oczywiście na obejrzenie całego Paryża nie starczyło im czasu. Zaprzyjaźniły się bardzo i postanowiły wrócić tu razem, by pozwiedzać kolejne najpiękniejsze i najważniejsze miejsca. Wtedy jeszcze nie wiedziały, że parę dni to za mało. Nawet kilka miesięcy nie daje gwarancji na poznanie całego miasta.

Wróciły do domu babci obciążone pakunkami i szczęśliwe, że będą mogły realizować plany krawieckie. Powitały je stęsknione dzieci i ciotka w bardzo złym humorze, opiekująca się nimi podczas ich nieobecności. Valérie po raz kolejny zdała sobie sprawę, że jej wolność skończyła się dawno temu, dzieci, o których prawie zapomniała przez parę dni pobytu w Paryżu, nie myślały o niczym innym, tylko o niej. Mała Chiara nie odstępowała jej ani na krok, bojąc się, że znowu wyjedzie.

Czas upływał im na spacerach po wsi i wieczorach spędzanych przy kominku, ale znowu trzeba było wyjechać. Australia wydawała się jeszcze odleglejsza niż zwykle i Valérie codziennie zmieniała decyzję. Zamieszka we Francji czy jeszcze trochę pobędzie w Australii z rodzicami?

W podjęciu decyzji pomógł jej Antonio. Miesiąc po jej powrocie do Australii pojawił się z licznymi walizkami, postanowieniem osiedlenia się tam na stałe i zrobienia wielkich pieniędzy. Opowiadał o swoich planach prowadzenia hodowli drobiu, przedsiębiorstwa na skalę najpierw kontynentalną, a później światową. Nie nosił już ślubnego garnituru, lecz dżinsy, tenisówki i podkoszulek. Stał się również mniej pompatyczny i lepiej mówił po angielsku. Był jednocześnie mniej komiczny i Valérie przestało dziwić, że znalazł wspólny język z rodzicami i rodzeństwem. Ona również chętniej z nim rozmawiała. Zrozumiała jednak, że mimo olbrzymich przestrzeni kontynent australijski stał się za mały dla nich obojga. Podjęła nieodwołalną decyzję wyjazdu do Francji. Rodzice oczywiście robili, co mogli, aby odwieść ją od tych zamiarów. Zwłaszcza matka myślała, że to jeszcze jeden kaprys Valérie. Jediną osobą niemal obojętną na tę zmianę był Antonio. Może wydać się to paradoksalne, ale pochłonięty swoimi planami stał się mniej romantyczny i wiadomość o wyjeździe swojej rodziny skwitował krótko: „Jak dzieci podrosną, będą mogły przyjeżdżać do mnie na wakacje. Będę miał dostatecznie duży dom, żeby je przyjąć”.

Valérie poczekała jeszcze dwa miesiące. Chciała być absolutnie pewna, że nie popełnia błędów. Spakowała ubrania swoje i dzieci, zabrała też zabawki. Uporządkowała zajmowane przez nich pokoje. W szafie wisiała jej pomarańczowa sukienka, w której tutaj przyjechała. Oglądała ją długo, głaskała materiał. Zamyślona złożyła ją w kostkę i zapakowała do walizki. Postanowiła zachować ją na zawsze jako symbol wolności. Wyjechała, wiedząc, że nieprędko odwiedzi ten odległy kontynent.

U babci zatrzymała się na cały okres wiosenno-letni, często jeździła do Paryża, bo tam budowała swoje przyszłe życie. Wujek Jean, tak jak obiecał, znalazł jej pracę. Nie było to bardzo trudne, bo miał dużo znajomości, a Valérie władała angielskim, hiszpańskim i włoskim, co w tamtym czasie nie było częste. W pierwszym okresie miała zajmować się tłumaczeniem listów w międzynarodowym biurze kultury.

Mieszkanie również znaleźli szybko, dwie kamienice dalej od mieszkania wujostwa, w 5. dzielnicy. W tej dziedzinie Elke okazała się bardzo zaradna, bo nie tylko w jeden dzień obeszła wszystkie okoliczne agencje wynajmu mieszkań, ale także była pierwsza, gdy pojawiała się jakaś interesująca oferta. Sama zadecydowała, które mieszkanie jest pod każdym względem najlepsze, wpłaciła kaucję i zaczęła je meblować, mówiąc, że to tylko na początek, bo później Valérie urządzi się po swojemu. Dopiero kiedy nadawało się do zamieszkania, zadzwoniła do Valérie, że może już przyjechać.

Zlany deszczem Paryż nie wydawał się gościnny, ale na dworcu czekali na Valérie i jej dzieci Jean i Elke, którzy starali się jak mogli stworzyć rodzinne ciepło dla przybyszy z Australii. Elke zatroszczyła się również o opiekę nad dziećmi. Znalazła studenta, który miał się nimi zająć przez najbliższy miesiąc, kiedy Valérie zaczynała pracę. A gdy student był zajęty na uczelni, Elke znajdowała jakiegoś uchodźcę politycznego, najlepiej kobietę, która zajmowała się dziećmi przez cały dzień. Valérie była zadowolona ze swojej pracy, po paru miesiącach zaproponowano jej funkcję tłumacza na konferencjach. Propozycję od razu zaakceptowała, cieszył ją fakt, że będzie często podróżować, co bardziej odpowiadało jej temperamentowi niż praca biurowa. Wymagało to jednak jeszcze lepszej organizacji życia rodzinnego. Ale tutaj mogła liczyć na Elke i jej zmysł praktyczny.

Wakacje spędzali u babci. Valérie kupiła stary samochód i latem z obładowanym bagażnikiem na dachu jechali przez cały dzień do Burgundii. Tam dzieci odnajdywały swój drugi dom, srogą, ale kochaną prababcię, pracowitą Marię i jej męża, ciotki i wujków z okolic i ujadające na powitanie beagle zamknięte w psim ogródku. Burgundia jak zwykle była piękna, malownicza, a prowadząca do niej droga obrosnięta po obu stronach platanami. Takie widoki spotykali w każdej wakacje.

Dzieci były coraz starsze, zaczęły chodzić do szkoły, Valérie często wyjeżdżała na konferencje w różne zakątki świata. Teraz jej praca łączyła się z większą odpowiedzialnością. Już nie tylko tłumaczyła, ale również organizowała konferencje międzynarodowe. Starła się być na bieżąco w sytuacji politycznej danego kraju, znać jego historię i kulturę. Zajmowało to немало czasu, ale bardzo pomogły jej w tym spotkania z uchodźcami politycznymi na kolacjach u Elke i Jeana. Swoje aktualne życie mogłaby określić jako bardzo interesujące. Poznawała ciekawych ludzi, zwiedzała niemal cały świat, często niedostępny dla przeciętnego człowieka. Mieszkanie paryskie było wygodne, przestronne i coraz ładniej urządzone. Jedynym zmartwieniem Valérie był Enzo, jej drugi syn. Miał teraz pięć lat i zakłócał spokój właściwie we wszystkich miejscach, w których przebywał. O ile Matteo i Chiara byli spokojni i posłuszni, o tyle Enzo powodował szkody, konflikty i nigdy nie zostawał długo w tym samym przedszkolu czy później szkole.

Dlatego teraz Valérie, idąc na konferencję, była zmartwiona i zaniepokojona. Nie mogła skoncentrować myśli i z trudem zauważała twarze wokół siebie. W czasie przerwy udała się do baru, żeby napić się czegoś, przełknąć kanapkę i zadzwonić do Elke. Chciała ją poprosić, aby poszła do szkoły ubłagać dyrektora, żeby zgodził się dać Enzo jeszcze jedną szansę.

Wtedy zauważyła jednego z prelegentów wpatrzonego w nią z lekkim uśmiechem na przystojnej twarzy.

- Nie słuchała mnie pani.
- Nie. Nie słuchałam dzisiaj nikogo. Bardzo przepraszam.
- Szkoda.
- O czym pan mówił?
- O teatrze w moim kraju.
- Skąd pan przyjechał?
- Jestem Polakiem.
- Nie znam zbyt dobrze pana kraju. Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że sytuacja polityczna jest tam bardzo napięta.
- Tak.
- „Solidarność”, papież, strajki. To wszystko, co wiem.
- To i tak nieźle.
- Francuzi są przeważnie zajęci sobą, ale moja ciotka pracuje w Amnesty International i ciągle mówi o polityce. Wujek też.
- Niedługo cały świat będzie o nas mówił. Zobacz pani.
- A jaki jest wasz teatr?
- Dobry. Solidny, nowatorski. Odważny i ekspresyjny.

Przerwa już się skończyła. Nie było mowy ani o piciu, ani jedzeniu, ani o rozmowie z Elke. Valérie przez następną część konferencji nie myślała już o Enzie, w dalszym ciągu nie słuchała prelegentów, tylko zerknęła w kierunku Andrzeja. Wydał jej się przystojny, chociaż jakby przedwcześnie postarzały i smutny. Oczarowały ją jego jasnoniebieskie oczy, ciepły głos, kiedy mówił po angielsku z ledwo wyczuwalnym śpiewnym akcentem.

Wieczorem, kiedy dzieci już spały, zaczęła przeglądać Larousse’a. P jak Polska. Do tej pory niewiele słyszała na temat tego kraju. Teraz chciała dowiedzieć się czegoś więcej o ojczyźnie tajemniczego mężczyzny, o którym nie przestawała myśleć. Nic o nim nie wiedziała. Nawet nie bardzo umiała określić jego wieku. Pewne było tylko to, że wydawał jej się inteligentny i smutny.

W encyklopedii znalazła sporo informacji na temat Polski. Historia – ciągle wojny, niewola. A teraz komunizm. I przez całe stulecia tylu wielkich Polaków. W szkole w Australii, a później w Anglii niewiele się dowiedziała na ten temat. A kraj wydawał się niesamowicie

daleki. Teraz na mapie zobaczyła, że w zasadzie jest bardzo blisko Francji.

Następnego dnia była spokojniejsza. Elke obiecała, że postara się rozwiązać problem w szkole Enza, odbierze dzieci po południu ze szkoły i zajmie się nimi. Może chłopcu trzeba poświęcić trochę więcej uwagi? Jest przecież takim wrażliwym i uczuciowym dzieckiem.

Drugi dzień konferencji. Tym razem Valérie z zainteresowaniem słuchała wypowiedzi reprezentantów kultur z różnych krajów. Widziała, że Andrzej siedzi w drugim rzędzie, i na przerwie podeszła do niego, żeby zaprosić go na herbatę. Był trochę zaskoczony, ale chętnie przyjął zaproszenie.

– Po raz pierwszy przyjechał pan do Paryża?

– Nie, mam tu wielu przyjaciół i czasami udaje mi się przyjechać. Wprawdzie nie zawsze jest to łatwe.

– A co robi pan w życiu?

– Jestem pisarzem, tłumaczem i piszę scenariusze sztuk teatralnych.

– Ach, to dlatego mówił pan wczoraj o teatrze...

– Ale pani nie słuchała.

– Niestety nie słuchałam. Miałam kłopoty i nie byłam w stanie się skoncentrować.

Dzwonek oznajmił koniec przerwy.

– Możemy się spotkać po konferencji? – zapytała Valérie.

– Niestety zaraz po konferencji jadę na spotkanie do przyjaciół w Maisons-Laffitte.

A jutro z rana wyjeżdżam.

W sumie niewiele więcej się o nim dowiedziała. Nie było na to czasu. Zauważyła, że miał obrączkę, ale na palcu prawej ręki. Czy to coś zmienia? Było jednak coś w jego oczach, w sposobie, w jaki na nią patrzył, w tonie głosu, co wbrew wszelkiej logice pozwalało jej myśleć, że nie jest to zwykłe, przypadkowe spotkanie. I że to jeszcze nie koniec ich znajomości.

Przez najbliższe tygodnie starała się dowiedzieć jak najwięcej o kraju Andrzeja. Czytała gazety. Prawie codziennie było w nich sporo artykułów na temat sytuacji politycznej w Polsce. Ciągłe strajki. Zdjęcia ze sklepów, w których nie było nic, co można by kupić. Kolejki po wszystko. Przepelnione autobusy. Szare ulice i ubrani ubogo ludzie. Z czasem wiedziała coraz więcej. Nie wszystko rozumiała, to była jakaś bardzo skomplikowana sytuacja. Tamta część Europy, zupełnie ignorowana przez ludzi po tej stronie, nieważna i zapomniana, teraz zaczynała istnieć. Każdego dnia Valérie odkrywała nowy fakt, dowiadywała się o kolejnych kartach nieznannej jej do tej pory historii. Miała też następny temat do rozmów z Elke i Jeanem. Oni od dawna interesowali się Polską. Jean znał nie tylko historię tego kraju, ale również słuchał często Chopina i przeczytał kilka książek Lema; mówił, że Lem był przetłumaczony na wszystkie języki świata. Pewnie przesadzał, ale Valérie była zadowolona, że miała z kim dzielić swoją nową pasję.

Tak upłynęły następne trzy miesiące.

Teraz kraje Europy Wschodniej nagle stały się modne. Valérie wraz ze swoją ekipą zaczęła przygotowywać sympozjum na temat sztuki w krajach komunistycznych. Z wielkim zaskoczeniem odkryła, że pod wieloma względami jest ona o wiele bardziej nowatorska niż w wolnej Europie. Bardziej eksperymentalna. Czy to dlatego, że tylko w tej dziedzinie ludzie mogli wyrazić swoją wewnętrzną wolność? A może byli po prostu inni, bardziej kreatywni? Może inspiracja potrzebuje pewnej dozy cierpienia? Może rozpacz wyzwala u niektórych talenty?

Pytania te stały się dla całej ekipy źródłem poszukiwań. Wiedzieli doskonale, że nie wszyscy zaproszeni przedstawiciele świata sztuki będą mogli przyjechać. Andrzej jednak przyjechał. Teraz wiedziała o nim więcej, był znaną postacią w kręgach intelektualnych i Valérie

bez trudu ustaliła, że uznawano go za jednego z najlepszych tłumaczy literatury angielskiej; był również pisarzem i krytykiem teatralnym. Dość niezwykła była też historia jego życia. Urodzony na wschodzie Polski, zesłany z rodziną na Syberię, przedostał się wraz z armią Andersa do Kazachstanu, potem znalazł się w Indiach, a po wojnie w Anglii. Tam skończył studia i zadebiutował jako dziennikarz, a później literat. Wychowany w duchu patriotycznym postanowił jednak wrócić do Polski. Nawet tej komunistycznej. Uczynił to, a jego znajomość kultury angielskiej sprawiła, że mógł zrealizować swoje talenty literackie.

Teraz Valérie zrozumiała, że sposób, w jaki się przedstawił, świadczył o jego skromności. Ponadto uświadomiła sobie, że nie był przedwcześnie postarzały, tak jak jej się wydawało, a raczej dużo od niej starszy. Urodził się przecież przed wojną.

Przygotowując sympozjum, poznała wielu jego znajomych, wszyscy wypowiadali się na temat Andrzeja z wielkim podziwem i szacunkiem.

Parę dni przed terminem rozpoczęcia konferencji zadzwonił telefon.

– Dobry wieczór, mówi Andrzej. Pamięta mnie pani? Poznaliśmy się...

– Oczywiście, że pamiętam.

– Dała mi pani swoją wizytówkę, więc pomyślałem, że tym razem moglibyśmy się spotkać. Właśnie przyleciałem do Paryża. Jutro wieczorem będę na kolacji u znajomych.

Przyjdzie sporo ciekawych osób ze świata teatru. Pomyślałem, że może to panią zainteresuje...

– Tak... bardzo...

– Więc dobrze. O ósmej.

Podał jej adres i powiedział, że będzie na nią czekał.

Valérie szła na spotkanie pełna przedziwnych uczuć, tak jak zawsze, gdy napotyka się coś nieznanego, wkracza w nowy świat.

Andrzej czekał na nią na dole budynku, przed wejściem do klatki schodowej. Był jak zawsze elegancki, może nawet wytworny. Podała mu dłoń, a on złożył na niej pocałunek. Nie przywykła do tego rodzaju powitań i poczuła zażenowanie.

W mieszkaniu, do którego weszli, roiło się od zaproszonych gości. Toczyła się ożywiona dyskusja w różnych językach, ale większość zaproszonych mówiła po polsku. Andrzeja powitano bardzo serdecznie; natychmiast otoczyło go parę osób. Valérie po raz kolejny zauważyła, że Andrzej w każdej sytuacji był dżentelmenem. Tutaj również przedstawił ją w sposób elegancki i z wielkim szacunkiem. Z zaskoczeniem stwierdziła, że kiedy podawała na powitanie rękę, mężczyźni składali na niej pocałunek. Nigdy do tej pory nie zetknęła się z taką formą powitań. Tylko na filmach i w książkach z ubiegłych stuleci, których akcja toczyła się w uprzywilejowanych sferach. Czy to znaczy, że tak witają się Polacy? Andrzej poinformował ją, że taki jest u nich zwyczaj.

Na spotkaniu było niewiele kobiet, wśród nich dwie znane aktorki. Poza tym dwóch aktorów, reżyser, kilku pisarzy, dziennikarzy, kilka osób z przedwojennej emigracji, kilku muzyków, kompozytorów i jeszcze parę osób, których Valérie nie zdołała zapamiętać. Rozmowy toczyły się wokół teatru, literatury, filmu, malarstwa, ostatnich ekspozycji, ale przede wszystkim sytuacji politycznej. Tutaj głównym tematem była Polska. Na twarzach rozmówców malowały się troska i niepokój. Wszyscy byli głęboko zaangażowani i zdeterminowani, a jednocześnie niepewni ewentualnych nieoczekiwanych wydarzeń. Zarówno dyskusje, jak i poznane osoby wywarły na Valérie wielkie wrażenie. Jakże byli inni od osób znanych jej do tej pory... Ile było w nich ekspresji, a jednocześnie czegoś, czego na razie nie rozumiała.

Po kolacji Andrzej wracał na noc do swoich znajomych w Paryżu, u których zatrzymał się na kilka dni, i zaproponował, że odprowadzi Valérie do domu. Mogli jechać metrem, może ostatnim, bo było już bardzo późno, ale postanowili się przejść i porozmawiać. Na spotkaniu nie

mieli okazji zamienić nawet dwóch zdań.

– Jak się pani podobało nasze spotkanie?

– Jestem pod wielkim wrażeniem. Czy byli tam ludzie wyjątkowi, czy też wszyscy Polacy są tacy?

– Przyznam, że było tam sporo wyjątkowych osób. Niestety nie wszyscy Polacy są tego kalibru. W przeciwnym wypadku nie byłoby problemu, z którym aktualnie się borykamy. Ale wspaniałych ludzi jest więcej, niż można by się tego spodziewać. Dowie się pani o tym już wkrótce. Cały świat się o tym dowie.

Kim był Andrzej? Intrygował Valérie coraz bardziej. Z jednej strony otwarty i serdeczny, z drugiej – jakby okryty tajemnicą. Wydawał jej się romantyczny w sposobie bycia, kurtuazyjny i może nawet staroświecki, a jednocześnie bardzo rzeczowy. Chciał wszystko o niej wiedzieć, słuchał uważnie, kiedy opowiadała mu o ważnych przeprowadzkach w swoim życiu, o dzieciach, o burgundzkiej babci i o jej wielkim rodzinnym domu, w którym spędzają wszystkie wakacje.

Andrzej opowiadał jej o swoich dzieciach, które są już w liceum, ale jeszcze nie podjęły decyzji co do kierunku studiów. Mówił również o żonie, że bardzo ją ceni, że jest dzielna, że dużo pracuje i że oboje są bardzo zaangażowani w sprawy kraju.

A więc była żona. Valérie poczuła, że dzieje się coś, czego nie rozumie. Andrzej nie był wolny pod żadnym względem, a jednak zachowywał się wobec niej tak, jakby ich związek był możliwy.

Pożegnali się pod wejściem do kamienicy.

– Zadzwoń do pani, jak będę następnym razem w Paryżu. Dziękuję za spotkanie i uroczy, naprawdę uroczy spacer.

Ucałował jej dłoń, którą mu podała na pożegnanie, poczekał, aż wejdzie do klatki schodowej, i oddalił się wolnym krokiem w zamyśleniu. Sam nie wiedział, co myśleć o tej sytuacji. Niby nic się nie wydarzyło, a jednak czuł, że Valérie jest mu niezwykle bliska, a takie uczucie żywi się na ogół w stosunku do bratnich dusz, nie bardzo zresztą rozumiejąc dlaczego. Valérie była dużo młodsza od niego. Może trochę naiwna, ale z całą pewnością nie głupia, ujęła go jej spontaniczność. Kiedy mówił, była cała zasluchana, interesowało ją dosłownie wszystko, o czym opowiadał. I te jej fiołkowe oczy pełne blasku, które zauważył jeszcze podczas pierwszej konferencji. Jakże się różniła od Basi, która była wprawdzie jego najlepszą przyjaciółką, nie tylko żoną, ale już dawno nie widział w jej oczach ani zasluchania, ani zaciekawienia. Basia знаła go zbyt dobrze, żeby mógł jej jeszcze sprawić jakąś niespodziankę. Każde z nich miało interesującą pracę, wielu znajomych, teraz na dodatek wspólny cel, w który zaangażowali się bez reszty. Andrzej nie wiedział, co przyniesie mu przyszłość, już od dawna przestał planować, działał w zależności od zaistniałych okoliczności. Już dawno zrozumiał, że jest jakaś siła, która powoduje, że nasze życie układa się w określony sposób, a my mamy na nie wpływ tylko do pewnego stopnia. Taka siła pojawiła się teraz w życiu jego kraju, pozornie jakby drzemała, dając jednak odczuć wszystkim, że nastąpi eksplozja, której nikt nie zdoła zatrzymać. Czuł to bardzo wyraźnie. Teraz, idąc wolno ulicami Paryża, rozmyślał o tym. Nie spieszył się, na ulicach było niewiele przechodniów. Siąpił jesienny deszcz, było dosyć ciepło. Szedł wolno, chcąc jak najdłużej oddawać się rozmyśleniom. Tok jego myśli wydawał mu się jasny. Wiedział, że nie musi wszystkiego rozumieć, że prawd jest wiele, a jedna przeczy drugiej. Coś go bardzo przyciągało do Valérie. Napawał się jej dziewczęcym wdziękiem, przypominał sobie każdy jej uśmiech, każdy gest, kiedy odgarniała ciemne włosy z twarzy. Była elegancka i pociągająca, atrakcyjna w sposobie, w jaki się poruszała. Zauważył, że doskonale знаła literaturę angielską, i to go również oczarowało.

Pochłonięty myślami szedł znajomymi sobie ulicami, nie widząc właściwie niczego

wokół siebie. Dopiero zbliżając się do Sekwany, poczuł przenikliwy wilgotny chłód. Przeszedł Pont Neuf, trzęsąc się z zimna. Deszcz się nasilał, ulice były całkiem puste, a on miał jeszcze do przejścia dwie stacje metra. Lubił przyjeżdżać do Paryża, ale zbyt często wracał do Polski przeziębiony, bo było tu niby cieplej, ale wilgoć i ciągły deszcz powodowały, że przeważnie trząsał się z zimna. Tak samo było w Anglii, kiedy tam mieszkał, tylko słońca i światła było jakby mniej.

Czasami wydawało mu się, że swoje życie już przeżył. Że teraz wszystko jest jakby na kredyt. To prawdziwe życie było daleko poza nim, kiedy był młody, kiedy podejmował decyzje o zmianach, kiedy zdecydował się wrócić do Polski. Niewielu wróciło. Wolał teraz o tym nie myśleć. Nie wszystko było takie łatwe ani oczywiste. Do tej pory nie wszyscy też rozumieli jego decyzję. Często od codziennego marazmu starał się uciec w pracę i inny świat, ten fikcyjny, którego dostarcza literatura. Podróże, które były możliwe dzięki jego licznym przyjaciółom rozsianym po świecie, również stanowiły pewnego rodzaju odskocznię od szarości codziennego życia. Nie spodziewał się jednak, że jeszcze raz jego serce zabije mocniej. Teraz we wszystkich jego myślach była Valérie. Właściwie wcale tego nie chciał, ale jednocześnie czuł, że będzie jego mużą. Rodzajem motywacji i natchnienia.

Dotarł w końcu do domu przyjaciół, kompletnie przemoczony i zmęczony.

Po powrocie do Polski natychmiast poczuł potrzebę, by zamienić z Valérie chociaż parę słów. Odebrała telefon po drugim sygnale.

– Dobry wieczór, mówi Andrzej. Nie dzwonię za późno?

– Nie. Dzieci już śpią, a ja czytam.

– Myślałem o pani. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze.

– Ja też mam nadzieję.

– Nie znam daty mojego następnego przyjazdu, ale uprzedzę panią wcześniej.

– Jak podróż?

– Dobrze, dziękuję. Czeka mnie teraz dużo pracy.

– Chciałabym przeczytać pana książki.

– Piszę po polsku.

– Czyli jedyny sposób na ich przeczytanie, to żebym nauczyła się tego języka?

– Pewnie tak. Jest bardzo trudny.

Valérie nie wiedziała, co będzie dalej. Miał przecież żonę, ale zadzwonił do niej tuż po przyjeździe. I jego głos był taki czuły, łagodny. Tak jak we wszystkim, co robiła, teraz też mocno zaangażowała się w tę niezwykłą znajomość. Już następnego dnia w pracy rozmawiała z kolegami o decyzji nauczania się języka polskiego. Kolega Hiszpan zaproponował, że przedstawi jej Halinę, swoją *copine*, która daje lekcje polskiego. Valérie zaprosiła ich do siebie na kolację.

W sobotę przez pół dnia przygotowywała menu. Przez ostatnie dni zastanawiała się, co takiego przyrządzić, czy są dania, których Polacy nie jadają. Valeriano nie potrafił jej w tym pomóc, bo sam nie wiedział. Ciekawa była tej jego dziewczyny, bo od kiedy poznała Andrzeja, interesowało ją wszystko, co było związane z jego krajem.

Sobota wieczorem. Udało jej się wszystko przygotować, nakryć do stołu i nawet dzieci były już prawie w łózkach. Ósma. Ósma piętnaście, dwadzieścia, w końcu trzydzieści, trzydzieści pięć. Dzwonek.

W drzwiach stanęli Valeriano i blondynka o dosyć ładnej twarzy. On był jak zwykle roześmiany, ale Halina jakby w złym humorze. Czy coś się stało? Nie, nic, wszystko w porządku. Weszli do salonu. Valeriano przedstawił sobie obie panie. Halina bez uśmiechu, w milczeniu przyglądała się Valérie i jej mieszkaniu, bez skrępowania taksując wzrokiem każdy detal. Valérie



poprosiła, żeby zasiedli do stołu, i wyszła do kuchni przynieść dania. Nie bardzo rozumiała, co się dzieje. Coś było nie tak, ale zupełnie nie wiedziała co. Jeszcze nigdy nie spotkała nikogo, kto by oglądał wszystko w taki sposób, bez słowa, bez uśmiechu.

Valeriano starał się podtrzymać rozmowę, która na początku nie bardzo się kleiła. W końcu Valérie postanowiła jakoś dotrzeć do Haliny.

– Dawno temu przyjechała pani do Paryża?

– Możemy mówić sobie na ty.

– Dobrze.

– Nie tak dawno. Rok temu, po studiach. Skończyłam romanistykę.

– Tak? A w jakim mieście?

– W Warszawie.

– O, znam kogoś z Warszawy. I chciałabym nauczyć się polskiego.

– Tak, Valeriano mi mówił. Możemy spróbować, ale ostrzegam, że to trudny język. Nie gwarantuję, że się uda.

Umówiły się na następny tydzień. Halina przyszła w środę wieczorem, tym razem dosyć punktualnie, ale jak poprzednio bez uśmiechu na twarzy. Valérie kupiła podręczniki do nauki języka. Dzieci powinny już spać, a przynajmniej być w łózkach, ale snuły się po mieszkaniu pod różnym pretekstem: a to chciały wody, a to siusiu, a to zasypywały Valérie pytaniami, które zapomniały zadać w ciągu dnia. W końcu Enzo przysiadł się do stołu i zaczął wpatrywać się w Halinę. Ta zaś zupełnie nie zwracała na niego uwagi i opowiadała Valérie o swoich ostatnich zakupach na soldach. W końcu Valérie, trochę zniecierpliwiona, otworzyła książki i zaproponowała, że może zaczną lekcję.

– No dobrze, ale może dziecko pójdzie najpierw spać.

– Dziecko ma na imię Enzo.

Valérie zwróciła się czule do synka:

– Enzo, kochanie, chodź przytulić się na chwilę do mamy i zaraz pójdziesz spać.

A później do Haliny:

– Wrócę za dwie minuty, tylko położę go do łóżka.

Kiedy byli już sami w pokoju chłopców, Enzo zapytał:

– Mamo, dlaczego ta pani jest taka dziwna? Zachowywała się tak, jakby mnie nie było.

I ani razu się nie uśmiechnęła.

– Bo to jest Baba Jaga – odparł Matteo.

Kiedy Valérie wróciła do salonu, Halina przeglądała żurnale, które znalazła na komodzie. Ożywiła się na widok Valérie i zaczęła kontynuować przerwana opowieść o zakupach. Valérie poczekała chwilę, po czym skierowała jej uwagę na naukę.

Podobnie wyglądały ich cotygodniowe spotkania. Valérie zaczęła robić postępy w nauce, ku wielkiemu zdziwieniu Haliny, która nie zdawała sobie sprawy, że Valérie codziennie wieczorem spędzała co najmniej dwie godziny nad podręcznikami. Starła się teraz składać zdania. Każdego dnia uczyła się coraz więcej słów. Nie rozumiała niektórych reguł gramatycznych, były całkiem odmienne niż te w językach, które знаła. Na każde zajęcie przygotowywała listę pytań, które następnie zadawała Halinie, ona jednak odpowiadała na nie na ogół zdawkowo. Wolą rozmawiać z Valérie po francusku. Przeważnie narzekała na Valeriana. Za mało zwracał na nią uwagę, nie słuchał, kiedy mówiła, był wiecznie wesoły i bez troski.

– A o czym chcesz z nim rozmawiać, kiedy wydaje ci się, że nie słucha? – zadała w końcu pytanie Valérie, która dobrze znała Valeriano i wiedziała, że jest inteligentnym chłopakiem, z którym można rozmawiać na wiele tematów.

– No, nie słucha tego, co do niego mówię. W dodatku, wyobraź sobie, że kiedy były moje

urodziny, to zamiast kupić mi jakieś dobre perfumy, dał mi w prezencie wszystkie tomy z przygodami Tomka Sawyera.

Valerie wybuchnęła śmiechem.

– Z czego się śmiejesz?

– Bo to rozbrajające.

– Rozbrajające?!

– No tak. Jest w tym coś miłego i trochę dziecinnego.

– No tak... może dla ciebie, ale ja bym wolała dostać na przykład perfumy. A poza tym ma takie głupie imię: Valeriano. Kojarzy mi się z walerianą na uspokojenie.

– Ma takie samo imię jak ja.

– No wiesz, nie pomyślałam o tym.

Halinę najwyraźniej nudziły lekcje polskiego, bo któregoś dnia zaproponowała Valérie, że przedstawi jej kolegę po romanistyce, który ją zastąpi, a one zostaną raczej na stopie przyjacielskiej, bo ona woli opowiadać Valérie o swoich problemach, niż uczyć ją polskiego.

– Przedstawię ci Jacka. Przyjechał parę miesięcy temu i przyda mu się trochę grosza. Zarabia na życie malowaniem mieszkań u bogatych ludzi.

Tydzień później Halina przyszła z młodym zarośniętym mężczyzną. Miał długie, brązowe, wzburzone włosy, brodę i zielone oczy. Na nosie druciane okulary. Ubrany był w kraciastą, flanelową koszulę, a na nogach miał sznurowane buty do chodzenia po górach. Podobnie jak Halina stał w drzwiach bez uśmiechu, z nieruchomym spojrzeniem. Valérie zaprosiła ich do salonu. Halina dużo mówiła, a Jacek wyglądał na skrepowanego. Rozglądał się nieśmiało po mieszkaniu, ale kiedy przyszły dzieci, gotowe już do snu, żeby powiedzieć matce dobranoc, przywitał się z nimi serdecznie i każde z nich zagadnął w sposób bardzo naturalny, wywołując uśmiech na ich twarzach. Sam również się przy tym rozpogodził.

Halina, jakby trochę znudzona, że nie jest w centrum zainteresowania, wstała i pożegnała się dosyć szybko.

– No to przekazuję ci, Jacku, naukę polskiego. *Bon courage!* – Jakby to było zadanie niemożliwe do wykonania.

Dzieci stały nieruchomo, ubrane już we flanelowe piżamki, i przyglądały się, jak Halina wychodzi, po czym kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, zaczęły biegać po mieszkaniu i wrzeszczeć, prawdopodobnie chcąc zwrócić uwagę Jacka. Kiedy się w końcu zmęczyły, powiedziały grzecznie dobranoc i poszły spać.

– Halina nic mi nie mówiła, że masz troje dzieci.

– Nie martw się, one na ogół nie przeszkadzają. Dzisiaj wyjątkowo rozrabiały, bo tak się zachowują, kiedy przychodzi ktoś nowy.

– Przy Halinie też?

– Nie, bo jej nie lubią.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Nie jesteście przyjaciółmi?

– Nie. Znamy się ze studiów. To wszystko.

Valérie otworzyła książki i zasiadła przy stole. Bała się, że zamiast nauki znowu będzie rozmowa po francusku. Jacek jednak od razu zaczął lekcję. Mówił wolno, starał się wyraźnie artykułować, wyjaśniał, kazał po sobie powtarzać. Był bardzo wymagający. Ustalił też reguły. Będzie mówił wyłącznie po polsku, a po francusku tylko wtedy, kiedy nie będzie możliwe inaczej, to znaczy, żeby jej coś wytłumaczyć, jakąś regułą gramatyczną. Po dwóch godzinach wstał, pożegnał się szybko i wyszedł.

Wrócił w następną środę. Ubrany podobnie, we flanelową koszulę, dzinsy i buty do

chodzenia po górach. Porozmawiał przez chwilę serdecznie z dziećmi, dopytywał o szkołę, kolegów, a kiedy poszły spać, usiadł przy stole, otworzył książki i zaczął lekcję. Tak było co tydzień, w każdą środę.

Valérie dużo uczyła się sama, prawie każdego wieczoru powtarzała lekcje z poprzedniej środy, wytrwale wkuwała słówka na pamięć. Starła się zrozumieć polską ortografię, która wydała jej się mało logiczna. „Oparta na wyjątkach”, stwierdziła.

Jacek był bardzo zadowolony z jej postępów w nauce, ale chwalił ją bardzo rzadko. Teraz, kiedy rytm nauki był dobrze ustalony, postępy właściwie zagwarantowane, a dzieci przyzwyczajone do wizyt w każdą środę, pozwalali sobie na piętnaście, dwadzieścia minut rozmowy. Wywiązał się między nimi rodzaj porozumienia, bliskości, jakie można spotkać między nauczycielem a uczniem, chociaż Valérie do tej pory nie zetknęła się z nikim tak bardzo zamkniętym w sobie, utrzymującym tak wielki dystans. Była jednak ciekawa jego osoby, sama również chciała, żeby okazał jakieś zainteresowanie jej życiem. Miała ochotę podzielić się z nim informacjami o Andrzeju. Jacek był małowówny i wiedziała o nim tylko tyle, że przyjechał na zaproszenie swojej cioci, która mieszka w Paryżu. I że robi doktorat.

Któregoś wieczoru po lekcji postanowiła go zagadnąć, dowiedzieć się czegoś więcej o swoim tajemniczym nauczycielu. Pomógł jej w tym telefon od Andrzeja, który zadzwonił do niej akurat w środę wieczorem podczas lekcji z Jackiem. Pochwaliła mu się, że zaczęła naukę języka polskiego. Andrzej poinformował ją, że prawdopodobnie za dwa miesiące uda mu się przyjechać na kilka dni do Anglii, i zapytał, czy nie będzie przypadkiem w tym czasie w Londynie. Obiecała, że pomyśli o tym. Rozpromieniona odłożyła słuchawkę. Zobaczyła zaciekawienie w oczach Jacka.

– Andrzeja poznałam na konferencji. Mieszka w Warszawie.

Wtedy Jacek powiedział, że słyszał o nim, że chyba czytał jakąś jego książkę. Tego dnia po raz pierwszy rozmawiali dosyć długo o życiu. Valérie opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w Australii, o przyrodzie, innym klimacie, o ich wielkim domu, rodzinie, mężu, o babci z Burgundii i jej starym domostwie, o dzieciach.

Jacek opowiadał o wojnie, o ciotkach i wujku, którzy brali udział w powstaniu warszawskim. Wujek zginął w walkach, a ciotki dostały się do obozu i po wyzwoleniu znalazły się w Holandii, później w Anglii. Teraz jedna z nich mieszka w Paryżu i dlatego on mógł tu przyjechać. Z Polski można wyjechać za granicę tylko na zaproszenie. Opowiadał o „Solidarności”, o tajnych spotkaniach, o wykładach prawdziwej historii. O tym, że wprawdzie teraz łatwiej jest wyjechać na Zachód, ale jego dziewczyna, Zosia, jest jeszcze w Warszawie, gdzie od paru miesięcy czeka na wizę i paszport, ale w końcu do niego przyjedzie. Ten rok, osiemdziesiąty pierwszy, jest decydujący, bo szykują się ważne wydarzenia. Tak długo rozmawiali, że Jacek pożegnał się z Valérie dopiero po północy. Wyszedł na zalaną deszczem rue des Écoles. Z ciepłego i przytulnego mieszkania Valérie, przez klatkę schodową z szerokimi drewnianymi schodami wprost na przejmujący paryski chłód.

Przyjeżdżał do Paryża dosyć często dzięki zaproszeniom cioci Jadzi, która bardzo chętnie gościła i jego, i jego rodzeństwo. Czasami jeździli na winobranie, żeby zarobić trochę franków i pobyć w słońcu Południa. Tamte przyjazdy były jednak inne niż ten teraz. Czuł to doskonale. Tym razem przyjechał na dłużej i nie na wakacje. Przede wszystkim miał zrobić doktorat, choć był to właściwie tylko pretekst, bo tak naprawdę nie miał najmniejszej ochoty zagłębiać się w pracę naukową. Był zbyt zachwycony życiem w Paryżu, w jego pojęciu normalnym i pełnym optymizmu. Wydawało mu się, jakby uciekł z klatki. Klatką był jego rodzinny dom, w którym rodzice sprawowali pełną kontrolę nad każdym jego krokiem. Klatką był jego kraj, gdzie brakowało wolności. Wprawdzie od jakiegoś czasu uczestniczył w spotkaniach, na które

docierała wolność z Zachodu, zakazane książki i gazety, ale tak naprawdę prawie nikt nie wierzył, że cokolwiek może się zmienić. Pewne były tylko represje w razie wpadki. Dlatego teraz czuł się jak zwierzę, które całe życie żyło w klatce i nagle znalazło się na wolności. Gdzie kończy się ta wolność? Czy istnieją jakieś jej granice? Nie widział ich, a z wolności nie umiał korzystać. Czasami chodził po ulicach Paryża, zatrzymywał się przy Beaubourg, gdzie grali albo tańczyli uliczni grajkowie, często Arabowie, i starał się wczuć w ich klimaty. To samo robił w metrze, gdzie stał i słuchał grających na gitarach, przeważnie obcokrajowców. Przytupywał w rytm muzyki albo klaskał w ręce. Pałętał się po ulicach bez celu w poszukiwaniu wolności, której nie znał, a która przecież musiała tu być. Przechadzał się po rue St. Denis, oglądając prostytutki i obiecując sobie, że przyjdzie do nich, do tych wolnych, interesujących kobiet, kiedy tylko będzie go na to stać. Przyglądał się im bardzo uważnie i za każdym razem, kiedy powracał na tę ulicę, rozpoznawał je, bo stały tu codziennie. Później myślał o niektórych z nich. One również były dla niego synonimem wolności. Spacerował po parkach, a zwłaszcza po ogrodzie Luksemburskim, idąc na lekcje do Valérie. Przesiadywał na metalowym krześle przy sadzawce, po której pływały stateczki, i przypatrywał się zakochanym parom albo dzieciom wracającym do domu po dniu spędzonym w parku. Kiedy szedł, małe kamyczki, którymi były wysypane alejki, chrzęściły i zawsze któryś wpadał mu do buta. Siadał wówczas na krześle, zdejmował brązowy skórzany but na grubej podeszwie z wrębami, tak zwane traktory, i wyjmował z niego kamyczek. Przy okazji poprawiał wełnianą szarą skarpetę z wełny owczej zrobioną na drutach przez mamę. Czasami wygrzewał się na słońcu jak kot i starał się nie myśleć o niczym. Teraz jednak, wracając od Valérie, rozmyślał o ich rozmowie. Do tej pory właściwie o niczym nie rozmawiali. Valérie z dużym samozaparciem przygotowywała się do każdej lekcji i bardzo szybko robiła postępy, co było dla niego wielką satysfakcją. Intrygowała go, bo była ładna i bardzo inteligentna. Sama wychowywała troje dzieci i sprawiała wrażenie, że świetnie radzi sobie ze wszystkim. Dopiero dzisiejszego wieczoru zwierzyła mu się ze swoich życiowych przeżyć, a on zobaczył jej wrażliwość i delikatność. Pomyślał o Zosi. Jaka była dziecinna i naiwna w porównaniu z Valérie. Była wprawdzie kilka lat młodsza od niej, ale jednocześnie jakby z innego świata. W tym momencie znów pomyślał o klatce. Zosia jest w niej teraz i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Inaczej niż on patrzyła na rzeczywistość. Jakby nie do końca zauważała to, czego on nie mógł znieść. Na głupich milicjantów patrzyła obojętnie, jakby przez szybę. Nie wierzyła, że cokolwiek może się zmienić. Było w niej coś z fatalizmu. Dlatego pewnie jedyne, co ją interesowało, to zdjęcia, robiła je bez przerwy. Nigdy nie rozstawała się z aparatem i utrzymywała na kliszy najbardziej banalne przedmioty czy sytuacje; na jej zdjęciach nabierały one jednak jakby innego wymiaru. Wieczory spędzała przeważnie w ciemni, a dni w domu na kanapie, robiąc na drutach wielkie wełniane swetry z połączonych w różnych kolorach włóczek.

Kiedy ją poznał na jakiejś pijackiej balandze, wydała mu się beztroska, miał też wrażenie, jakby patrzyła na wszystko, co ją otaczało, z pogardą. Później, kiedy zaczęli się spotykać, nie umiał do niej dotrzeć. Nie rozumiał jej obojętności na otaczający ją świat i na niego samego. Mieszkała razem z liczną rodziną w wielkiej przedwojennej willi na Bielanach. W całym domu skrzypiała drewniana podłoga. Ciężkie stare meble przytłaczały wspomnieniami minionych czasów, a z portretów na ścianach obserwowali go jacyś przodkowie. Wszyscy w rodzinie mówili cicho, w jego pojęciu beznamytnie. Kiedy zadawał jej pytania na ich temat, wzruszała tylko ramionami. Wydawało mu się, że często nie chciało jej się nawet mówić. Czasami się na nią złościł i starał się sprowokować ją do jakiejś reakcji. Było to nadaremne. Zachowywała kamienną, obojętną twarz, a kiedy wpadał w szal, odchodziła i musiał za nią biec. Wyjechali jednak na tydzień w góry, w okolice Zakopanego. Codziennie chodzili po stokach, przechodzili przez górskie potoki, siadali na szlakach, żeby odpocząć. Wówczas wydawała mu się inna.

Wykazywała duży upór, żeby dotrzeć do miejsca, które wyznaczyli sobie z rana. Jednocześnie potrafiła biegać po łąkach i cieszyć się widokiem pięknych kwiatów, którymi były usiane wzgórza. Teraz, idąc po zapłakanej deszczem ulicy Paryża, myślał o jej długich włosach falujących na wietrze na tle górskich łąk jak ogniste płomienie. Zdawał sobie sprawę z tego, że jej nie rozumiał i nigdy nie zrozumie. Wychowano ją inaczej niż jego. Może nie czuła się jak w klatce, może po prostu zawsze była wolna? Nigdy o tym nie rozmawiali.

Kiedy dotarł w końcu do budynku, w którym mieszkała ciotka, była już późna noc. Dom przypominał bloki wybudowane w Peerelu w latach siedemdziesiątych. Klatka schodowa również, tylko mieszkania były trochę większe i sufit nie wisiał tuż nad głową. Ciocia Jadzia miała jednak dobry gust i potrafiła urządzić z klasą każde wnętrze. Wszedł najciszej, jak potrafił. Wiedział jednak, że otwierając drzwi, robi wielki hałas.

Na stole znalazł list od Zosi. Wysyłali do siebie parę listów tygodniowo. Zosia opowiadała mu głównie o swoich nowych zdjęciach, ale informowała go także o sprawach dotyczących ich wspólnych znajomych. Teraz w kontekście paryskiego życia nie interesowało go to wszystko aż tak bardzo. Ci, którzy byli mu bliscy tam, po drugiej stronie żelaznej kurtyny, berlińskiego muru, czy jak mówili Francuzi *les Pays de l'Est*, wydawali się teraz jakby z poprzedniej egzystencji. Na Sorbonie poznawał ludzi z całego świata, a wieczory spędzał często na jakichś balangach, o których po tygodniu nie pamiętał. Kleiły się do niego dziewczyny z Hiszpanii, a Francuzki starały się uwieść go intelektem, nie zdając sobie sprawy, że nie tego u nich szukał. Nie o wszystkim pisał Zosi. Wiedział, że nie zaakceptowałyby pewnych rzeczy. Nie chciał się zastanawiać nad swoim obecnym życiem; podobał mu się ten stan oszołomienia, w którym się znajdował.

Dopiero dzisiejszego wieczoru, wracając od Valérie, zaczął wracać pamięcią do dawnego życia, jakby ich rozmowa wywołała wspomnienia. Przypomniał sobie ostatnią zimę. Lotnisko na Okęciu, to okropne stare lotnisko, ponure i szare, gdzie w kącie wały się zagubione walizki, a nawet wywrócony do góry kołami wózek dziecięcy. Pamiętał to lotnisko, przenikliwe zimno i rozstanie, którego nie chciał. I smutną twarz Zosi.

Andrzej dzwonił teraz do Valérie dosyć regularnie. Ich rozmowy trwały bardzo krótko i odnosiła wrażenie, że w tle był jakiś pogłos. Znał już dokładną datę wyjazdu. Valérie zorganizowała wszystko, żeby móc pojechać na dwa dni do Londynu, do siostry ojca. Wzięła ze sobą Chiareę, a chłopców zostawiła pod opieką Elke. Nie chciała jechać do Londynu sama, wydawało się jej, że powinna zachować pozory zarówno przed rodziną, jak i przed dziećmi.

Ciotka Deborah mieszkała przy Roland Gardens 7, w luksusowej dzielnicy Queen's Gate, w typowo wiktoriańskim domu, który Valérie dobrze знаła. Spędziła w nim dużo czasu w dzieciństwie i później w okresie szkolnym, kiedy była nastolatką. Teraz z przyjemnością odnalazła dawny klimat domu, w którym od jej ostatniego pobytu nic się nie zmieniło. W oknach w salonie wisiały te same błękitne, ciężkie zasłony, potężne fotele z wysokimi oparciami stały na swoim miejscu, a ze zdjęć stojących na kominku spoglądały te same twarze członków rodziny. Ciotka Deborah, mimo wiosennej słonecznej pogody, była otulona szalem, bo jak powiedziała – w domu jak zwykle jest chłodno.

Valérie bardzo lubiła ciotkę, bo była konkretna, rzeczowa i nigdy nie wtrącała się w nie swoje sprawy. Nie zajmowała się plotkowaniem i obgadywaniem innych i – co stale powtarzała – niechętnie jeździła na kontynent, mając na myśli Francję, dokąd ją często zapraszano, bo jej zdaniem ludzie za dużo mówią tam o innych, nie widząc tych samych wad u siebie. Uważała również, że zajmowanie się innymi służy temu, by rozgrzeszać się z własnych słabostek. Była bardzo pracowita i mimo że nie musiała zarabiać pieniędzy na życie, bo jej mąż Chris był wysoko uposażonym dyrektorem banku, to każdą wolną chwilę wypełniała pracą charytatywną

na rzecz sierot albo niepełnosprawnych. Kiedy czasami zdarzało jej się udzielać społecznie w niedzielę, a rodzina zarzucała jej, że niedziela to nie dzień pracy, mówiła, że praca na rzecz innych jest jej modlitwą. Poza tym miała olbrzymie poczucie humoru, choć było ono niezrozumiałe dla jej francuskich krewnych. Może dlatego, że nawet najzabawniejsze dowcipy wypowiadała ze stoicką powagą.

Valérie rozumiała jednak jej finezję, angielski humor, staroświecki gust, a zwłaszcza inteligencję i zamiłowanie do książek. Zawsze miały o czym rozmawiać, godzinami mogły dyskutować o tych samych przeczytanych lekturach. Poza tym ciotka Deborah przypominała Valérie o jej angielskich korzeniach, świetnie знаła historię Wielkiej Brytanii i Valérie jako mała dziewczynka z zapartym tchem słuchała z jej ust barwnych opowieści o królach, wojnach i najazdach wikingów. Lubiła nawet wygląd ciotki Deborah, choć we Francji wydawał się on staroświecki. Bardzo wysoka, szczupła, o jasnych włosach upiętych w wysoki kok, miała różową, delikatną cerę i jasnoniebieskie oczy, które – zdawało się – świdrowały człowieka na wylot. Nosila zawsze luźne suknie, prawdopodobnie za długie według aktualnej mody, ale za to z pięknych tkanin liberty. Pachniała talkiem i tymi samymi perfumami, których nazwy nikomu nie chciała zdradzić, a nie sposób było podejrzeć, co to za zapach, bo zamykała je na klucz w swojej zabytkowej toalecie. Któregoś jednak dnia zadzwonił telefon i ciotka Deborah wybiegła do przedpokoju, by podnieść słuchawkę. Zaabsorbowana rozmową nie zauważyła, że mała Valérie zakradła się do jej sypialni i zobaczyła na toalecie kryształowy flakon L'air du Temps.

Teraz zjadły razem obiad, po czym Valérie oznajmiła, że po południu przyjdzie po nią znajomy, który przyleciał z Polski, a ona przyjechała tu między innymi po to, żeby się z nim spotkać. I poprosiła, żeby ciotka zajęła się przez ten czas małą Chiarą. Ciotka Deborah o nic nie pytała. Wzięła Chiarę na kolana i zaczęła jej czytać książeczkę dla dzieci. Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Valérie szybko narzuciła na siebie płaszcz i wybiegła. Po chwili wróciła z Andrzejem i przedstawiła go ciotce. Był jak zawsze szarmancki i elegancki, dzisiaj w trzyczęściowym garniturze, bordowym atlasowym szaliku, a wszystko gustowne i dobrej jakości. Wydawał się jednak skrepowany sytuacją. Ciotka również nie zachowywała się naturalnie, była jakby nieobecna. Zaprosiła go jednak na herbatę, a on bez wahania przyjął zaproszenie. Pochwalił jej pięknie urządzonej salon, zachwycił się fotelami i obrazem olejnym na ścianie. Ciotka wypytywała go, co porabia w Londynie i skąd tak świetnie zna angielski.

- W Londynie mam wielu przyjaciół, spędziłem tu większość życia.
- A teraz mieszka pan w Polsce?
- Tak, już od wielu lat.
- To interesujące, na ogół Polacy wyjeżdżają, a nie wracają.
- Faktycznie...
- A pan wrócił. To ciekawe.
- W domu otrzymałem patriotyczne wychowanie. Rodzice tęsknili za ojczyzną. Bardzo tęsknili. Właściwie to było przyczyną ich przedwczesnej śmierci.
- Jak to się stało, że znaleźli się w Anglii?
- Kiedy byłem małym chłopcem, zostaliśmy zesłani w głąb Rosji, wydostaliśmy się stamtąd z armią Andersa. Mieliliśmy szczęście. Przeżyliśmy. Wielu zmarło w drodze...

Ciotka się zamyśliła, a w jej oczach pojawiły się łzy. Przez jakiś czas milczała, po czym zmienionym, pełnym wzruszenia głosem powiedziała:

- Wie pan, ja znałam wielu Polaków. Byłam młodą dziewczyną, kiedy wybuchła wojna. I oni, ci polscy oficerowie, lotnicy, gdy nie mogli już walczyć u siebie, przybyli tutaj. Okazało się, że latali lepiej niż nasi. Nie bali się niczego, strącali niemieckie samoloty z jakąś niewiarygodną determinacją, jakby byli opętani. W Anglii mówiło się o nich bez przerwy, to byli

bohaterowie. Pracowałam jako pielęgniarka w szpitalu wojskowym, widziałam ich wiele razy. Przystojni, w skórzanych kurtkach z wizerunkami dzikich zwierząt. Byli inni niż nasi chłopcy, tacy weseli, dobrze wychowani. Dziewczyny za nimi szalały. Niestety w szpitalu widziałam też paru w strasznym stanie, koledzy odwiedzali ich codziennie. Niektórzy nie wyszli stamtąd...

Zamilkła. Valérie jeszcze nigdy nie widziała ciotki w stanie tak wielkiego poruszenia. Gdzie podziała się jej zimna angielska krew prawdziwej damy? Stała się jakby nieobecna, zajęta swoimi myślami. Podniosła się z fotela; widać było, że chce zostać sama. Jakby kontynuując swoją wypowiedź, dodała jeszcze:

– Jest mi przykro, że tak nieładnie postąpiliśmy z nimi po wojnie. Nie wszyscy o tym wiedzą. Sprawy zostały zatuszowane... Miłego spaceru. Nie przezięb się, Valérie. Jest jeszcze trochę chłodno.

Wyszli z domu w milczeniu, Andrzej zamyślony, a Valérie zaciekawiona nietypowym zachowaniem ciotki. Nigdy nie słyszała historii, którą im przed chwilą opowiedziała. Chciałaby dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej, ale wiedziała, że musi trochę poczekać. Andrzej wydawał się dziwnie zamyślony. Spacerowali wolno ulicami Londynu, było słonecznie, chociaż chłodno.

– Przywiozłem pani mały upominek.

Podał jej pudełeczko. Na dnie leżała duża srebrna broszka z bursztynem.

– Jest piękna! Dziękuję.

– Myślałem o pani... Ciągle myślę.

– Ja o panu też, chociaż tak mało się znamy.

Andrzej wziął ją za rękę i dalej szli przed siebie. Niewiele rozmawiali. Oboje, choć znali Londyn, teraz jakby zwiedzali go razem na nowo. Już nie mieli ochoty rozmawiać na poważne tematy. Udało im się spotkać, i to było najważniejsze.

Wieczorem Andrzej odprowadził ją pod dom ciotki, przytulił mocno i pocałował.

– W przyszłym miesiącu będę w Paryżu.

– Będę czekała.

Ciotka Deborah wyczekiwała powrotu Valérie w salonie. Na jej twarzy malowało się zmęczenie.

– Czy coś się stało, ciociu?

– Tak, Valérie. Jestem zbulwersowana. Wiesz, że nigdy nie wtrącam się do cudzych spraw. Ta wizyta odświeżyła jednak moje wspomnienia. Ja też byłam kiedyś zakochana w Polaku. Był pilotem. Niestety zginął. Myślałam, że umrę z rozpacz. Długo nie mogłam się z tym pogodzić. Chciałam dowiedzieć się wszystkiego o jego kraju, wertowałam książki na temat historii. Myślałam o tym, żeby nauczyć się polskiego. Och, nawet nie wiesz... Moi rodzice stawali na głowie, żeby mnie uspokoić. Ta nagła śmierć... Myślałam, że już nie będę mogła normalnie żyć. Spójrz, to jego zdjęcie.

Ze starej, pożółkłej fotografii spoglądał młody, przystojny chłopak w mundurze oficerskim.

Ciotka Deborah kontynuowała:

– Dlatego rozumiem cię, że możesz być zauroczona. Oni są ujmujący, inteligentni, interesujący. Ten pan Andrzej również. Jednak on jest od ciebie o wiele, wiele starszy. A przede wszystkim zajęty. Nosi obrączkę. I nie rozwiedzie się z twojego powodu. Oni nie zostawiają swoich żon.

I po chwili, ponieważ Valérie milczała, dodała:

– Przepraszam, *darling*, że mówię ci o tym wszystkim. Jeżeli nie ja dzisiaj, to kto ci to wszystko powie, kto cię ostrzeże? Nicole, twoja matka, która jest daleko, i nic nie wie? Brigitte,

która siedzi w swojej Burgundii, i też nic nie wie? Powiedziałaś babci?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale jej powiem. Ona mnie zrozumie.

– Pewnie, że cię zrozumie. Ja też cię rozumiem. Wszyscy chcemy twojego szczęścia.

Dlatego rozmawiam teraz z tobą.

– Dziękuję, ciociu, ale ja i tak go pragnę. Nie wiem, co będzie dalej, to jest silniejsze ode mnie.

– Widzę.

– Myślę, że on jest teraz kimś w rodzaju kuriera, dlatego ciągle podróżuje. Pewnie przewozi wiadomości. Nic mi nie mówił, ale się domyśliłam. Jest bardzo zaangażowany.

– Też tak myślę. Wygląda na szlachetnego człowieka. Ale i tak martwię się o ciebie.

– Nie trzeba, ciociu, lubię być zakochana.

Ta rozmowa jeszcze bardziej zbliżyła je do siebie. Kiedy Valérie wyjeżdżała, obiecały sobie, że postarają się częściej spotykać. Ciotka stwierdziła nawet, że może od czasu do czasu wpadnie na kontynent.



Powoli wraca z niebytu albo raczej ze snów, których nie pamięta, do rzeczywistości. Powraca również do świata myśli. Na razie dopiero zaczynają do niej docierać dźwięki, najpierw jakby z oddali, a później coraz lepiej słyszalne. Czyjeś głosy, przesuwanie przedmiotów, kroki. Później odczuwa swoje ciało. Nic ją nie boli, ale ciało jest ciężkie, jakby po wielkim wysiłku fizycznym, takie samo uczucie jak nazajutrz po intensywnych zajęciach sportowych. Czuje na swoim przegubie czyjaś mocną dłoń. Stara się otworzyć oczy, ale powieki są ociężałe.

– Jak się pani czuje? Napędziła nam pani strachu.

Męski głos.

I znowu nicość. Cisza, jakby była w otchłani. Nieobecność.

Jakieś głosy nad nią.

– Jeszcze śpi. Obudzić ją? Musi wziąć lekarstwa.

– Nie, niech śpi. Zbadałem puls. Musi odpocząć.

Znowu powraca do świata myśli. „Gdzie ja jestem? Kto to mówi? Co się stało?” Udaje się jej poruszyć ręką, czuje ból na ustach, dotyka ich, ma opuchnięte wargi. Unosi powoli powieki. Podłoga z płytek PCV, metalowe łóżko, biała pościel, korytarz, wiele drzwi. „Jestem w szpitalu”. Znowu zamyka oczy. Jest już obecna. Powoli wraca jej pamięć. Kwiecień, niedziela, słoneczny piękny dzień.

– Mamo, zaraz wrócę. Idę tylko na zastrzyk.

– Zosiu, dzisiaj jest niedziela.

– Tak, ale w przychodni przy Żeromskiego ma dyżur pielęgniarka.

Zbiega po schodach. Zagląda po drodze do wszystkich ogródków przy Płatniczej.

Wszędzie pełno kwiatów. Powinna być szczęśliwa. Paszport już ma. Niedługo jedzie do Francji. Nie zastanawia się nad tym, jak tam będzie. Myśli o Jacku. Niby na nią czeka, często pisze listy. Jest jednak coś, czego nie potrafi określić. Jakieś przeczucie, że coś się zmieniło, coś, czego nie rozumie, bo nie wie, czy jest to zmiana, która zaszła w nim, czy też to jej niepokój i niepewność.

Pielęgniarkę dyżurną widzi po raz pierwszy. Nie uśmiecha się i nie odzywa do niej ani słowem. Inaczej niż te, które tutaj zazwyczaj spotykała. Wbija jej igłę w żyłę i energicznie naciska tłok strzykawki.

– Za szybko. To nie tak. Trzeba powolutku! – krzyczy Zosia. – Jest mi słabo!

– Nie znasz się na tym. Trzeba szybko, żeby zadziało.

Zastrzyk zrobiony w minutę. Zataczając się, Zosia wybiega z przychodni. Ogarnia ją panika, nie wie, co się z nią dzieje. Rodzaj chaosu w całym ciele. Nie myśli. Boi się. Musi dotrzeć do domu. Niekończąca się długa droga. Idzie jakby po omacku. Dom. Klucz wypada jej z rąk. Udaje się. Wchodzi po schodach, przytrzymując się poręczy.

– Zosieńko, co się dzieje?

– Nic, mamo. Położę się na chwilę.

– Zrobiłam ci kanapki. Zaraz przyniosę na górę.

Dociera na facjatkę. Telefon. Numer zna na pamięć. Słuchawkę podnosi ojciec Krzyśka.

Pewnie wrócił z delegacji.

– Dzień dobry, mówi Zosia.

– Krzyś siedzi w wannie.

– Proszę mu powiedzieć, że bardzo źle się czuję. Potrzebuję pomocy.

Skąd wie, że zaraz po nią przyjedzie? Przecież nie jest teraz w stanie myśleć logicznie. Zwleka się jednak po schodach. Po drodze spotyka mamę z talerzem kanapek.

– Mamo, nie mogę. Krzysiek zawiezie mnie do szpitala. Coś jest nie tak. Nie martw się. Zaraz wrócę.

Kiedy wychodzi z domu, Krzysiek właśnie podjeżdża, wbiega przez furtkę, bierze Zosię

na ręce i wnosi do samochodu. Zosia widzi tylko przerażoną twarz mamy.

- Jedziemy do mojej macochy. Ma dyżur w przychodni.
- Obiecuj, że zaraz wrócisz, by uspokoić moją mamę – prosi Zosia.
- Obiecuję.

Wszystko jest przyspieszone. Detale znikają. Znowu jakaś przychodnia i macocha Krzyńska, pani doktor. Badanie.

- Jedź z nią natychmiast do Szpitala Bielańskiego. Będzie szybciej niż karetką.
- Co jej jest?
- Nie wiem. Prawdopodobnie za szybko zrobiony zastrzyk. Przypuszczam, że wywołał

w jej organizmie rodzaj szoku, jakieś zmiany chemiczne. To temat dla naukowców.

Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Szybko! Leje ci się przez ręce!

Szpital Bielański. Lekarze.

- Chciałaś się zabić?
- Nie. Nie mam powodu.
- Nie wierzę w twoją historię o zastrzyku.

Czuje, że traci świadomość. Panika.

Już dobrze. Siedzi na wózku, będą ją gdzieś wieźli. Boi się.

Kuca przy niej młoda lekarka. Bierze ją za rękę. Ma piękną twarz otoczoną złotymi lokami. Duże niebieskie oczy. Jest pierwszą osobą w tym szpitalu, która nie unika jej spojrzenia. Jest zatroskana, ale uśmiecha się do niej.

- Niech się pani nie boi. Będę przy pani.

Znowu nicość. Powrót. Zimno. I głosy. Sala reanimacyjna. Otwiera oczy. Młoda lekarka pochyła się nad nią.

- Baliśmy się. Odeszła nam pani.

I później nic. Długi sen bez snów.

Znowu otwiera oczy. Siedzą przy niej mama i Alicja. Nic nie mówią.

Następny dzień. Już nie leży na korytarzu, tylko w sali z innymi kobietami. Rozmawiają o niej. „Ciągłe śpi”.

Mijają dni. Mama i Alicja odwiedzają ją codziennie. Jest coraz lepiej. Dużo rozmawiają. Nie wspominają jednak o tym, co się stało, bo całe wydarzenie wydaje się niezrozumiałe i nieprawdopodobne. Zosia jest przekonana, że pielęgniarka żywiła do niej niechęć. A może była zła na cały świat? Może jeszcze spotkać w swoim życiu takie osoby. Jedynym sposobem, aby je rozpoznać, jest intuicja.

Dni w szpitalu są do siebie podobne, wyznaczone rytmem posiłków, zażywanych lekarstw i wizyt. A dla Zosi również listami od Jacka, które przynosi jej mama. Jacek wydaje się obcy. Czytając jego listy, nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że jego świat, zapewne kolorowy jak w kalejdoskopie i oszałamiający, różni się całkowicie od tego tutaj, w tym bielańskim szpitalu, gdzie codzienne dramaty chorych przeplatają się z zachowaniami wynikającymi ze zwykłej ludzkiej natury, czasami dobrej, czasami złośliwej, a często też po prostu głupiej. Zosia słucha rozmów innych pacjentek, opowieści z ich życia. O mężach, dzieciach, teściowych, gotowaniu, sprzątanii, dolegliwościach. Za nic na świecie nie chciałyby mieć ich życia. Dobrze, że nie wypytują jej o nic, prawie nie zwracają na nią uwagi. Pewnie uważają, że jest za smarkata, by uczestniczyć w ich rozmowach.

W łóżku obok leży młoda kobieta, która niewiele mówi. W niedzielę odwiedza ją mąż z małym synkiem. Malec jest uroczy i uporczywie wpatruje się w Zosię. Któregoś razu po ich wyjściu kobieta stwierdza:

- Spodobała mu się pani. Był jak zaczarowany.

- Jest milutki. I jaki podobny do pani i pani męża.
  - Wszyscy tak mówią. Adoptowaliśmy go, kiedy był niemowlakiem.
  - To niemożliwe.
  - Naprawdę. Nie wiem, jak to się stało, ale upodobił się do nas. A teraz będziemy mieli kolejne dziecko. Własne.
  - Jak to możliwe?
  - Nie wiem. Życie czasami jest dziwne.
- Od tego dnia czasami ze sobą rozmawiały, a mały chłopczyk, przychodząc w odwiedziny, za każdym razem wpatrywał się w Zosię.

Jacek żył swoim nowym życiem, jakby miał nadmiar tlenu. Zachłystywał się nim, nabierał powietrza w płuca i wydawało mu się, że jest go za dużo. Smakował je również oczami. Interesowało go dosłownie wszystko. Większość czasu spędzał na ulicach. Przechadzał się, spacerował, włóczył po Paryżu bez celu, pochłaniając wzrokiem wszystko, co napotkał. Czy byli to zwykli przechodnie, prostytutki, kloszardzi czy uliczni grajkowie – wszyscy wydawali mu się wolni. Wędrując ulicami, czasami przeciskając się przez tłum turystów przy Les Halles, czuł się wrośnięty w to miasto, jakby mieszkał w nim od zawsze. Nie chciał pamiętać o swoim poprzednim życiu. Nie chciał mieć ciągłego poczucia winy na myśl o rodzicach, matce, domu, o tym, co za sobą zostawił... Gdyby nie ciocia Jadzia, która ciągle przypominała mu o wszystkim, o czym starał się zapomnieć, czułby się całkowicie wolny. Istnieją przecież jakieś skuteczne sposoby na zapomnienie. Na to, by stać się człowiekiem Zachodu. Pozbył się już swoich butów do chodzenia po górach, bo zauważył, że nikt tutaj takich nie nosi. Kupił sobie kowbojki i mimo że były mniej wygodne, czuł się w nich o wiele lepiej.

Był słoneczny dzień kwietnia i paryżanie wylegli tłumnie na ulice; siedzieli na tarasach przed kawiarniami, przechadzali się po ulicach, korzystając z promieni wiosennego słońca. Jacek myślał o Dolores. Poznał ją na korytarzu na Sorbonie. Nie pamiętał już, kto pierwszy na kogo zwrócił uwagę. W każdym razie zaczęli ze sobą rozmawiać. Pochodziła z Madrytu i przyjechała do Paryża na studia; w tym roku już je kończyła. Od pierwszego wieczoru mieli sobie dużo do powiedzenia. Ona opowiadała mu o Hiszpanii i rządach Franco, które wzbudzały w niej złe wspomnienia. On mówił o „Solidarności”. Dolores poznała go z grupą swoich hiszpańskich przyjaciół i od tamtego czasu spędzał z nimi wszystkie popołudnia i wieczory. W ciągu dnia był albo na Sorbonie, albo malował apartamenty bogatej francuskiej burżuazji. Raz w tygodniu, przeważnie w środy, chodził do Valérie, by udzielać jej lekcji polskiego. Valérie już nieźle sobie radziła z mówieniem, co było to dla niego powodem do dumy, chociaż wiedział, że tak naprawdę to zasługa jej samozaparcia, pracowitości i najprawdopodobniej zdolności językowych.

Był teraz bardzo zajęty, ale to nie przeszkadzało mu włóczyć się po Paryżu, przeważnie bez celu. Obsesyjnie myślał o Dolores, z każdym dniem coraz intensywniej. O jej czarnych długich włosach, wielkich ciemnych oczach i namiętych ustach. O jej ciele – silnym i umięśnionym. Niemal codziennie zapraszała go do siebie na noc. Najpierw przygotowywała kolację, jakieś hiszpańskie dania z patelni, a później szli do jej sypialni i nikomu nie przeszkadzało, że w pokoju obok, bez drzwi, przebywała jej hiszpańska współlokatorka. Tak wyglądała prawdziwa wolność.

Czuł, że Dolores jest w nim zakochana, była zazdrosna i ogromnie zaborcza. Kiedy powiedział jej, że ma w Polsce dziewczynę, chciała wiedzieć o niej wszystko. Wpadła w straszną złość. Miotła się i krzyczała. Jemu bardzo się to podobało. Zrobił wszystko, żeby ją udobruchać, i przez krótki czas znów było im razem dobrze. Od tego dnia jednak, za każdym razem kiedy się spotykali, robiła mu sceny zazdrości. Miała prawdziwie południowy temperament.

Ciocia Jadzia wciąż się dopytywała, dlaczego nigdy nie ma go w domu, na co odpowiadał, że pracuje dzień i noc.

Dzisiaj, idąc w słońcu, zdał sobie nagle sprawę, że od ponad dwóch tygodni nie dostał listu od Zosi. Zaniepokoił się, bo przeważnie przychodziły trzy tygodniowo. Czyżby coś się stało? A może w jej życiu pojawił się ktoś inny? Dobrze wiedział, jak bardzo podobała się jego kolegom. Na samą myśl o tym poczuł zazdrość. Ciekawe, że lubił to uczucie. Po chwili jednak znowu ogarnął go niepokój. Wszedł do pierwszej napotkanej budki telefonicznej. W kieszeni miał sporo monet. Po pierwszym sygnale usłyszał głos Alicji.

– Mówi Jacek. Czy coś się stało? Już od dawna nie dostałem...

– Tak. Zośka jest w szpitalu.

- ...
- Jest już dobrze, ale była reanimowana.
- Co się stało?
- Zastrzyk. Źle zrobiony.
- Jak mogę pomóc? Może czegoś jej potrzeba? Może coś do jedzenia?
- Nie, jest już dobrze.
- W którym szpitalu?
- Bielańskim.
- Kiedy wyjdzie?
- Jeszcze nie wiemy.
- Zadzwoń za jakiś czas.

Zosia. Jest taka delikatna. I ten Szpital Bielański, miejsce zupełnie dla niej nieodpowiednie. Przez chwilę był bliski płaczu. Nagle stanęła mu przed oczyma jej dziewczęca buzia i malujące się na niej różne uczucia. Zadzwoił do domu rodziców i prosił siostrę, żeby odwiedziła Zosię w szpitalu i zaniósła jej jakąś dobrą książkę. Od razu poczuł się lepiej. Znowu wrócił do swojej rzeczywistości. Na razie była Dolores i jej hiszpański świat.

W kwietniu do Paryża przyjechał Andrzej. Tym razem miał więcej czasu dla Valérie. Zaprosiła go do siebie do domu na obiad, którego głównym daniem był *bœuf bourguignon*. Dzieci sprawowały się bardzo grzecznie. Spokojnie siedziały przy stole, wpatrzone w Andrzeja, a on starał się zachowywać tak, żeby mogły uczestniczyć w rozmowie. Przyniósł ze sobą dwa wielkie ciasta przywiezione z Polski, makowiec i sernik od Bliklego; oba bardzo wszystkim smakowały. Na środku stołu Valérie postawiła bukiet kolorowych, wyglądających jak polne, kwiatów, który Andrzej ofiarował jej przy powitaniu. Kiedy po obiedzie dzieci poszły pobawić się do swojego pokoju, Andrzej wyjął z kieszeni marynarki małą szkatułkę i podał ją Valérie. Był w niej srebrny naszyjnik z bursztynami.

- Andrzej, nie trzeba było. Jest piękny, ale...
- Załóż go. Pomogę ci...

Jeszcze nigdy nikt nie myślał o niej w ten sposób, nie starał się sprawić jej przyjemność. Andrzej wydawał się w jej towarzystwie szczęśliwy, a jednocześnie smutny. Nie ośmielała się zadawać mu pytań.

Następnego dnia przyszedł znowu. Biegła z biura do domu, żeby dotrzeć tam jak najwcześniej. Dzieci były jeszcze u Elke, która odebrała je ze szkoły. Andrzej wziął ją w ramiona już w przedpokoju. Długo czekali na tę chwilę.

- Andrzej, zostań.

Nic nie odpowiedział. Stali tak przytuleni. Na schodach rozległy się głosy. To Elke przyprowadziła dzieci.

- Elke, to Andrzej, mówiłam ci o nim.
- Bardzo mi miło. Niech pan przyjdzie dzisiaj do nas na kolację.
- Andrzej zawahał się i pytającym wzrokiem popatrzył na Valérie.
- Dobrze, Elke, przyjdziemy. Będziemy o ósmej. Położę dzieci wcześniej spać.

Wytworzyła się miła, rodzinna atmosfera. Dzieci trochę pobiegały, po czym zaczęły się wspinać Andrzejowi na kolana. On zaś opowiedział im po angielsku jakąś historyjkę, którą nie do końca zrozumiały, ale nie to było ważne. Poczuł, jak bardzo brakowało im ojca. Prawdopodobnie każdy sympatyczny mężczyzna mógł dla nich stanowić jego namiastkę.

Kolacja u Jeana i Elke odbyła się w wąskim gronie, byli tylko we czworo, ale bardzo miło spędzili czas. Rozmowa dotyczyła oczywiście aktualnej sytuacji politycznej w Polsce. Gospodarze okazwali Andrzejowi wielkie zainteresowanie i zadawali mu mnóstwo pytań, żeby

lepiej zrozumieć, co się dzieje w jego kraju, bo wprawdzie prawie codziennie w prasie pojawiały się obszerne artykuły na ten temat, ale nie wszystko wydawało się zrozumiałe.

Po kolacji Andrzej odprowadził Valérie do domu i wszedł z nią do mieszkania. Jeszcze raz poprosiła go, żeby został. Uczucie wzięło w końcu górę i stało się to, o czym oboje myśleli już od paru miesięcy. Nazajutrz Andrzej poszedł do przyjaciół po swoją walizkę i został u Valérie przez następne cztery dni, które zostały mu do wyjazdu. Valérie wzięła w pracy dni wolne i odwołała wszystkie zajęcia, nawet lekcje polskiego z Jackiem. Nie przypuszczała, że kiedyś będzie jeszcze szczęśliwa. Teraz wydawało się jej, że wszystko jest możliwe. Wyjazd Andrzeja był tylko zapowiedzią ich rychłego spotkania.

Nie potrafiła wrócić do codziennych zajęć, ale z jeszcze większą determinacją przykładała się do nauki polskiego. Marzyła o ich wspólnym życiu. Była gotowa na wszystkie rozwiązania. Andrzej mógł się przenieść do Paryża. Oczyma wyobraźni widziała go w ich paryskim mieszkaniu, jak przechadza się po polnych drogach w burgundzkiej wiosce, jak jedzie na rowerze w towarzystwie dzieci, jak śmieją się razem z byle czego. Była gotowa również zrezygnować ze wszystkiego, pojechać do Warszawy i tam zamieszkać, byle być blisko niego. Nie chciała myśleć o jego żonie ani o dzieciach, ani jego, ani nawet swoich. Miłość była dla niej czymś w rodzaju upojenia, motywacją do wszelkich działań. Budziła się i zasypiała z myślą o Andrzeju. Dzwonił teraz prawie codziennie, zamieniał z nią parę zdań, pytał o dzieci, o pracę i obiecywał, że znowu się odezwie, jak tylko będzie mógł.

W środę wieczorem przychodził Jacek. Uczyli się dużo, dłużej, niż było ustalone, bo im więcej Valérie potrafiła powiedzieć, tym więcej zadawała pytań. Rozmawiali dużo o Polsce. Jacek tłumaczył jej kontekst historyczno-polityczny obecnej sytuacji. A kiedy zaczynał mówić, to trudno mu było zatrzymać potok słów, tracił poczucie czasu. Opowiadał też o Zosi i gubił się, nagle tracił wątek, bo zdawał sobie sprawę z tego, że jej nie zna, właściwie nic o niej nie wie. Jak to możliwe, że pojął to dopiero teraz? Valérie słuchała, nic nie rozumiejąc. Jacek opowiadał o swojej dziewczynie, nagle zamilkł, a na jego twarzy pojawił się lęk.

– Ona przyjedzie w czerwcu czy lipcu. Nie pamiętam. Nie znam jej wcale, nie rozumiem. Zapominam o niej. O jej istnieniu. Piszemy do siebie listy, czasami dzwonię. Ale wszystko jest takie na niby. Nie wiem, co robić.

Valérie nie wiedziała, co powiedzieć. Nie rozumiała tej sytuacji. Nigdy nie robiła nic na niby. Nie odezwała się. Oboje milczeli. Jacek zbierał się do wyjścia. Valérie odprowadziła go do drzwi. Jacek otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wyszedł bez słowa. Valérie wróciła do salonu, usiadła na kanapie i starała się zebrać myśli. Zapragnęła zrozumieć Jacka, ale zdała sobie sprawę, że nie jest to jej świat. Oni są inni. Tok jej myśli przerwał dźwięk telefonu. To matka.

– Valérie, tylko się nie denerwuj. Tata miał zawał. Jest w szpitalu.

– O Boże!

– Jest już lepiej. Przyjedziesz?

– Tak.

Zadzwoiła do Elke. Zorganizowała opiekę nad dziećmi. Rano kupiła bilet. W pracy wzięła wolne. Ojciec. Kochany, milczący ojciec, na którego zawsze mogła liczyć, który rozumiał ją zawsze lepiej niż matka. Zatelefonowała do Londynu do ciotki Deborah, ale dowiedziała się od wujka Chrisa, że ciotka jest już w samolocie i leci do Australii. Valérie wyleciała następnego dnia. W samolocie starała się uspokoić myśli. Musi się skupić na czymś innym, nie na ojcu. Pomyślała o Andrzeju, ale nagle nabrała dystansu do ich związku. Co tak naprawdę się teraz liczy? Poczula zmęczenie. Godziny wlokły się w nieskończoność. Starła się czytać. Wzięła ze sobą również podręczniki do polskiego. Nauka ją uspokoiła. W końcu zasnęła.

Na lotnisku w Sydney wyjdzie po nią brat. Nagle, stojąc w kolejce do wyjścia, Valérie

zobaczyła oddalającą się w przeciwnym kierunku Mary. Tę samą Mary, która zaopiekowała się nią, kiedy uciekała z dziećmi z Włoch, która przez całą podróż jej towarzyszyła, o której myślała tyle razy, lecz nie знаła jej adresu, bo wtedy, wyczerpana, nie pomyślała, żeby go zapisać. I teraz dostrzegła ją w oddali. Pobiegła za nią. Tamta była już daleko.

– Mary, Mary... Mary... Mary...

W końcu dobiegła do niej zdyszana. Miała ochotę rzucić jej się na szyję. Opowiedzieć jej wszystko. Poradzić się. Mary na pewno ją zrozumie. Będzie umiała poradzić, jak rozwiązać dylemat z Andrzejem. Co dalej?

– Mary!... Mary!

Mary się odwróciła. Stała zdziwiona. Patrzyły na siebie. Dopiero teraz Valérie zrozumiała, że to nie Mary. Kobieta była do niej podobna, miała takie same włosy, sylwetkę, ale inną twarz. Inne oczy. Inne spojrzenie.

– Przepraszam, pomyliłam się.

Valérie powoli odeszła. Płakała. Po raz pierwszy od wielu lat. Zapomniała już, że można płakać. Że łzy pomagają i leczą. Była zawsze dzielna, silna. Teraz poczuła się zmęczona i bardzo samotna. Miała przez chwilę nadzieję, że jej towarzyszka podróży, tamtej odległej, zdoła jej jakoś pomóc, zrozumie ją, ale znowu została sama ze sobą.

Wyszła z tłumu przyjezdnych. Edward wziął ją w ramiona.

– Valérie, nie płacz. Z tatą jest lepiej.

Valérie jednak zaniósła się płaczem. Już nie potrafiła powstrzymać łez i nawet nie chciała. Płakała za wszystkie te lata, kiedy walczyła o siebie, o dzieci.

Pojechali prosto do szpitala. Edward miał zatroskaną twarz. W sali na górze czekała na nich cała rodzina, ale najpierw poszli do kawiarni na dole napić się czegoś, coś zjeść, by Valérie mogła się uspokoić. Edward nie pytał o nic, był tak samo mało mówny jak ojciec. Valérie wypila gorącą czekoladę i uśmiechnęła się do brata. Czekolada jest dobra na wszystko.

– Kiedy przyjedziesz do Francji?

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie wiem.

– Ostatnio myślałem o tym. Nawet miałem napisać w tej sprawie do babci. Mógłbym jej pomóc zająć się domem.

– Przyjedź, Edwardzie. Razem będzie nam raźniej.

Poszli na górę. Ojciec wyglądał na bardzo osłabionego, był podłączony do aparatury. Matka, wyraźnie zmęczona, siedziała w fotelu przy łóżku. Siostra i drugi brat krążyli między pokojem a kawiarnią. Ciotka Deborah powitała Valérie serdecznie. Valérie podeszła do łóżka. Stanęła nad ojcem. Tak bardzo zmienił się na twarzy. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Valérie wzięła rękę ojca w swoje dłonie. Słowa nie były potrzebne.

Została w Australii przez tydzień, a kiedy lekarze stwierdzili, że stan chorego poprawił się na tyle, że może wrócić do domu, kupiła bilet powrotny, przytuliła policzek do ręki ojca, powiedziała: „Uważaj na siebie, tato”, i wyjechała. Znowu trochę zmieniona.

Zosia wysiadła z samolotu w Paryżu. Lotnisko jest kompletnie inne niż w Warszawie. Poszła za tłumem podróżnych, nie chcąc się zgubić. Przeszła przez odprawę paszportową. Celnik uważnie obejrzał jej paszport, porównując zdjęcie z jej twarzą, przybił pieczętkę. W końcu Zosia wyszła. W tłumie oczekujących dostrzegła Jacka. Przez sekundę przeszło jej przez myśl, że wygląda inaczej, ale nie potrafiła stwierdzić dlaczego. Jakby był kimś innym. Miała wrażenie, że czeka na nią obcy mężczyzna. Jego zachowanie było również inne.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka nieśmiała.

To jego pierwsze słowa. Nie pamiętała powrotu z lotniska. Była zaszokowana tłumem ludzi. Językiem, który wokół niej wibrował i którego prawie nie rozumiała. Różnił się od tego, którego uczyła się w szkole. Mówili tak szybko i niewyraźnie. Jacek poprowadził ją do kamienicy przy rue de Cambonne, na szóste piętro bez windy. Wspięli się po stromych schodach. Weszli do małego mieszkania, gdzie prysznic był właściwie w przedpokoju, na wprost drzwi wejściowych, a kuchnia we wnęce pokoju, z którego przechodziło się do drugiego pomieszczenia. Zosia jeszcze nigdy nie widziała tak dziwnego mieszkania. Podłoga była jednak drewniana, a stropy wysokie. W pierwszym pokoju stał duży okrągły stół i dwa stare rzeźbione krzesła z poprzedniej epoki, bardzo zniszczone. Pod ścianą wąskie łóżko z wystającymi sprężynami przykryte pomarańczową kapą.

– Ubikacja jest na korytarzu – poinformował Jacek.

W drugim pokoju znajdowało się duże łóżko i zasłonięta tkaniną wnęką z półkami. Zosia rozejrzała się po pokoju, jakby czegoś szukała. Nagle jej wzrok natrafił na rysunek wiszący naprzeciwko łóżka. Przedstawiał nagą, siedzącą postać dziewczyny o okrągłych kształtach. Dziewczyna miała głowę zwróconą w stronę łóżka i szeroko otwarte oczy o świdrującym spojrzeniu. Zosia nie wiedziała dlaczego, ale po plecach przeszły jej ciarki.

– Kim jest ta dziewczyna? Znasz ją?

– To Dolores, poprzednia lokatorka.

– Możemy zdjąć ten rysunek?

– Dlaczego?

– Nie podoba mi się jej spojrzenie.

– Prosiła, żeby go zostawić. Narysowała ją koleżanka, która tu z nią mieszkała.

Jacek poszedł odgrzać puszkę soczewicy. Powiedział, że nie ma nic innego do jedzenia i że krucho u niego z pieniędzmi.

– Masz może jakieś fundusze?

– Tak, mama dała mi trochę dolarów, wszystko, co miała.

– Możesz pożyczyć?

Zosia, trochę oszołomiona, dała mu całą sumę.

Jacek zasiadł przy stole i zaczął zajadać brązową breję polaną octem winnym. Zosia poczuła się nieswojo. Nie wiedziała dlaczego.

Wieczorem stali przy oknie. Myślała o tym, że tutaj wszystko jest inne, nawet okna. Chciała się do niego przytulić, miał na sobie ten sam stary sweter, który nosił w Warszawie.

– Przyjechałaś za późno.

Była zmęczona. Wszystko było inne. On też był inny. Może uda jej się zrozumieć coś więcej, kiedy odpocznie i się wyśpi.

Rano, kiedy podniosła powieki, jej spojrzenie napotkało wzrok nieruchomych natarczywych oczu Dolores. Zaproponowała, by wyrzucić rysunek, ale Jacek nie chciał o tym słyszeć. Usiadł na brzegu łóżka z planem metra i tłumaczył jej, jak ma dojechać na stację Passy, gdzie będzie dzisiaj malował mieszkanie przy rue de Passy. Zosia bała się, że zabłądzi, ale przekonał ją, że mając plan metra, na pewno da sobie radę.



Późnym rankiem wyszła na rue de Cambronne. W ręce trzymała kartkę z planem ulic do stacji metra Cambronne i opisem, jak później dojść od metra do rue de Passy. Szła powoli i niepewnie, rozglądając się dookoła. Najbardziej podobały jej się wiadukty, po których metro jeździło na powierzchni. I paryskie kamienice. Obserwowała zachowanie ludzi w metrze. Miała wrażenie, że nikt na nikogo nie zwraca uwagi, a jeśli już ktoś chce się komuś przyjrzeć, to patrzy raczej na jego odbicie w brudnej szybie, a nie prosto w twarz. Wsiadła na stacji Passy i poszła według opisu na kartce. Wspięła się po schodach, a później skręciła w lewo. Kiedy znalazła się na rue de Passy, ujrzała niezwykle widok. Nagle poczuła się, jakby brała udział w filmie. Po lewej stronie ulicy był bank, a przed nim dwaj policjanci: jeden przykucnięty z pistoletem w ręce za samochodem obserwował wejście do banku, a drugi stał przy ścianie i odganiał przechodniów. Zosia, niewiele się zastanawiając, przycupnęła obok policjanta za samochodem. Sytuacja wydawała jej się niesamowita, a to był dopiero jej pierwszy dzień w Paryżu. Policjant nie od razu ją zauważył. Po chwili jednak zaczął dawać nerwowe znaki, że ma stamtąd odejść. Nie od razu zareagowała, ale on nie dawał za wygraną. W końcu wstała i poszła dalej, nie oglądając się za siebie.

Znalazła adres, pod którym pracował Jacek. Była to piękna, elegancka kamienica, a apartament okazał się olbrzymi, z drewnianymi podłogami, starymi meblami i rzeźbionymi sufitami; na ścianach znajdowały się tapety, przy podłogach wysokie na pół metra drewniane profilowane lamperie, w drzwiach okrągłe mosiężne klamki. W oknach wisiały podwójne zasłony. Każdy detal był dopracowany i przemyślany. Nie było tam przedmiotu czy koloru, który nie pasowałby do całości wnętrza.

Jacek wszedł na drabinę i kontynuował malowanie sufitu. Na podłodze leżały niebieskie tapety. Zosia przycupnęła na kartonie w rogu pokoju.

– No widzisz, dałaś sobie radę. Bez problemu?

– Bez, miałeś rację. Ale nie uwierzysz, co widziałam.

– Co?

– Chyba napad na bank, na rogu tej ulicy. Zupełnie jak na francuskim filmie. Niestety policjant mnie odpędził, więc niewiele widziałam.

– Bo co, chciałaś uczestniczyć w akcji?

– No przykucnęłam obok policjanta, który ukrył się za samochodem. Miał pistolet w ręce.

– Wariatka jesteś.

– Taka okazja. Aż trudno uwierzyć. Zresztą nie wiem, czy ktoś mi uwierzy.

– No chyba nie.

Jacek jeździł codziennie do pracy na rue de Passy. Zosia czasami go tam odwiedzała, ale w końcu znudziło ją to i zaczęła zwiedzać Paryż. Podobały jej się stare domy, kościoły, parki, muzea, była jednak rozczarowana brudem na ulicach, w metrze i w toaletach. Mówiła, że nie może zwyczajnie iść przed siebie, bo ciągle musi patrzeć pod nogi. Ludzie wydawali jej się obcy, określała ich wyrazem „obojętni”. Do metra wsiadała zawsze ostatnia, bo wszyscy bardzo się śpieszyli, zwłaszcza mężczyźni, i to oni zajmowali miejsca siedzące. Zupełnie jak w dżungli, gdzie panuje prawo silniejszego. Kobiety jakby się z tym pogodziły, nie okazywały nawet niezadowolenia czy rozczarowania. Któregoś dnia wsiadła do wagonu młoda kobieta w ciąży, już bardzo zaawansowanej. Zosia rozejrzała się po podróżnych, nikt nie patrzył na kobietę, chociaż była pewna, że wszyscy ją widzieli. Z miejsca podniosła się tylko jedna osoba, inwalida o kulach. Nagle wszyscy zaczęli ich obserwować. Kobieta uprzejmie podziękowała, ale nie chciała skorzystać z miejsca, on z kolei nalegał. Stali tak naprzeciwko siebie i dziękowali sobie nawzajem. Zosia rozejrzała się po wagonie. Wszyscy obserwowali rozwój sytuacji, ale na twarzy żadnego pasażera nie malowało się uczucie wstydu ani nawet jego namiastki. „Dziwny naród”,

pomyślała. W końcu kobieta usiadła, a inwalida, kiwając się na wszystkie strony, stał oparty o metalowy pręt; po dwóch stacjach wysiadł. Zosia przysięgła sobie, że kiedy już będzie mówić płynnie po francusku i natrafi na kogoś w potrzebie, kobietę w ciąży, staruszkę czy inwalidę, będzie zawstydzając ludzi, głośno żądając, by ustąpiono takiej osobie miejsca.

Wieczorami relacjonowała Jackowi, jak spędzała dni. Mówiła o swoich wyprawach do muzeów, parków, kościołów. Tego dnia opowiedziała mu o kobiecie w ciąży, inwalidzie i reakcji pasażerów.

– Czy ty ich rozumiesz?

– Nie.

– I nie martwi cię, że tacy są?

– Nie.

Opowiedziała mu też treść filmów, które widziała ostatniej zimy na konfrontacjach, bo prosił, żeby coś do niego mówiła. Były to między innymi *Czas Apokalipsy*, *Niewinne*.

– Czy ty mnie słuchasz?

– Nie, słucham tylko twojego głosu.

Nie była pewna, jak długo jeszcze będzie w stanie znosić jego zachowanie. Może to było tylko jego specyficzne poczucie humoru?

Któregoś wieczoru, kiedy Zosia była już w piżamie, Jacek wbiegł do mieszkania zdyszany, bardzo z czegoś zadowolony.

– Zaprosiłem do nas na noc kloszarda.

– Co takiego?!

– No, kloszarda, włoskiego kloszarda. Powiedział, że już od dawna nie jadł nic ciepłego. Marzy mu się makaron.

– ...

– Tylko na jedną noc. Uprzedziłem go, że w nocy może będziesz chciała iść do ubikacji na korytarzu, więc przejdiesz przez pokój, w którym będzie spał. Zgodził się.

Jacek nie czekał na odpowiedź. Zbiegł na dół i po chwili wrócił z mężczyzną, który nie wyglądał na kloszarda. Był w średnim wieku, o ciemnych włosach i bardzo opalonej twarzy. Rozejrzał się po mieszkaniu, wypróbował pryczę z wystającymi sprężynami, na której miał spać. Pokręcił głową i powiedział, że chce ugotować sobie pastę. Podśpiewując i pogwizdując, zaczął przygotowywać kolację. Poprosił o masło. „Nie mamy masła”. Na twarzy Włocha pojawiło się zdziwienie i rozczarowanie. Jacek bardzo przeproszał, tłumacząc, że nie mają lodówki. Następnego ranka obaj wyszli razem. Jacek do pracy, a włoski kloszard prawdopodobnie na paryskie ulice. Wieczorem znowu czekał na dole na Jacka i poprosił o nocleg. Tym razem jednak Zosia nie wyraziła zgody, a raczej odważyła się zaprotestować.

Kilka dni później, kiedy siedzieli przy kolacji, ktoś energicznie zapukał do drzwi. Przez chwilę się zawahali. Czyżby to znowu ten Włoch? W końcu Jacek otworzył drzwi. „Marek, co ty tu robisz?”. Marek wszedł roześmiany do mieszkania z wielką torbą na ramieniu. „Nie macie telefonu, więc przyjechałem”. „Super, Marek, cieszymy się, że tu jesteś”. Postanowił zostać z nimi parę dni przed wyjazdem na południe. Opowiadali sobie różne historie z życia i zaśmiewali się do późnej nocy. Następnego dnia Jacek poszedł do pracy, a Marek miał coś załatwić w Paryżu. Po kilku godzinach wrócił i ucieszył się, że zastał Zosię w domu. Przycupnął na parapecie okna, a Zosia, siedząc w głębi pokoju, słuchała jego opowieści miłosnych, skomplikowanych i nie do rozwiązania. Patrzyła, jak wiatr rozwiewa jego długie rude włosy, słuchała jego głosu i wiedziała, że nie zapomni tej sceny, że być może jest to jedna z ostatnich beztroskich chwil w ich życiu.

Któregoś dnia Jacek zakomunikował, że Valérie zaprasza ich do siebie na obiad.

– I nie bądź o nią zazdrosna. Kiedy wspomniałem jej, że masz wątpliwości co do naszych relacji, odpowiedziała, że nie musisz się niczego obawiać, bo jestem dla niej za młody.

– Po co tyle mówisz, Jacku? Po co opowiadasz wszystkim, co mówię, co robię, co myślę? Odbierasz mi możliwość zaistnienia przed ludźmi, bo wytwarzają sobie mój obraz, zanim jeszcze mnie poznają.

W niedzielę poszli na rue des Écoles. Klatka schodowa, ze staroświeckimi dębowymi schodami i poręczami, wydała się Zosi niezwykle piękna. W drzwiach czekała na nich Valérie z dziećmi. Zosia ucieszyła się na jej widok, jakby znały się już od lat. Była piękna, elegancka i urocza. Zaprosiła ich do środka, przywitała się serdecznie z Zosią i przedstawiła jej swoje dzieci, które wpatrywały się w nią bez słowa. Valérie mówiła już po polsku, poprosiła, żeby Zosia nie krępowała się ją poprawiać, gdyby robiła błędy. Pokazała Zosi całe mieszkanie, a Zosia się nim zachwyciła. Wszystkie pomieszczenia były przechodnie, całe mieszkanie zbudowano wokół podwórka.

– Zosiu, możesz przychodzić do mnie, kiedy tylko chcesz – powiedziała na pożegnanie.

– Dobrze, zadzwonię przed przyjściem.

Kiedy wyszli, Jacek był zadowolony, ale też zazdrosny.

– Kradniesz mi wszystkich znajomych. Najpierw uwiodłaś mi najlepszych kumpli, a teraz zaprzyjaźniłaś się z Valérie.

– Nie zaprzyjaźniam się ze wszystkimi twoimi znajomymi. Z tą Dolores bym chyba nie chciała.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Tak mi się wydaje. Nie podoba mi się jej spojrzenie.

– To tylko rysunek.

– Chyba dosyć wierny.

Valérie była ciekawa Zosi, zwłaszcza po rozmowie z Jackiem, w której stwierdził, że ich znajomość jest na niby. Czy ona, ta dziewczyna, jest też na niby? Ciekawa była swoich pierwszych odczuć po spotkaniu z Zosią. Bała się, że może będzie podobna do Haliny o kamiennej twarzy i zimnym spojrzeniu. W niedzielę stała w drzwiach otoczona dziećmi, które też były przejęte wizytą gości. W końcu weszli na górę, punktualnie co do minuty. Zobaczyła najpierw burzę kasztanowych loków Zosi, a później jej dziecinną buzię. Uśmiechnęły się do siebie. Valérie wiedziała już, że się polubią. Wiedziała, że Zosia wcale nie jest na niby, jest jak najbardziej prawdziwa.

Od tego dnia Zosia od czasu do czasu wpadała do niej, żeby trochę „posiedzieć”, jak mówiła. Opowiadały sobie o różnych sprawach, Zosia chciała wiedzieć wszystko o Australii, o jej życiu we Włoszech, o ucieczce stamtąd.

– A nie mogłaś tak po prostu powiedzieć, że wyjeżdżasz? Że masz dosyć? Nie mogłaś kogoś poprosić o pomoc?

– No nie. Włochy to kraj bardzo tradycyjny, zwłaszcza w małych miasteczkach.

– A co by się stało, gdybyś jednak powiedziała, że wyjeżdżasz?

– Nie wiem, ale nie pozwoliliby mi. Może nawet użyliby siły. Może zabraliby mi dzieci. Nie wiem.

– Już nie kochasz swojego męża?

– Nie! Ale rozmawiamy czasami przez telefon o dzieciach. I jak będą starsze, będą mogły odwiedzać go w Australii i jego rodzinę we Włoszech.

Valérie miała wielu znajomych, liczną rodzinę, ale żadnej przyjaciółki. Teraz odnosiła wrażenie, że właśnie Zosia jest tą osobą, której w jej życiu brakowało. Opowiadały sobie o swoich sprawach i miło spędzały razem czas. Czasami, rozmawiając, Valérie szyła, a Zosia

robiła kolorowe swetry na drutach. Dzieci lubiły z nimi siedzieć. Zaśmiewały się, kiedy Zosia mówiła do nich po francusku. A Zosia pytała: *Ce n'est pas comme ça?*

Było lato i Valérie wybierała się do Burgundii, gdzie miała zamiar spędzić cały sierpień. Zaprosiła Jacka i Zosię na parę dni do domu babci. Obiecali, że przyjadą.

Postanowili pojechać do Burgundii stopem. Stali przy drodze i zatrzymywali samochody jadące na południe. Najchętniej stawały ciężarówki. Może dlatego że kierowcy ciężarówek jeździli tak dużo i tak daleko, rozmowa z autostopowiczami była dla nich pewnego rodzaju rozrywką. Jacek od razu wdawał się w rozmowy i dyskusje na każdy temat, a Zosia oglądała zmieniające się krajobrazy za oknem. Rozległe winnice, malownicze wioski i miasteczka w oddali. Gdzieś tam jakieś stare wielkie domostwa.

Na miejsce dotarli dopiero późnym wieczorem, a właściwie wczesną nocą. Jacek znał dokładną lokalizację domu babci Valérie. Było wprawdzie ciemno, ale udało im się trafić. Już chcieli zapukać, gdy okazało się, że drzwi są otwarte. Weszli do środka i starając się nie robić hałasu, zajrzeli do najbliższego pomieszczenia.

– Tu ktoś śpi – wyszeptała Zosia.

– I tu też – odpowiedział Jacek. – Może to nie ten dom.

Wycofali się stamtąd i poszli kawałek dalej. Po chwili zobaczyli przed sobą wielki, trzypiętrowy budynek, a następnie długą aleją dotarli do głównego wejścia. Weszli do dużego hallu, gdzie ujrzeni prowadzące na górę dębowe schody. Było ciemno, ale na szczycie schodów zobaczyli małego białego kotka; popatrzył na nich przez chwilę, po czym pobiegł gdzieś korytarzem i zniknął.

– Strasznie tu. I jeszcze ten kot, jak w jakimś horrorze, który kiedyś widziałam – wyszeptała Zosia.

Wspięli się po schodach na piętro. Spod jednych z drzwi wydobywało się światło. Kiedy się zbliżyli, usłyszeli czyjeś szepty po niemiecku. Nagle z drugiego pokoju wybiegła Valérie: w długiej staroświeckiej nocnej koszuli z rozpuszczonymi włosami wyglądała jak zjawia.

– Ojej, w końcu przyjechaliście! Chodźcie do kuchni, dam wam coś do jedzenia.

– Valérie, ktoś tam szepcze po niemiecku.

– Zosiu, to Elke rozmawia ze swoją siostrą.

– A ten mały biały kotek?

– Mieszka tu. To kotek Marii.

Kuchnia była przestronna, z długim ciemnym stołem pośrodku, przy którym mogło zasiąść dwanaście osób. Valérie wyjęła wiejski chleb, sery i masło. Wypytywała ich o podróż i śmiała się, że przyjechali ciężarówką, a kierowca był tak miły, że zjechał z drogi i podwiózł ich prawie pod sam dom.

– Valérie, weszliśmy do jakiegoś domu, na lewo od tego. Drzwi były otwarte. Stały tam dwa łóżka i ktoś na nich spał. Dlaczego śpią przy otwartych drzwiach?

– Bo gorąco. To ciotka i wujek.

Zaprowadziła ich do pokoju na drugim piętrze.

– To mój pokój, ja pójdę do dzieci.

Zostali w niewielkim pokoju urządzonego starymi stylowymi meblami z Burgundii: rzeźbionym łóżkiem i taką samą szafą. Nad łóżkiem wisiał aniołek, podobny do tych, jakie widuje się w kościołach.

– Zobacz, Zosiu, jaki ma dziwny uśmiech.

– Lepiej nic nie mów. Boję się.

Byli bardzo zmęczeni, położyli się i szybko zasnęli. W środku nocy Zosia odniosła wrażenie, że do pokoju weszła kobieta. Miała na sobie długą jasną suknię. Podeszła do łóżka,

pochyliła się nad nią i położyła jej ręce na szyi. Zosia chciała otworzyć oczy, ale nie mogła. Coraz trudniej było jej oddychać. Nagle usłyszała przeraźliwy krzyk Jacka.

– Śniło mi się, że ktoś chciał ci zrobić krzywdę.

Rano poszli do kuchni, gdzie zastali już Valérie i jej dzieci. Wszyscy byli w doskonałych humorach, wybierali się na wycieczkę rowerową. Zosia czuła się zmęczona.

– Valérie, możemy obejrzeć dom? Co jest na górze?

– Sala bilardowa, pokoje. Możecie obejrzeć salę bilardową.

Po śniadaniu weszli na trzecie piętro. Sala bilardowa była dużym pomieszczeniem. Pośrodku stał zielony stół do bilardu, po bokach mniejsze meble: stoliki, krzesła i fotele. Na ścianach wisiały stare olejne portrety. Zosia podeszła do jednego z nich.

– To ona – powiedziała, wskazując Jackowi obraz. – Widziałam ją we śnie.

Portret przedstawiał młodą, dosyć ładną kobietę o smutnej twarzy. Zosia poprosiła Jacka, aby nie mówił nikomu o tym, co wydarzyło się tej nocy; sama postara się dowiedzieć czegoś więcej.

Za dnia dom wydał się im zupełnie inny niż w nocy. Także pokój, w którym spali i który tak bardzo ich przeraził. Z okna roztaczał się widok na całą okolicę i zabudowania dla beagle'ów. Zosię śmieszyło to, że psy mają własny domek i własny ogródek.

Przed południem jeździli po całej okolicy na rowerach i wrócili akurat na obiad, z którym czekała na nich Maria. Przy obiedzie poznali Elke i Jeana. Jean był bardzo sympatyczny, chociaż małowówny. Zosia poczuła jednak, że Elke nie obdarzyła jej sympatią. Przerazało ją świdrujące spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu. Jej głos, głośny sposób mówienia i niemiecki akcent raniły jej uszy. Zauważyła również, że Elke kompletnie ją ignoruje, prawie natychmiast zaprzyjaźniła się natomiast z Jackiem. Od razu weszli w jakąś debatę polityczną. Zosia nie słuchała ich rozmowy, nie wszystko rozumiała, a poza tym wydawało się jej, że Jacek powtarza ciągle to samo, wypowiada się jakby w imieniu tych, którzy działali, robili coś konkretnego: strajkowali, drukowali ulotki, narażali życie swoje i najbliższych. On zaś w tym czasie zachowywał się trochę jak pan młody z „Wesela” Wyspiańskiego. Nie była jednak pewna, czy go sprawiedliwie ocenia, dlatego nic nie powiedziała na ten temat. Nie była również pewna, czy to, co wydarzyło się ostatniej nocy, nie było snem, który przyśnił się im obojgu. Pomyślała, że chyba powinna porozmawiać o tym z Valérie, ona pewnie będzie umiała powiedzieć coś więcej na ten temat. I kiedy zostały same, bo reszta towarzystwa wyszła na ganek, żeby kontynuować rozmowę, opowiedziała jej o przeżyciach ostatniej nocy. W miarę swojej opowieści, widziała, jak twarz Valérie blednie i staje się coraz bardziej zacięta i surowa.

– W naszym domu nie ma duchów! A gdyby nawet były, sprawiłoby mi to tylko przyjemność. Moja rodzina jest mi bardzo bliska, a pokój mojej prababki jest teraz moim pokojem i czuję się w nim bardzo dobrze. To, co teraz mówisz, Zosiu, jest po prostu jakimś wymysłem.

Na tym rozmowę zakończyły. Dziwne, bo Zosia zamiast uwierzyć i poprzestać na zapewnieniach Valérie, nabrała wewnętrznego przekonania, że któregoś dnia znajdzie odpowiedź, która zbliży ją do prawdy o wydarzeniu ostatniej nocy. Czuła, że Valérie chciała się jej pozbyć, że była z jakiegoś powodu zła. Jedynym sposobem, żeby oczyścić atmosferę, wydawała się zmiana tematu. Z ratunkiem przyszła Maria, która oznajmiła, że babcia pragnie poznać polskich przyjaciół Valérie i zaprasza ich do siebie na herbatę. Weszli do jej burgundzkiego, przytulnego saloniku. Babcia, siedząc w swoim ulubionym fotelu, powitała ich serdecznie. Zaprosiła, żeby przy niej usiedli, i wypytywała o rodzinę, przyjaciół i znajomych. Jacek jak zwykle dużo mówił i odpowiadał za nich oboje, bo nie chciał czekać, aż Zosia znajdzie w głowie odpowiednie słowo. Babcia Brigitte uprzejmie słuchała, ale ciągle patrzyła na Zosię,

a na pożegnanie pogładziła ją po policzku i powiedziała: „Trzymaj się dzielnie, moja mała”.

– Babcia od razu cię polubiła, Zosiu, a to bardzo rzadkie – powiedziała Valérie, kiedy wyszli na taras.

Następnego dnia wzięli swoją torbę podróżną, pożegnali się ze wszystkimi i ruszyli z powrotem, zatrzymując na drodze samochody jadące w kierunku Paryża. Burgundia była piękna, malownicza, w przeróżnych odcieniach zieleni, nagrzana sierpniowym słońcem. Kiedy wieczorem dotarli na przedmieścia Paryża, mieli wrażenie, że wjeżdżają do innego świata. Przywitał ich hałas, zaduch i zgiełk. Na klatce schodowej spotkali dozorcę.

– Jakaś młoda kobieta przychodzi tu od dwóch dni i pyta o pana dziewczynę.

– Jak wygląda?

– Ładna, bardzo ładna.

– Coś więcej?

– Nie. Powiedziała, że jeszcze przyjdzie.

Zastanawiali się, kto to mógł być, ale nikt nie przychodził im do głowy.

Następnego dnia wieczorem Jacek wpadł zdyszany na górę.

– Jakaś wariatka chce, żebyś zeszła na dół. Mówi, że jest twoją kuzynką.

– Kuzynką? Jaką kuzynką?

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

– Jak wygląda?

– Jest bardzo atrakcyjna.

– Zaprosiłeś ją, żeby weszła?

– Tak, oczywiście, ale powiedziała, że nie wejdzie, bo nasze mieszkanie jest prawdopodobnie na podsłuchu. Dlatego myślę, że nie jest całkiem normalna.

Zosia zbiegła na dół. Na ulicy, przed wejściem do domu, stała młoda, bardzo piękna kobieta, Zosia zatrzymała się w drzwiach i przyglądała się nieznanemu. Kobieta była wysoka, szczupła, wyjątkowo zgrabna, ubrana w dżinsy, śnieżnobiałą koszulę i modne czółenka. Miała krótkie jasne włosy, piękną twarz o szlachetnych, regularnych rysach i jasnoniebieskie oczy. Poprzednie pokolenie powiedziałyby, że wygląda rasowo.

Stali tak, przyglądając się sobie nawzajem, jakby obie zaskoczone. W końcu kobieta zrobiła parę kroków w stronę Zosi.

– Nie pamiętasz mnie, Zosiu?

– Nie. Jak masz na imię?

– Janka. Jesteśmy bliskimi kuzynkami. Nasze prababki były siostrami.

– Janka z Anina? Ale... byłam jeszcze mała, kiedy widziałyśmy się ostatnio. Ty byłaś już duża.

– Tak, jestem od ciebie starsza o siedem lat.

– Może wejdiesz na górę? Będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

– Nie, spokojnie możemy porozmawiać tylko na ulicy. Wasze mieszkanie jest prawdopodobnie na podsłuchu.

– Tak, wspominałaś o tym Jackowi... Ale skąd możesz to wiedzieć? To chyba jakaś bzdura.

– Nie zadawaj takich pytań. Lepiej, żebyś wiedziała jak najmniej. Nie zauważyłaś niczego dziwnego? Przetawione przedmioty albo coś nie tak jak zwykle?

– Nie. Tylko kot był w mieszkaniu.

– Kot?

– Też byłam zdziwiona.

– Pewnie wszedł z kimś niezauważony.

– Janka, dlaczego miałyby być na podsłuchu? Jacek?  
– Jacek? Nie przypuszczam. Już ci mówiłam, żebyś nie zadawała pytań. Tu jest list od twojego taty. Prosił, żebym zaopiekowała się tobą, ale na razie nie bardzo wiem jak. Masz, przeczytaj i oddaj mi z powrotem.

Zosia rozerwała kopertę, list był pisany naprędce, poznała to po charakterze pisma taty.

Kochana Zosieńko!

Myślę o Tobie, Córeczko, codziennie.

Janka jest Twoją bliską kuzynką. Możesz mieć do niej całkowite zaufanie. Pozostańcie ze sobą w kontakcie, możecie być sobie potrzebne.

Całuję Cię mocno, kochana.

Twój Tata

Zosia zamyśliła się, przycisnęła list do serca. Przypomniała sobie, że tata często mówił o Jance, był w stałym kontakcie z jej matką, ale nie pamiętała tego, co mówił, bo nigdy jej to nie interesowało. Teraz, patrząc na Jankę, chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Janka wyciągnęła rękę po list.

– Nie oddam. Jest do mnie.

– Oddaj. Taka była umowa.

– Nie było żadnej umowy.

– Zosiu, nie bądź dziecinna.

Janka wyjęła z kieszeni zapalniczkę. Podpaliła list, poczekała, aż się spali, i wrzuciła go do otworu kanalizacyjnego.

Zosia przyglądała się jej z przerażeniem. Podniosła głowę. W oknie zobaczyła Jacka, który pukał się palcem w głowę.

– Janka, powiedz coś o sobie. Co robisz w życiu?

– Jestem lekarzem bez specjalizacji.

– Lekarzem? Jak twój dziadek.

– Jak mój ojciec i dziadek.

– Twój dziadek był chirurgiem, pamiętam.

– Ojciec też. Nie mam specjalizacji, ale to raczej nie szkodzi. Mogę jeździć po świecie z konwojem medycznym. To pozwala mi nie tylko nieść ludziom pomoc, ale widzieć rzeczy, które przydają mi się do pisania.

– Piszesz książki?

– Tak. I wszystko, co widzę, jest dla mnie źródłem inspiracji.

– To trochę niebezpieczne.

– To nie ma znaczenia. Nie zależy mi na bezpiecznym życiu. Jest nudne.

– Janka, kiedy możemy się znowu spotkać?

– Przyjdę tu za parę dni. Nie rozmawiaj z nikim na mój temat. Obiecuj.

– Obiecuję.

– Wierzę ci. Masz to samo spojrzenie, co twój ojciec, i w ogóle jesteś do niego podobna.

A ja go bardzo lubię.

– A ty, Janka, jesteś podobna do ciotek ze starych fotografii, tyle że nie nosisz długiej sukni, lecz dzinsy.

Zosia wróciła do budynku, wchodziła powoli po schodach, bo chciała jeszcze przez chwilę być sama, zanim usłyszy pytania Jacka. Kim była Janka? Wydała jej się przerażająco niezależna. Czy była paranoiczką? Tata ją lubił i miał do niej zaufanie, a to chyba najważniejsze.

Taka piękna i jakby otoczona aurą, którą wytwarzają wokół siebie niezwykle osoby. Zosię zaskoczyło to nieoczekiwane spotkanie. Musiała przemyśleć ich rozmowę. Postanowiła wcześniej położyć się do łóżka, by przed snem się nad wszystkim zastanowić. Jacek czekał na nią w drzwiach.

– No i co, wariatka? To naprawdę rodzina? Czego chciała? Zaproponowałem, że zejść razem z tobą, ale powiedziała, że to rozmowa w cztery oczy.

– Za dużo pytań naraz. Tak, rodzina. Nie wiem, czy wariatka. Jest piękna.

– Wariatki też mogą być piękne.

Janka wracała po spotkaniu do przyjaciół, którzy mieszkali w Paryżu od wielu lat. Mogła zatrzymać się u rodziny, która pewnie chętnie by ją przyjęła, bo już wcześniej przyjeżdżała do nich na wakacje, a oni odwiedzali ich w Aninie. Czasami jeździli razem w Tatry, by pochodzić po górach. Tym razem jednak nie czuła się na siłach odpowiadać wykrętnie na pytania rodziny. Przyjaciele doskonale wiedzieli wszystko o jej życiu, razem z nią działali i byli zaangażowani w tę samą sprawę.

Paryż znała tak dobrze jak Warszawę i teraz, wracając pieszo do domu, nie zastanawiała się, w którą ulicę skręcić, szła po prostu przed siebie. Mogłaby zejść do metra, ale miała ochotę pobyć sama ze swoimi myślami. Zosię pamiętała jako małą dziewczynkę. Teraz, kiedy wujek Franek poprosił ją, żeby się nią zaopiekowała, zgodziła się natychmiast. Wujka Franka lubiła najbardziej z całej rodziny. Słowem, które określało najlepiej jego osobę, było „szlachetny”. Tak zawsze o nim myślała. Staroświecki w swoich manierach, dobrze wychowany, a przy tym straszny choleryk. Nie znała jednak nikogo, kto by był człowiekiem tak wielkiego serca. Wujek Franek nigdy jej nie ganił i nie oceniał, lecz zachwycił się jej osiągnięciami, co do których nawet ona nie zawsze była przekonana. Ilekroć miała podjąć jakąś decyzję, zastanawiała się, „co by powiedział na to tatuś”, a zaraz później „a co wujek Franek”. Od czasu, kiedy skończyła dwanaście lat, wujek razem z cicią Anną opiekowali się nimi, mimo że nie było to łatwe, bo mama się w sobie zamknęła i unikała wszelkich kontaktów towarzyskich. Wujek Franek wypychał ją do ludzi, zachęcał do działania i bronił przed resztą rodziny. Chociażby to jej małżeństwo. Cała rodzina była przeciwna jej decyzji, tylko wujek Franek powiedział na jakimś przyjęciu: „Jedynie miłość ludzi może zbliżyć dwa skłócone narody”. Zasłużył sobie tym na wściekłe spojrzenia prawie całej rodziny, ale Janka była mu wdzięczna. Teraz, kiedy zobaczyła Zosię po tylu latach, wydała jej się od razu bliska, była podobna do rodziny i z wyglądu, i z zachowania. Tylko czy będzie umiała zaopiekować się nią tak, jak obiecała wujkowi Frankowi? Jest przecież ten Jacek, który wzbudza w niej sprzeczne uczucia. Musi poznać go lepiej, żeby zrozumieć, skąd się bierze jej niepokój. Kiedy pojedzie do Warszawy, postara się dowiedzieć o nim czegoś więcej, a może uda jej się to jeszcze tutaj. Świat jest przerażająco mały. Wczoraj jednemu z przyjaciół powierzyła list od Andrzeja do Valérie. Sama nie mogła go jej zanieść, bo na razie lepiej zachować w tajemnicy ich wzajemne powiązania, to, że Zosia zna Valérie, a Valérie jest kochanką Andrzeja. Wydawało się, że niby wszystko działa normalnie, że jest wolność, ale tak naprawdę nikt nie wiedział, ilu donosicieli zatrudniono do sporządzania kartotek, śledzenia Polaków na Zachodzie i pisania donosów do konsulatów. Listy mogła przewozić w miarę bezpiecznie dzięki swojemu małżeństwu i podwójnemu obywatelstwu, ale mimo wszystko musiała zachować maksymalną ostrożność. Tego nauczył ją wujek Franek, z którym razem działali i który na pierwszy rzut oka był tak otwarty, że niektórym wydawał się wręcz naiwny, a w rzeczywistości doskonale panował nad każdym swoim słowem. Wykorzystywał swoje doświadczenia z czasów partyzantki w lasach na wschodzie i ukrywania się po wojnie. Opowiadał o tym tylko Jance, nie wszyscy w rodzinie znali jego przeszłość. O jego aktualnej działalności nie wiedzieli nawet najbliżsi: ciocia Anna i ich dzieci. Czuł się za nich



odpowiedzialny, nie mógł więc jakimś nieobliczalnym słowem czy czynem narazić ich na niebezpieczeństwo. Za bardzo ich kochał. Jak przestrzec Zosię, żeby za dużo nie mówiła? Jak jej powiedzieć, że nawet w Paryżu jest pełno donosicieli, z pozoru całkiem sympatycznych ludzi, którzy mogą się nią interesować ze względu na jej ojca? Jak to powiedzieć, nie mówiąc nic o jego działalności? Musi to wszystko przemyśleć.

Dwa dni później wieczorem Janka przysłała na rue de Cambonne, dotarła na szóste piętro i zapukała do drzwi, a kiedy Jacek stanął w progu, palcem na ustach dała mu znak milczenia. Jacek przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie białą sukienkę przepasaną turkusowym paskiem, na nogach sandały, również turkusowe, a przez ramię przerzuconą torbę Loewe w tym samym kolorze. Pachniała perfumami Calandre Paco Rabanne. Tego wszystkiego Jacek oczywiście nie wiedział, bo nie znał świata luksusu ani perfum, ale wyczuł jej elegancję. Zza jego pleców wyłoniła się Zosia. Obie zeszły na dół.

– Czy ty nie przesadzasz, Janka?

– Zosiu, myślałam o tym, jak cię przestrzec. Pamiętaj, że w Paryżu jest pełno donosicieli, a niektóre mieszkania i telefony są na podsłuchu. Nie otwieraj nikomu, jak jesteś sama w domu.

– Myślę, że masz paranoję.

– Myśl sobie, co chcesz, ale rób, jak ci mówię. I nie rozgaduj się za dużo ani na tematy rodzinne, ani polityczne. Rozmawiaj o niczym. A najlepiej o sztuce.

– Jak mój tata? On ze wszystkimi rozmawia o sztuce. Przejdźmy się, Janka. Opowiedz lepiej coś o sobie. Tak dawno się nie widziałyśmy, już się zaczęłam cieszyć, że mam nową kuzynkę, która mi spadła z nieba. Paryskiego.

– Nie dzisiaj, Zosiu. Jutro z rana wyjeżdżam, a dzisiaj czeka mnie jeszcze parę spotkań.

– Jedziesz do Polski?

– Nie od razu. Najpierw do Monachium.

– Do Monachium?

– Opowiem ci następnym razem. Mam tam męża.

– Ach, to ty wyszłaś za Niemca! Zapomniałam. I cała rodzina cię za to nienawidziła.

– Ty też?

– Tak. Powierzchniowo i chwilowo.

– Nie wiedziałam, że można nienawidzić powierzchniowo i chwilowo.

– Wszystko można, Janka. Czuć można wszystko.

– Czy coś przekazać?

– Nie, nie trzeba, wkrótce wracam. Kiedy się znowu zobaczymy?

– Może niedługo. Nie wiem.

– Enigmatyczna jesteś.

Janka poczochrąla Zosi włosy i odeszła. Odwróciła się jeszcze i wykrzyknęła: „Uważaj na siebie, smarkata Zosiu”.

„Ty też, pyskata Janko”.

Zosia po pierwszym spotkaniu przypomniała sobie, że o Jance mówiło się zawsze „pyskata Janka”. Miała w rodzinie opinię niepokornej, nieposkromionej i pyskatej. Zosia chciałyby wiedzieć, czy nadal taka jest, ale Janka zdawała się zbyt zajęta swoim światem. I ta jej paranoja...

Następne tygodnie Zosia spędziła na zwiedzaniu Luwru i wizytach u Valérie. Dzieci wróciły już z wakacji w Burgundii i zaczęły chodzić do szkoły. Któregoś dnia poznała u Valérie Andrzeja. Wydał jej się uprzejmy, ale jakby czymś skrzępowany, niepewny siebie. Był dla Zosi bardzo serdeczny, chociaż jej przecież nie znał. Co Valérie w nim widziała? Był od niej dużo starszy.

Któregoś dnia zastała Valérie samą w domu. Dzieci nie wróciły jeszcze ze szkoły, a ona wybierała się na jakieś spotkanie. Na kanapie leżały stosy ubrań: sukienek, spódnic i apaszek. Valérie biegała po mieszkaniu i przymierzała stroje, dobierając do nich odpowiednie naszyjniki, paski, bransolety i torebki. Co jakiś czas znikwała w swoim pokoju i pojawiała się w nowej kreacji, przebiegając przed lustrem i zerkając na reakcję Zosi. Zosia nie wydawała się jednak specjalnie zainteresowana, siedziała cicho w fotelu, oglądając te przygotowania jak przedstawienie. Kiedy jednak Valérie wybrała w końcu prostą sukienkę w fioletowym odcieniu, a do tego biały pasek i torebkę, pokiwała z aprobatą głową.

– Pomogę ci poskładać ubrania, które porozrzuciłaś, ale za to musisz na chwilę usiąść i ze mną porozmawiać.

– Co się stało, Zosiu?

– Nic. Będę miała dziecko.

Valérie nie robiła wrażenia specjalnie zaskoczonej i nie umiała tego ukryć.

– Wiedziałaś! Jacek ci już powiedział.

– No tak.

– No i co? Co jeszcze mówił?

– No, że w tej sytuacji musisz wyjechać do kraju, postarać się o następną wizę i szybko wrócić. Szybko, bo robi się gorąco. Musisz zdążyć.

– Zdążyć przed czym?

– Nie wiem. Podobno sytuacja jest napięta, może nie będzie można tak łatwo podróżować.

– Valérie, między mną a Jackiem nie układa się nadzwyczajnie. Niby się kochamy się, ale kompletnie się nie rozumiemy. Nie umiem ci tego wytłumaczyć.

– On też nie umie.

– Czyli mówił ci to samo. To znaczy, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Oczywiście, że tak. Od samego początku. Ale teraz sytuacja się zmieniła, musisz myśleć przede wszystkim o waszym dziecku, a on może wydorosłeje.

– Myślisz, że jest niedojrzały?

– Tak, bardzo. Ale nie umiem tego określić, bo jest zamknięty w sobie. A poza tym wy jesteście inni. Nie wszystkie wasze zachowania rozumiem. Nawet nie zawsze rozumiem Andrzeja. To również jest dla mnie problemem.

– Może to dlatego, że nie rozumiemy mężczyzn, bo są inni?

– Nie, nie mężczyzn. Polskich mężczyzn.

Obie wybuchnęły śmiechem i zabrały się do układania w szafie garderoby Valérie.

Zosia pożegnała paryskie słoneczne lato i wróciła do Warszawy, gdzie od razu zajęła się załatwianiem następnej wizy. Tutaj lato odeszło wcześniej i szybko przyszła jesień, wyjątkowo pochmurna i smutna tego roku, jakby była w harmonii z ogólną atmosferą w kraju, którą można było odczuć na każdym kroku. Przez ten krótki okres jej pobytu w Paryżu z półek sklepów pozniwały resztki towarów, które tam jeszcze pozostały. Zrobiło się chłodno, dni stawały się coraz krótsze i zaczynało brakować żywności. Wszyscy gorączkowo uganiaли się po sklepach, by kupić coś do jedzenia. Poprzednie pokolenia pamiętały głód, ale Zosia dopiero teraz zdała sobie sprawę, że i ona może go doświadczyć. Dziwiło ją to, tym bardziej że właśnie przyjechała z kraju, gdzie wszystkiego było pod dostatkiem, a nawet wydawało się, że dni są tam dłuższe. Gdzie było kolorowo, w sklepach przepych towarów w krzykliwych opakowaniach, a ludzie inaczej się ubierali i nawet inaczej poruszali po ulicach. Zosia czuła, że coś się zmieniło podczas jej nieobecności, nawet ptaki śpiewały na inną nutę, a jesienny wiatr wyl inaczej niż zazwyczaj. Odnosiło się wrażenie, że cała przyroda chciała coś powiedzieć, wykrzyzczyć, zawyć przeraźliwym głosem. Niby wszystko było po staremu, a jednak to, co dopiero miało nastąpić, to coś, czego jeszcze nie widać, już czaiło się obok, tylko w innym wymiarze. Nikt o tym nie mówił, bo przecież trudno rozprawić o tym, czego nie widać. Tylko dlaczego było tak ponuro? Nigdy nie było widno, przejrzyste, słonecznie.

Zosia, jeszcze w piżamie, siedziała rano w kuchni pogrążona w myślach. Po chwili wstała i wciąż zamyślona podgrzewała mleko na kuchence gazowej, kiedy weszła z gazetą mama.

– Generał Jaruzelski został pierwszym sekretarzem partii.

Zosia odwróciła się do niej powoli, w zwolnionym tempie, jakby celowo chciała zatrzymać czas.

– Mamo... Będzie wojna...

Dlaczego to powiedziała? Skąd jej to przyszło do głowy? Sama nie wiedziała, nie potrafiła tego zrozumieć. Zdumiała się. Obie patrzyły na siebie zagubione, nic nie rozumiejąc. Nagle Zosia pomyślała, że nie chce już nigdzie wyjeżdżać, chce zostać tutaj, w tym starym domu, z ludźmi, którzy są jej bliscy, z którymi rozumie się bez słów. Nawet jeśli często nie jadła tego, na co miała ochotę, i marzyła o kawałku smażonego kotleta. Nawet jeśli było zimno na tym wietrze, który wciąż tak bezlitośnie szalał i wyl. Co on chciał powiedzieć? Jak zrozumieć jego język i słowa?

Któregoś dnia wpadła do nich Janka. Jak zwykle w szalonym pośpiechu, tym razem nie taka elegancka, jaką Zosia widziała ostatnio w Paryżu. Ubrana w znoszone dżinsy, wyciągnięty sweter i wielką kurtkę, jakby w pośpiechu zdjęła pierwszą lepszą z wieszaka. Wiatr potargał jej włosy.

– Jest wujek Franek?

– Nie, ale chodź do mnie na górę, porozmawiamy.

– Nie ma o czym. Rozmawiałam z wujkiem, powinnaś wyjechać.

– Nie bardzo chcę. Z Jackiem niezbyt mi się układa. Nie wiem, jak będzie dalej.

– Rozumiem, ale musisz teraz myśleć nie tylko o sobie. To znaczy, musisz myśleć o zdrowiu. Tutaj nie ma co jeść. Wrócisz, jak się trochę odżywisz.

– Przestań, Janka. Nie mam ochoty na żarty.

– Lecę, nie mam czasu.

Janka znowu gdzieś pobiegła. Zosi wydało się, że wszyscy wokół niej są bardzo zajęci. Jedni całymi dniami biegali po pustych sklepach, a inni znikali gdzieś i wracali późną nocą. Przeważnie przebywała sama, mając wrażenie, że żyje w pewnego rodzaju alienacji. Jej opowieści o Francji, Paryżu, Burgundii słuchano z uprzejmą obojętnością. To też się zmieniło przez te wakacje; wydawały się jakby dłuższe niż zazwyczaj.

Jacek nalegał, żeby pośpieszyła się z załatwianiem spraw, kazał jej kupić bilet tylko do Brukseli i nie zadawać pytań. Zresztą już nie miała ochoty o nic pytać. Odpowiedzią była ta dziwna atmosfera.

Spakowana w małą torbę podróżną wychodziła ze swojego pokoju. Na chwilę stanęła w progu, jakby chcąc pożegnać się z tym miejscem, i wtedy z sufitu spadła lampa. Zosia zbiegła po schodach.

– Mamo, lampa spadła z sufitu. Nie dotykałam jej. Nie mam czasu naprawić. Mamo, o Boże, mam nadzieję, że to nie jakiś znak. Mamo, nie martw się niczym, dbaj o siebie, niedługo wrócę. O Boże, mam nadzieję. Módl się za mnie. A ja za ciebie.

Samolot lecący do Brukseli nie był duży. Pasażerowie szeptali, że to jakieś stare radzieckie pudło. Chwilami wydawało się, że występują problemy techniczne. Trzeszczał i chybotał się. Aż dziw, że w końcu wylądował. Na brukselskim lotnisku czekał Jacek. Zosi wydało się, że znowu był taki, jak kiedyś, jak w Warszawie, kiedy postanowił być dla niej po prostu dobry, nawet jeżeli wiedział, że jej nie rozumie.

– Zanim pójdziemy do znajomych na noc, pokażę ci rynek i porozmawiamy.

Stare miasto w Brukseli wyglądało trochę jak z koszmarnego filmu. Fasady kamienic, z pięknymi misternymi płaskorzeźbami, od dawna nie były poddawane renowacji. Sprawiało to wrażenie opuszczenia, oczekiwania na przebudzenie. Zosia pomyślała o Warszawie, tam też fasady kamienic były ciemne i smutne, ale wyrażały inny smutek, a i oczekiwanie było inne.

Usiedli w jakiejś kawiarni, pierwszej, którą napotkali.

– To wszystko, co ze sobą wzięłaś? To cały twój bagaż? Taka mała torba? Tym lepiej.

– Dlaczego?

– Mniej będzie do noszenia. Rozmawiałem o naszej sytuacji z paroma osobami. Radziłem się. Ważne, żebyś nie miała w paszporcie pieczętki wjazdowej do Francji. Jutro z rana z plecakami, wzięłem ze sobą dwa plecaki, pojedziemy autobusem w stronę granicy, następnie wejdziemy w las i dojdziemy do granicy francuskiej. Będziemy udawali turystów. Trasę mam dokładnie zaznaczoną na mapie. Ktoś polecił mi mało strzeżone miejsca graniczne.

– Jacek, to może być niebezpieczne! Mogą nas zatrzymać. Są na pewno uzbrojeni.

– Przestań. To nie PRL. Później wsiądziemy do samochodu Pascala, który zostawiłem po drugiej stronie granicy.

– ...

– Zosiu, nie martw się, wszystko będzie dobrze. Potraktuj to jak przygodę.

Noc spędzili u znajomych w Brukseli i z rana ruszyli w drogę. Po wyjściu z autobusu mijali zadbane miasteczka, gdzie domki były podobne jeden do drugiego, w oknach stały doniczki z kwiatami, a w ogródkach rozpościerały się kwietniki. Brakowało tylko krasnali. Wydawało się, że jesień jeszcze tam nie przybyła. Zbliżał się koniec listopada i wprawdzie było chłodno, ale świeciło słońce i trudno było sobie wyobrazić, że już niedługo przyjdzie zima.

Dotarli w końcu do lasu, Jacek co jakiś czas spoglądał na mapę.

– Idź wolniej. Spacerujemy. Rozluźnij się. To wycieczka.

Las nie był aż tak duży, znowu dotarli do jakiegoś miasteczka.

– Zosiu, jesteście we Francji! Udało się!

Nie umiała się cieszyć. Była zmęczona. Czy to dobrze, że się udało? Czy to dobrze, że przyjechała tutaj? Wyczerpana zasnęła w mini morrisie Pascala i kiedy późnym wieczorem dotarli do Paryża na rue de Cambonne, pomyślała, że choć nie szaleje tutaj wiatr, nie jest zimno i nie brakuje jedzenia, to jest sama, a ci, których kocha, są daleko i pewnie nieprędko znowu ich zobaczy.

Następnego dnia odwiedziła Valérie. Czuła, że nikt nie jest jej tutaj bliższy. Siedziały

z dziećmi w salonie, piły herbatę i jadły ciasto jogurtowe, które Valérie upiekła na tę okazję. Valérie chciała wiedzieć wszystko, jak teraz jest w Polsce. Zamierzała wybrać się do Warszawy, bo Andrzej powiedział, że na razie nie może przyjechać do Paryża, i kiedy ostatnio dzwonił, nie był zbyt rozmowny.

– Aż tak bardzo pogorszyło się przez ten okres, kiedy byłaś tutaj?

– Strasznie albo niektóre rzeczy tak mnie nie raziły. Ale mimo wszystko niektóre fakty są obiektywne. Sklepy przed moim wyjazdem były kiepsko zaopatrzone, fatalnie, ale nie kompletnie, ale to kompletnie puste. Możesz sobie wyobrazić sklep, gdzie na półkach nie ma nic innego z wyjątkiem octu? Wyobrażasz sobie ludzi chorych, którzy nie mają siły i pieniędzy, żeby biegać od kolejki do kolejki? A lekarstwa? Bardzo się martwię.

– A Jacek?

– On też, oczywiście wie o tym wszystkim, ale nie widział tego na własne oczy.

Valérie postanowiła pojechać do Warszawy jeszcze tej zimy. Elke namawiała ją, żeby przełożyła podróż na wiosnę, na przykład na kwiecień. Zima w Polsce jest przeważnie mroźna i śnieżna, jeszcze sroższa niż w Niemczech, a Valérie nie ma przecież nawet ciepłego ubrania. Po Paryżu chodzi w grudniu w pantoflach, lekkim płaszczu i często nawet bez rękawiczek i szalika. A w tym roku prognozy pogody nie były zbyt zachęcające, zima ma być wyjątkowo ciężka. Przekonywała Valérie, jak mogła. Nie dysponowała jednak na tyle mocnym argumentem, by zmienić jej decyzję. Valérie skontaktowała się z przyjaciółmi Andrzeja w Paryżu i szykowała do podróży. Prawdopodobnie w grudniu, może przed świętami albo na sylwestra? W końcu postanowiła pojechać przed świętami i zostać na Nowy Rok. Jeden ze znajomych Andrzeja zaproponował, że może zatrzymać się u jego siostry, która mieszka w jego czteropokojowym mieszkaniu na Mokotowie.

Pojechała do konsulatu polskiego i zaczęła załatwiać wizę. Jako cel wyjazdu zamierzała podać turystyczny i wpisać adres pobytu podany przez znajomego Andrzeja. W kolejce stały różne osoby, przeważnie zdenerwowane i zniecierpliwione. Po zasłyszanych rozmowach zorientowała się, że wielu oczekujących to dziennikarze i przedstawiciele organizacji charytatywnych. Urzędnicy konsulatu wydali jej się wyjątkowo antypatyczni. „Co oni mają wspólnego z Polakami, których poznałam dzięki Andrzejowi?”, pomyślała. I od razu przypomniała sobie, jak Zosia mówiła o nich „kanalie”. Osoby stojące w kolejce szeptały między sobą, miała wrażenie, że czują się w tym miejscu niepewnie.

Kiedy w końcu stanęła przed okienkiem, uśmiechnęła się do gburowatego urzędnika. Ten poczuł się nieswojo na widok bezinteresownego uśmiechu eleganckiej kobiety, która w dodatku zwracała się do niego po polsku z francuskim akcentem. Może nawet to go rozbroiło, bo wyjaśnił jej, jak ma wypełnić kwestionariusz wizowy.

Kiedy po dwóch tygodniach dostała wizę, od razu kupiła bilet do Warszawy na dwudziestego pierwszego grudnia. Zamierzała wysłać dzieci na święta do Burgundii – miał po nie przyjechać Edward, który już tam zamieszkał. Przyszykowała prezenty dla dzieci, babci, Elke, Jeana i pozostałej rodziny, z burgundzkimi ciotkami włącznie, jak również dla Marii i Paula. Przygotowała również torbę rzeczy, które chciała zabrać do Polski, przede wszystkim lekarstwa, które dał jej przyjaciel Andrzej. Miała je zawieźć do jakiegoś kościoła w Warszawie na adres zapisany pod pudrem w pudernicze, tak poradził jej znajomy, a najlepiej – powiedział – żeby nauczyła się go na pamięć.

Doszła do wniosku, że rzeczywiście powinna pomyśleć o cieplejszym ubraniu dla siebie.

Była niedziela. Czekala na telefon od Andrzeja, bo obiecał, że zadzwoni dokładnie za tydzień. Dzieci bawiły się w pokoju Chiary, a ona parzyła w kuchni kawę. Włączyła radio, może powiedzą coś o Polsce. Wiadomość, którą usłyszała, obezwładniła ją. Przez chwilę wydawało się

jej, że to koszmar. To niemożliwe! W tym samym momencie usłyszała na schodach głos Elke i energiczne stukanie do drzwi.

– Valérie, już wiesz?! Słuchałaś radia? W Polsce wprowadzono stan wojenny! Granice są zamknięte! Nic nie wiemy, co się tam dzieje.

Valérie stała w szlafroku naprzeciwko Elke, obok niej dzieci zaniepokojone nagłą wizytą. Valérie nie mogła wydusić ani słowa, nie potrafiła myśleć, czuła strach.

– Ubieraj się, Valérie, jedziemy do Jacka i Sophie, może oni będą wiedzieli coś więcej.

Valérie w milczeniu podeszła do telefonu i wykręciła numer, który kiedyś podał jej Andrzej. Nigdy z niego nie korzystała, to on zawsze dzwonił, ale dając go jej, powiedział „w razie czego”. W słuchawce nie było sygnału. Cisza.

– Valérie, nie tylko granice są zamknięte, kraj został odcięty od reszty świata. Nie działają również telefony.

Valérie ubrała się w pośpiechu i milczeniu. Nie jadła jeszcze śniadania, nie było też czasu, by mogła się umyć, uczesać i umalować. Ubrała dzieci i obie z Elke wybiegły z domu. Valérie nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Zostawiły dzieci pod opieką Jeana i wpadły do metra. Dlaczego jedzie tak wolno? Pierwsza przesiadka na Odéon. Znowu biegiem do kolejnej linii metra. Patrzyła na nazwy stacji. Saint Germain des Prés. Później Saint Sulpice, Saint Placide, znowu biegiem po Montparnasse Bienvenüe i wreszcie szóstką na Cambronne. Jeszcze nigdy nie miała wrażenia, że dwie minuty dzielące jedną stację od drugiej mogą trwać tak strasznie długo. Pasteur. „O Boże, co się dzieje, czy to prawda?”. Sèvres Lecourbe. „Ja i tak tam pojedę. W końcu otworzą granicę”. Cambronne! Biegiem, „Elke, skąd masz tyle energii?”. Wbiegły na szóste piętro. Gdy zastukały, niezbyt cicho i kulturalnie, Jacek natychmiast otworzył drzwi. Był rozczochrany, w wygniecionej kraciastej koszuli, spoglądał na nie błędnym wzrokiem. Bez słowa, gestem ręki zaprosił je do środka. Zmęczone usiadły przy stole. Nikt nic nie mówił. W końcu Jacek przerwał ciszę.

– Zosia leży w łóżku z głową pod kocem.

I po chwili.

– Zemdląca z rana, kiedy słuchałem radia i podano tę wiadomość.

Elke już doszła do siebie.

– Wezwałeś lekarza? Karetkę?

– Nie. Nie. Kiedy się ocknęła, położyłem ją do łóżka.

– Jacek, to groźne dla dziecka.

– Groźne dla dziecka jest również to, co się dzieje. Zosia bardzo się martwi. A najbardziej o swojego ojca i kuzynkę.

– A Valérie o Andrzeja.

Jacek zrobił herbatę, jakąś kiepską chińską mieszankę, i kiedy podawał ją w kubkach, każdym innym, nie potrafił ukryć drżenia rąk.

Valérie weszła do drugiego pokoju i przysiadła na brzegu łóżka. Zosia leżała skulona pod kocem, z twarzą zwróconą do ściany. Cichutko pochlipywała.

– Zosiu, jestem z tobą.

– Wiem, Valérie. Dziękuję.

– Postaraj się mimo wszystko uspokoić.

– Staram się, ale nie bardzo mi się to udaje. Wiadomości są okropne. Jacek słuchał Wolnej Europy. Może dzisiaj wieczorem będziemy wiedzieli więcej, bo postanowił iść pod ambasadę. Powiedział, że pewnie będzie tam dużo ludzi. Też bym poszła, ale...

Do pokoju weszła Elke.

– Dzień dobry, Sophie. Leż, nie wstawaj. Valérie, zostań z nią. Przywiozę wam obiad.

Posiedź przy niej do powrotu Jacka. Postanowił ruszyć w Paryż, może dowie się czegoś więcej.

Po pewnym czasie zostały same. Jacek i Elke wyszli. Valérie siedziała przy Zosi.

W pokoju panował półmrok. Zosia ciągle płakała, po cichu, bezsilnie.

Valérie zrobiła im następny kubek tego okropnego naparu i postanowiła, że następnym razem, kiedy do nich przyjdzie, przyniesie coś w lepszym gatunku, jakąś dobrą angielską herbatę.

Najpierw przyszła Elke z obiadem w garnkach. Zajrzała do pokoju i pokręciła z niepokojem głową.

Późnym wieczorem wrócił Jacek.

– Byłem pod ambasadą i pomnikiem Mickiewicza przy placu Alma. Przyszły tłumy.

Polacy i sporo Francuzów. Byli też Andrzej Seweryn i Jacek Kaczmarski.

– Andrzeja Seweryna widziałam na spotkaniu u znajomych Andrzeja.

– Jutro znowu będzie manifestacja.

Jacek włączył radio. Razem słuchali na przemian Wolnej Europy i BBC. Późnym wieczorem odprowadził Valérie do metra.

– To, co się stało, jest okropne, ale po raz pierwszy poczułem, że jestem za kogoś odpowiedzialny. Bałem się o nią dzisiaj rano.

– I nadal się bój.

– Co masz na myśli?

– To, że będziesz ojcem, a Zosia matką waszego dziecka, i to normalne, że powinienes się czuć za nich odpowiedzialny.

Nazajutrz w biurze Valérie wszyscy byli ogromnie poruszeni. Dyskusje i wymiana informacji na temat sytuacji w Polsce zajęły im cały dzień. Nikt tak naprawdę nie pracował. Wiadomości nie były pewne, no bo skąd mogły być, skoro zamknięto w Polsce granice i odizolowano kraj od świata. Wszyscy byli zszokowani. Jak to możliwe?!

Na korytarzu spotkała Valeriana.

– Valérie, musimy coś zrobić. Od dawna brakuje w Polsce wszystkiego, a zwłaszcza lekarstw i jedzenia. Postanowiłem wynająć ciężarówkę i tam pojechać. Pojedziesz ze mną?

– A Halina? Też jedzie?

– Nie wiem, może jedzie, ale nie ze mną. Nie jesteśmy już razem.

– Tak?

– Miałem jej dosyć. Jedziesz?

– Tak. Ale granice są zamknięte.

– Kiedyś w końcu otworzą je dla organizacji charytatywnych, francuskiego Czerwonego Krzyża czy Caritasu. Ogłoszę w biurze, że organizujemy zbiórkę lekarstw, jedzenia, ciepłych ubrań, a zwłaszcza mleka w proszku i pieluch.

– Porozmawiam z ciotką. Pracuje w Amnesty International. Ma dużo znajomości, poradzi nam, jak się do tego zabrać.

Następne dni były jednym wielkim koszmarem. Uplýwały na manifestacjach pod ambasadą polską, spotkaniach pod pomnikiem Mickiewicza, słuchaniu wiadomości, które wydawały się nierealne. Mówiło się, że na ulice wyprowadzono czołgi, że tysiące ludzi zostało internowanych, że mają ich wysłać na Syberię. Cały świat zwrócił swoje zdziwione i skonsternowane spojrzenie w kierunku tego skutego lodem i zasypanego śniegiem kraju, który nagle znalazł się w kompletnej izolacji.

Jacek przeważnie siedział przy stole i słuchał radia. Czasami schodził na dół kupić coś do jedzenia. Codziennie wieczorem szedł do miejsc, gdzie odbywały się manifestacje. Zaczął nosić na ramieniu biało-czerwoną opaskę z kirem. To był znak rozpoznawczy. Rozmawiali ze sobą, jakby znali się od zawsze, przypadkowi znajomi, których połączył wspólny los. Wracał do domu

zmarznięty i opowiadał Zosi o tym, co widział i słyszał.

– Jak mogę ci pomóc, Zosiu? Jesteś taka odizolowana.

– Nie jestem. Mam Valérie. Ale możesz mi pomóc. Chciałabym mieć w domu telewizor i telefon.

– Po co? Przecież i tak nic teraz stamtąd nie pokazują, i nie ma łączności telefonicznej z Polską.

– Ale będzie i w końcu coś pokażą. Nie mogę ciągle schodzić na dół do budki i sprawdzać, czy już działają tam telefony.

– No dobrze. Postaram się. Zamówię telefon, a telewizor w piątek wieczorem można czasami znaleźć na ulicy.



Tej zimy zasypany śniegiem Anin wyglądał tak pięknie jak nigdy. Wszystko lśniło nieskazitelną bielą, nawet drogi między domami, bo nie zabrudziły ich opony samochodów. Widać było tylko ślady butów. Nic nie jeździło. Zaprzyjaźnieni sąsiedzi odwiedzali się nawzajem, pytając, czy mogą w czymś pomóc. Irena, opatulona w ciepły barani kożuszek, szła powoli do domu na drugim końcu ulicy. Chciała się dowiedzieć, czy jej sąsiadka, pani Krystyna, czegoś nie potrzebuje. Pani Krystyna była chora i samotna od czasu śmierci męża i wyjazdu syna do Szwecji. Irena zaglądała do niej codziennie od tygodnia, od kiedy nie mogła do niej zadzwonić. Teraz niosła jej w garnuszku trochę zupy, ćwierć bochenka chleba i puszkę holenderskiej szynki ze swoich zapasów.

Zdawało się, że cały Anin jest odizolowany od świata. Irena wiedziała doskonale, że nie tylko Anin. Wiedziała również, że nie ona jedna odczuwa przejmujący smutek i niepokój o najbliższych. Życie powinno było ją zahartować, ale chyba nikt nie potrafi zaakceptować tego, co w jego pojęciu jest złe i nienormalne. Zamknięta w tym małym zaśnieżonym anińskim świecie myślała coraz częściej o przeszłości. O losach jej najbliższych, którzy już dawno odeszli.

Pochodziła z jednej z najstarszych rodzin w Europie. Korzenie jej matki wywodziły się od ruskich kniaziów, którzy uciekając z bojarami przed gniewem cara, przybyli w szesnastym wieku na polskie niegdyś ziemie Ukrainy. Zostali tam do czasu rewolucji. Wielu jej bliskich zginęło z rąk bolszewików. Zabito ich w okrutny sposób. Dziadkowie Ireny uciekli dzięki ostrzeżeniu wiernego sługi, zostawiając wszystko, co mieli. Irena do tej pory nie wiedziała, czy z pałacu dziadków coś jeszcze pozostało. Siostrze matki nie udało się jednak uciec. Została aresztowana i osadzona w więzieniu w Moskwie za działalność propolską. Wypuszczono ją po latach w bardzo ciężkim stanie, nigdy już nie odzyskała zdrowia. Irena miała na biurku jej fotografię. Ciemnowłosa dziewczyna stoi w długiej sukni w parku przed pałacem. Irena zawsze myślała, że na jej twarzy widać siłę charakteru. Kiedy była staruszką przebywającą w klasztorze, bo została zakonnica, a później siostrą przeoryszą, praktycznie nikt z rodziny nie utrzymywał z nią kontaktu. Podobno ze względu na jej ciągle kłopoty ze zdrowiem. Mówiło się nawet o gruźlicy. Czy była to jedyna prawda? Może jednak wynikało to po prostu ze zwykłego lenistwa, niechęci do wszystkiego, co trudne i związane ze starością. Irena czasami umawiała się z Anną i Frankiem i razem jechali pociągiem odwiedzić ciocię Marię. Teraz już jej nie było, nie było również rodziców. Nie było też Jurka, jej męża, z którym poznali się kilka lat po wojnie. Irena była wtedy dziewczyną, i tak jak u wszystkich w tym czasie na jej dzieciństwie i wczesnej młodości odcisnęła piętno koszmar wojny. Wojny, która jej rodzinę zastała w majątku na Wileńszczyźnie.

Pomyślała o matce. Była nowoczesną kobietą jak na tamte czasy. Kiedy poznała ojca Ireny, poinformowała go, że po ślubie będzie miała własne konto w banku. Na Wileńszczyźnie organizowała polowania, zwłaszcza na wilki, bo zimy bywały tak srogie, że wygłodzone wilki zakradały się do wiosek i napadały na zwierzęta i ludzi. Mała Irena nieraz brała udział w polowaniach organizowanych przez matkę. Dzieci siedziały na saniach opatulone wilczymi futrami. Na drzewach wisiały czerwone szmatki, dobrze widoczne w białej poświacie. Po obu stronach sani szli chłopcy z pochodniami. Na przodzie jechali konno myśliwi dowodzeni przez jej matkę. Irena do tej pory pamięta zapach futer, koni, palących się pochodni, światła odbijające się w śniegu, atmosferę podniecenia i jednocześnie pewnego niepokoju, strachu przed wilkami. A także strzały i zapach prochu. A później ubite zwierzęta, które kładli na jadących za nimi saniach. Pamięta też ślady krwi na śniegu. Matka była w swoim żywiole, na jej pięknej twarzy malowało się szczęście. Kiedy, galopując na swoim wierzchowcu, wydawała komendy, myśliwi bez słowa wykonywali jej polecenia. Patrząc na matkę, Irena uważała, że zachowuje się jak prawdziwa królowa, bo była również niezwykle dobra i wrażliwa na biedę prostych ludzi i pomagała im w sposób zupełnie naturalny. Wzbudzała podziw i miłość. Irena zastanawiała się,

czy jej ojciec również tak bardzo lubił polowania. Nigdy nie rozmawiali na ten temat, ale wydawało się jej, że nie było to jego pasją, brał w nich udział prawdopodobnie dlatego, że takie były czasy i potrzeby. Matka była kobietą niezależną i żywiołową, a ojciec kochał ją taką, jaka była.

Irena pamiętała, że wiosną matka budziła ją czasami nad ranem, kiedy szła upolować jakieś szczególne zwierzę i chciała, by córka też w tym uczestniczyła. Było jedno polowanie, którego Irena nigdy nie zapomni. Gdy jeszcze przed świtem wyszły z domu, już czekał na nie gajowy. Ruszyli do lasu i na skraju polany zaczęli się na ptaka, który przylatywał o tej porze, aby odśpiewać swoją pieśń godową. Matka nakazała Irenie być cicho i trwać w bezruchu, bez względu na to, co się wydarzy. Czekali dosyć długo, w pojęciu Ireny nieskończenie długo. O świcie, gdy błysnęły pierwsze promienie różowego słońca, nagle na jednym z drzew pojawił się duży piękny ptak o jaskrawym ubarwieniu. I kiedy zaczął swoją namiętną, przejmującą pieśń godową, nagle rozległ się huk wystrzału. Wszystko zamarło, cała przyroda, cały las. Ptak jakby zatoczył się przez chwilę, jakby się zawahał... po czym ciężko spadł na ziemię. Gajowy podbiegł i podniósł go z ziemi. Ptak z bliska wydał się ogromny. Serce Ireny zamarło. Nie umiała pogodzić miłości do matki z tym, co czuła w tej chwili.

Zachowała również wspomnienie o ukochanym wyżle matki, Kawonie. Zima była wyjątkowo groźna, drogi nieprzejezdne; co noc rozlegało się wycie wilków, wygłodzonych, jakby wszechobecnych. Nikt nie wychodził o zmierzchu na dwór. Któregoś wieczoru Kawon stał jednak pod drzwiami, dając znak, że musi wyjść. Matka wypuściła go w nadziei, że za chwilę wróci. Stała w progu i czekała. Po jakimś czasie zaczęła go przywoływać. Ojciec i Irena dołączyli do niej i długo wykrzykiwali jego imię w niepokojącą ciemność. Nigdy nie wrócił. Rankiem wyszli prześledzić tropy na śniegu. Ujrzeni psie ślady oddalające się od domu, a parę metrów dalej wilcze – wynikało z tego, że drapieżniki stały tam przez jakiś czas, jakby w oczekiwaniu. Doszli do wniosku, że Kawon podszedł do wilków, a później oddalił się razem z nimi w stronę lasu. Wszystko odbyło się w milczeniu, nie słyszeli przecież żadnych odgłosów. Jakim językiem rozmawiają między sobą zwierzęta? Co się naprawdę wydarzyło? Mogli co najwyżej sobie wyobrazić, jak bardzo wilki musiały zdominować ich wyżła.

Później przyszła wojna. Pamięta, jak pewnej nocy uciekły z matką ze wszystkim, co zmieściło się na furmance, i ukryły w gajówce. Pamięta również noc, kiedy ojciec przyszedł do nich w obdartym mundurze po ucieczce z transportu w głąb Rosji. Pamięta o jego rzadkich odwiedzinach, kiedy walczył w partyzantce. O nocnych najściach band ukraińskich przychodzących po jedzenie, którego nie było. I później, kiedy już jechali razem przez wiele tygodni do tej nowej Polski, mniejszej o ich ziemię i ziemię wielu innych ludzi.

Rodzice Ireny nie uwierzyli do końca w nieodwracalność sytuacji. Przez całe życie mieli nadzieję, że wrócą do siebie. W nowej Polsce zatrzymywali się raz u jednych, raz u drugich kuzynów, aż w końcu ojciec znalazł pracę jako inżynier w jakimś biurze budowlanym w Warszawie. Zawsze powtarzał, jakie to szczęście, że nie jest architektem, bo nie zniósłby robienia projektów, których od niego wymagano.

Zamieszkali w niewielkim, w ich pojęciu, mieszkaniu przy Potockiej. Matka Ireny odnalazła w Warszawie swoich kuzynów, a ojciec rodzeństwo, które mieszkało tu od dawna. Przez wiele lat matka starała się dowiedzieć, co się stało z bratem, ale nikt z rodziny nic nie wiedział. Pisała listy do Polskiego Czerwonego Krzyża, a potem do Międzynarodowego. Dopiero po latach udało się ustalić, że walczył w powstaniu, potem znalazł się wraz z żoną w obozie i tam zmarł z wyczerpania, zaledwie kilka miesięcy przed końcem wojny. Żona przeżyła, po wyzwoleniu trafiła do Anglii i tam już została. Irena dobrze pamiętała wujka Stefana, który przyjeżdżał do nich na Wileńszczyznę. Był dużo starszy od matki. Zawsze wesoły i dowcipny.

Matka mówiła, że był utalentowanym architektem, z zamiłowania poetą. Irena miała u siebie parę jego wierszy. Wesołych i dowcipnych.

Rodzicom trudno było się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Starali się utrzymywać bliskie relacje ze swoim środowiskiem, wszyscy ich bliscy czuli się zranieni nową sytuacją, w której nie widzieli miejsca dla siebie. Byli również mało zaradni, nieprzyzwyczajeni ani do ciężkich warunków egzystencji, ani bytowania w nowym komunistycznym świecie. Niektórzy starali się żyć jak w czasach przedwojennych, biorąc na przykład do pomocy w domu gospozię na stałe. Ale w tak małych mieszkaniach nie zawsze się to sprawdzało. Wspierali się nawzajem zarówno finansowo, jak i moralnie. Niektórzy mieli też pomoc od rodziny z Zachodu. Czasami były to paczki z lekarstwami czy kupony materiałów, które mogli spieniężyć. Ta pomoc nie była jednak regularna ze względu na to, że przesyłki zagraniczne poddawano kontroli i nie wszystkie docierały do adresatów. Kontakty z Zachodem były bardzo ograniczone.

Ojciec Ireny walczył już w dwóch wojnach światowych i przeżył wojnę polsko-bolszewicką w latach 1919-1920. Podczas pierwszej wojny światowej został ranny. Teraz był już zmęczony i zgorzkniały. Często powtarzał, że nie o taki świat walczył, w jakim przyszło mu teraz żyć. Nie pasował do obecnej rzeczywistości. Jego arystokratyczny wygląd raził. Nawet kiedy miał na sobie skromne ubranie, zwracał na siebie uwagę. Ci jednak, którzy go znali albo zamienili z nim chociaż dwa słowa, ulegali jego urokowi. Mówili, że była od niego dobroć i szlachetność. Szanował wszystkich, bez względu na to, czy był to członek jego rodziny, czy szewc na rogu ulicy. Kłaniał się uprzejmie znajomym, unosząc lekko kapelusz. Po jakimś czasie uliczni znajomi ojca także zaczęli mu się kłaniać, mówiąc: „Witam, panie hrabio”. Było to półżartem, ale z dużą dozą sympatii.

Irena pamiętała, że kiedy była małą dziewczynką, spacerował z nią po ogrodzie, trzymając w ręku kwiat jaśminu, który od czasu do czasu wachał. Był to prawdopodobnie jego ulubiony kwiat. Widziała też często, jak z różańcem przemierzał w zamyśleniu ich wileński majątek. Wieczorami zasiadał w swoim ulubionym fotelu i czytał książki, przeważnie po francusku. Rodzice rozmawiali ze sobą w tym języku i zrezygnowali z tego dopiero w czasie wojny, bo było to niebezpieczne i nie pasowało do gorzkiej prawdy otaczającego ich świata. Irena zawsze myślała o ojcu z czułością. Kiedy więc któregoś zimowego dnia wróciły z matką do domu i zastały ojca martwego na podłodze, obie zamarły w rozpacz. Matka kochała go całym swoim namiętnym sercem. Irena pobiegła natychmiast po kuzyna matki, Piotra, który również mieszkał przy Potockiej. Przyszedł bezzwłocznie i od razu się wszystkim zajął. Zostały teraz same. Jakaż była więc rozpacz Ireny, kiedy tydzień po pogrzebie nie zastała wieczorem matki w domu. Krzesło przy stole było przewrócone, a obrus zwisał niestarannie, w połowie leżał na podłodze. Zapukała do sąsiadki. „Tak, widziałam przez okno, jak jacyś dwaj w jasnych płaszczach prowadzili pani mamusię do samochodu. Nie chcę nic mówić, ale wyglądali na tajniaków”. Irena znowu pobiegła do wujka Piotra. Po paru dniach udało mu się dowiedzieć, w którym więzieniu ją trzymają, i po dwóch tygodniach doprowadzić do jej zwolnienia. Irena nigdy się nie dowiedziała, jak tego dokonał. Sądziła, że wuj Piotr ją wykupił. Matka wróciła do domu bardzo osłabiona zarówno z powodu żalu po śmierci męża, jak i ciężkich warunków w więzieniu. Po jej powrocie zbiegła się cała rodzina. Wszyscy chcieli wszystko wiedzieć: czy dobrze ją traktowali, co dostawała do jedzenia, jakie miała warunki, ale przede wszystkim czego od niej chcieli. Okazało się, że uwagę służb zwróciły kontakty matki z Zachodem, z bratową w Anglii i kuzynami. Niczego ciekawego się nie dowiedzieli, więc po interwencji wujka Piotra dali jej spokój. Powiedzieli jednak, że jeszcze się spotkają, i rzeczywiście codziennie spotykała na Potockiej tych samych tajniaków, którzy wtedy po nią przyjechali. Wcale się nie kryli i zagadywali kpiąco: „Dzień dobry, pani hrabino. Na spacer idziemy?”. W końcu

przyzwyczajali się z Ireną do ich przymusowego towarzystwa.

Irena poszła na medycynę. Dostała się na nią po maturze i jeszcze w czasie studiów poznała Jurka, który był chirurgiem. Kiedy się spotkali u wspólnych znajomych, od razu przypadli sobie do serca. Jurek był wprawdzie dużo starszy od Ireny, aż o piętnaście lat, ale jego wesołe usposobienie, zawsze dobry humor i nieskazitelne maniery pozwalały zapomnieć o różnicy wieku. Kiedy wiedziała już, że go kocha, postanowiła przedstawić Jurka matce. Któregoś dnia przyprowadziła go na Potocką. Matka przyjęła Jurka uprzejmie, zachwyciła się bukietem kwiatów, które jej ofiarował, i zaprosiła na niedzielny obiad. Irena pomyślała, że starsze pokolenie szybko potrafi ocenić ludzi. Była szczęśliwa, że matka i Jurek się zaprzyjaźnili i nigdy nie brakowało im tematów do rozmów. Ich dyskusje nie miały końca. Zauważyła zresztą, że Jurek, gdziekolwiek się pojawił, był duszą towarzystwa. Potrafił zabawiać damy, jej kuzynki i ciotki, a także rozmawiać na tematy polityczne z panami, ponieważ świetnie znał historię. Potrafił też tańczyć i – jak mówiły jej kuzynki – był w tańcu wspaniałym partnerem, ponieważ miał niezwykle wycucie rytmu. Wynajmował pokój przy jakiejś obcej rodzinie przy ulicy Mickiewicza, w tak zwanym Szklanym Domu. Szybko postanowili się pobrać i zamieszkać razem. Matka namawiała ich, żeby wzięli ślub w kościele Świętego Krzyża, bo ona i ojciec tam właśnie się pobrali. Opowiadała, jak po ślubie odjechali spod kościoła powozem zaprzęgniętym w białe konie, a później wyruszyli pociągiem na Wileńszczyznę. Jurek bardzo się starał, żeby zrobić matce przyjemność, ale po skromnym ślubie i jeszcze skromniejszym weselu wybrali się w podróż w Tatry. Był zapalonym sportowcem i chciał zarazić Irenę swoimi zamiłowaniem. Dlatego też w podróż poślubną pojechali na narty, a w lecie jeździli na jeziora pływać żaglówką lub kajakiem. Chciał również, żeby Irena nauczyła się jeździć konno. Opierała się, jak mogła, w końcu więc dał za wygraną. Dumny był z jej urody, elegancji, wyników w nauce na Akademii Medycznej. Mieszkali w dalszym ciągu w małym pokoiku przy obcej rodzinie. Okazało się, że niedługo będą mieli dziecko. Z pomocą finansową rodziny z Anglii udało im się kupić dom w Aninie, dosyć duży, stary, z rozległym ogrodem, w którym rosły sosny. Cieszyli się z wyboru miejsca, bo wprawdzie dojazd do Warszawy był męczący, ale panował tu spokój i – jak wszyscy mówili – mikroklimat. Czuli się trochę jak na wakacjach. Proponowali matce, żeby przeprowadziła się do nich, miejsca nie brakowało. Wolą jednak zostać na Potockiej. Kiedy jednak na świat przyszła Janka, przebywała u nich coraz częściej i pomagała, jak mogła, aż w końcu Jurek pojechał po jej rzeczy i została na stałe. Razem z Ireną wychowywała małą Jankę. Irena już nie wróciła na studia. Matka chciała wychować Jankę na prawdziwą damę i mówiła do niej po francusku. Irena i jej matka zgodnie twierdziły, że to najszcześniejszy okres w ich życiu od czasów wojny. Niekiedy wspominały dawne dzieje, ale były to smutne wspomnienia, o czymś, czego już nie ma.

Kiedy Janka miała siedem lat, matka Ireny ciężko zachorowała. Nie chciała jednak z nikim rozmawiać na ten temat. Mówiła, że to nudne, kiedy starsze panie ciągle mówią o swoich dolegliwościach. Nie była staruszką, lecz dojrzałą kobietą, wciąż piękną. Mimo najlepszej opieki lekarskiej, jaką jej zapewnił Jurek, choroba nie ustępowała. Po paru miesiącach matka wychodziła już tylko do ogródka, by posiedzieć tam w fotelu. Przeważnie czytała dobrą literaturę po francusku i niemiecku. Ze smutkiem patrzyła na Jankę, wiedząc, że nie będzie jej dane zobaczyć ją dorosłą. Martwiła się trochę o nią, bo widziała, że jest tak samo niezależna jak ona. Że niełatwo jej będzie pójść na kompromis. A jak inaczej żyć w tym zmienionym, nie naszym świecie?

Irena robiła, co mogła, żeby uprzyjemnić matce życie. Spędzała z nią cały wolny czas, a Janka po powrocie ze szkoły od razu szła do jej pokoju. Tam czuła się najlepiej. Babcia pomagała jej w odrabianiu lekcji, a później – jeśli nie była zbyt zmęczona – razem czytały na

głos książki albo grały na cztery ręce na pianinie.

Któregoś wieczoru, tuż po kolacji, matka pożegnała się ze wszystkimi, podziękowała im „za wszystko, co dla mnie zrobiliście”, i poszła do swojego pokoju. Przy stole zapadło milczenie. Wiedzieli, co to oznacza. Matka była prawdziwą damą i w taki sposób chciała odejść. Po dwóch godzinach Irena weszła do jej pokoju. Matka spała spokojnie. Irena poprawiła jej kołdrę. Rano matka już nie żyła. W domu zapanowała żałoba, nikt nie mógł znaleźć sobie miejsca, nagle dom wydał się za duży. Przez wiele miesięcy niewiele ze sobą rozmawiali. Jurek był zajęty pracą i – jak mówił – całe szczęście, że jest tak trudna i odpowiedzialna. Janka chodziła do szkoły, a po powrocie odrabiała lekcje w pokoju babci, mówiąc, że tam jej się najlepiej myśli.

Czasami odwiedzała ich kuzynka Ireny, Anna, ze swoim mężem, Frankiem, i córkami: małą Zosią i Alicją. Wyprawa z Warszawy do Anina była dla nich niczym wycieczka na wieś. Siedzieli razem w ogrodzie albo przechadzali się po okolicy. Anna była kilka lat młodsza od Ireny, ale pamiętała, jak się bawiły, kiedy rodzice Anny przyjeżdżali do nich na Wileńszczyznę z całą gromadką dzieci. Teraz cieszyła się, że Jurek i Franek się lubili i w całej rodzinie ich czworo było ze sobą najbardziej zżytych. Irena i Jurek namawiali nawet kuzynostwo na przeprowadzkę do Anina, zachwalając klimat i dobrą sąsiedzką atmosferę. Franek jednak mówił, że woli zostać w Warszawie, że Anin jest dla niego za spokojny.

Od śmierci matki minęły już dwa lata. Po koniec sierpnia Irena pojechała z Janką do Warszawy na zakupy związane z rozpoczęciem roku szkolnego. Było jeszcze gorąco, a wręcz duszno. Janka bardzo urosła w czasie wakacji i trzeba było jej kupić przede wszystkim buty, ale również trochę ubrań, bo wszystko zrobiło się na nią za małe. Jurek nie pojechał z nimi, bo czuł się zmęczony. Poprzedniego dnia przeprowadził jakąś bardzo skomplikowaną operację, która się nie powiodła, i wrócił do domu przygnębiony. Zaproponował, żeby pojechały same i przy okazji odwiedziły Franków, a on przygotuje kolację. Krążyły więc po sklepach w poszukiwaniu w miarę znośnego ubrania. Irena obiecywała sobie, że zabierze się do szycia, bo to, co widziały w sklepach, niezbyt nadawało się do noszenia. Sukienkę może uszyć, może też zrobić na drutach sweter, ale butów przecież nie zrobi. Kupiły w końcu to, co znajdowało się na półkach. Były zmęczone. Nie miały siły, żeby jechać na Bielany do Anny i Franka. Na Nowym Świecie poszły do Bliklego, żeby trochę posiedzieć, napić się herbaty i zjeść pączki. Później wstąpiły do księgarni.

– Zobacz, mamuś, jaki ładny album o górach. Kupmy go dla taty, jest taki smutny po tej operacji, która mu się nie udała.

– Dobrze, Janka. To będzie prezent od ciebie, ty wybrałaś. Wrócimy jeszcze na chwilę do Bliklego, kupimy tam jeszcze jeden prezent.

Wracały obładowane i zmęczone upałem i warszawskim gwarem. Anin wydał im się oazą spokoju przesyconą zapachami natury. Nie było jeszcze późno, może po kolacji znajdą dość siły, aby pójść we trójkę na spacer. A jeżeli nie, to posiedzą w ogrodzie.

W domu panował przyjemny chłód. Usłyszały dźwięki, a kiedy znalazły się w pokoju, zobaczyły, że ojciec śpi przed telewizorem. W programie nie było nic ciekawego, więc Irena wyłączyła odbiornik i weszła do kuchni. Od obiadu nic tu się nie zmieniło. Jurek nic nie zrobił? Była godzina kolacji.

– Jurek, obudź się. Taki jesteś zmęczony? Tyle godzin śpisz? Jurek! Jurek! Jurek!  
O Boże! Boże! Janka... Tata... O Boże...

Serce Ireny przestało bić. Tego była pewna. A później ogarnęła ją złość. Złość, jakiej nie czuła od czasu wojny, taka sama jak ta, gdy odkryła, że ubecy zabrali jej matkę. Jurek, jej ukochany Jurek ją zostawił! Zostawił ją samą w tym świecie, którego nie lubiła. Zostawił ją z Janką na pastwę losu. Zostały same. Tak samo jak kiedyś jej matka została sama razem z nią.

Plakała z rozpacz i ze złości. Janka stała tuż przy niej wczepiona w nią jak maleńkie dziecko. Czy są granice rozpacz? Irena nie wiedziała, ile czasu tak stały. Kiedy wyczerpane płaczem trochę się uspokoiły, Irena pomyślała, że tym razem nie może zadzwonić do wujka Piotra i tak jak kiedyś prosić go o pomoc, bo już go nie ma na tym świecie, odszedł dwa miesiące po śmierci jej matki. Zadzwoniła do Franków. Usłyszała spokojny głos Anny.

– Co się stało, Irenko. Dlaczego masz taki głos?

– Jurek... Jurek nie żyje.

– Co ty mówisz... O Boże...

– Byłyśmy z Janeczką w Warszawie zrobić zakupy...

– Irenko... Zaraz wszystko opowiesz... Franek jest w domu... Zostawię dziewczynki pod opieką... Zaraz kogoś znajdę... Irenko, już do ciebie jedziemy.

Przyjechali oboje, żeby się wszystkim zająć. Była już noc, kiedy dotarli do Anina. W furtce minęli znajomego lekarza, który przyjechał stwierdzić zgon. Czy mężczyźni, ci prawdziwi mężczyźni, płaczą? Franek chciał być bardzo dzielny, ale kiedy zobaczył Jurka leżącego na kanapie, nie znalazł dość sił, aby opanować łzy. Wyszedł na chwilę do ogrodu, żeby nikt go nie widział. Walił pięścią w pień drzewa. Anna poszła do kuchni przygotować coś do jedzenia i poprosiła Jankę o pomoc.

Nazajutrz z samego rana Anna pojechała po dzieci i przywiozła je do Anina. Nie chcieli zostawiać Ireny samej. Aż do pogrzebu mieszkali razem. Franek zajął się sprawami związanymi z pogrzebem, a Anna domem. W swoich wspomnieniach Irena zachowała ten okres jako moment niezwyklej solidarności rodzinnej.

Niestety śmierć Jurka sprawiła, że jej serce przemieniło się w kawałek lodu. Straciła zainteresowanie życiem i nic nie było w stanie tego zmienić. Frankowie wiele razy namawiali ją, żeby pojechała z nimi na wakacje, zapraszali ją do siebie, chcieli ją odwiedzać, ale ona zamknęła się w sobie, w swoim smutku i żalu. Unikała ludzi, nawet najbliższych. Nauczyła się wynajdować różne preteksty, żeby być sama. Miała świadomość, że to nie jest dobre dla Janki, ale nie potrafiła postępować inaczej. Żyła odseparowana od całego świata, sama ze swoimi myślami, wspomnieniami, książkami. Franek wpadał do niej czasami sam, rzadziej z Anną, żeby choć na trochę wyrwać ją z samotności. Kiedy zaczęło im brakować pieniędzy, znalazła pracę w bibliotece uniwersyteckiej w Warszawie i dojeżdżała tam cztery razy w tygodniu. Franek chciał jej znaleźć coś lepszego i lepiej płatnego, ale odmawiała, tłumacząc, że spokój biblioteki bardzo jej odpowiada.

Janka stała się dla niej podporą, była bardzo dojrzała jak na swój wiek. Łatwo podejmowała decyzje i zawsze wiedziała, czego chce. Wyrosła na piękną dziewczynę i któregoś dnia oświadczyła, że zostanie lekarzem. Ireny wcale to nie zdziwiło, jak również to, że dostała się na medycynę od razu po maturze. Nauka nigdy nie sprawiała jej trudności. Lubiła się uczyć i z pełną świadomością pochłaniała wiedzę z każdej dziedziny, a podczas dyskusji dorosłych wypowiadała się na trudne tematy w sposób, w jaki robi to osoba doświadczona. Irena zauważyła, że niektórzy członkowie rodziny, widząc jej pewną siebie postawę i zdecydowane opinie, patrzyli na nią z przerażeniem. Miała przyjaciół, ale niewielu, bo prawdopodobnie odstraszała od siebie rówieśników. Nie było w niej ani naiwności, ani beztroski. W dniu śmierci ojca, w ciągu jednego dnia stała się dorosłą osobą. Niestety.

Trzy lata temu oświadczyła Irenie, że wychodzi za mąż, i przedstawiła jej swojego przyszłego męża. Georg był Niemcem z Bawarii. Rok wcześniej zakochał się w Jance i w ciągu kilku miesięcy nauczył się mówić po polsku. Przyjechał do Warszawy, bo był dziennikarzem i pisał artykuły o Polsce dla jakiejś niemieckiej gazety. Poznali się u znajomych Janki. Nie musiał pracować, bo pochodził ze starej, bogatej rodziny bawarskiej i mógłby żyć z tego, co dziedziczył

po przodkach, ale dziennikarstwo było jego pasją i trochę wbrew woli rodziców jeździł po całym świecie, a zwłaszcza tam, gdzie było najbardziej „gorąco”. Ostatnią jego pasją stała się Polska.

Kiedy Irena zobaczyła go po raz pierwszy, mimo uprzedzeń nie umiała oprzeć się jego urokowi. Był wręcz niewiarygodnie przystojny. Wysoki, szczupły, wysportowany, o wyjątkowo pięknej męskiej twarzy, zgrabnym nosie, zdrowych zębach, inteligentnym spojrzeniu. Był też dobrze wychowany i emanowała z niego delikatność. Gdyby nie silny niemiecki akcent, Irena nie umiałaby powiedzieć, skąd pochodzi. Mógłby być Polakiem albo Węgrem. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie pokrętna argumentacja Janki. Irenie wydało się, że córka nie kieruje się uczuciem, i postanowiła porozmawiać z nią na ten temat.

- Jest bardzo sympatyczny, ale czy to wystarczy? Jesteś w nim zakochana?
- Mamuś, nie chcę ci robić przykrości. Nie, chyba nie jestem.
- To dlaczego?
- Nie zrozum mnie źle. On mi się bardzo podoba. Może nawet więcej, ale to nie jest miłość.
- To dlaczego? Przecież nie musisz.
- Widziałas, jaki jest przystojny? Jaki rasowy? Pochodzi z bardzo dobrej rodziny, ma von przed nazwiskiem.
- Januś, przecież to nie wystarczy.
- Mamuś, poczekaj. Może zrozumiesz. Ja nie wychodzę za mąż z miłości, lecz z nienawiści.
- Janka! Chyba oszalałaś!
- Poczekaj. Pierwszego dnia jak go poznałam, siedzieliśmy naprzeciwko siebie i rozmawialiśmy. Nagle wyobraziłam go sobie w mundurze oficera Wehrmachtu, to było silniejsze ode mnie. Tak musieli wyglądać przystojni Niemcy w czasie wojny, ci z elity. I pomyślałam, że jeżeli mi się oświadczy, to wyjdę za niego za mąż z nienawiści do nich wszystkich.
- Janka, błagam cię, nie rób tego. Przecież on nie jest niczemu winien. A poza tym zbiorowa odpowiedzialność to ich wymysł, ich metoda. Jak sobie wyobrażasz wasze wspólne życie? Na czym będzie się opierać? Na nienawiści?
- Nie, mamuś. Na miłości. Wiem, że go pokocham. Bo jest dobry, mądry i odważny.
- Jak możesz być pewna, że nie będziesz czuć do niego nienawiści?
- Bo to niemożliwe, bo jest zbyt wartościowym człowiekiem, żeby tak było. Uczucie ewoluje. Wujek Franek też tak myśli.
- Rozmawiałaś o Georgu z wujkiem Frankiem?
- Tak.
- I nie boi się, że budujesz małżeństwo na czymś chorym?
- Nie, ma do mnie zaufanie.
- Wiem, ale jestem tym wszystkim przerażona. A czy Georg wie o tej nienawiści?
- Tak.
- Jak to? I mimo wszystko chce się z tobą ożenić?
- Tak, bo mnie kocha i mówi, że to normalne, że po tym wszystkim, co nam zrobili, czujemy do nich nienawiść. Uważa jednak, że w relacjach między kobietą a mężczyzną miłość zwycięża.
- To prawda. Najpierw jednak w tobie musi zająć przemiana, żebyś mogła być szczęśliwa.
- Zajdzie, mamuś, nie martw się.
- Nie mogę się nie martwić. Uważam, że powinnaś poczekać na tę przemianę i dopiero

później myśleć o małżeństwie.

– Tak powinno być, gdyby nie fakt, że nie mam czasu na czekanie. Potrzebne mi podwójne obywatelstwo i niemiecki paszport, żebym mogła swobodnie podróżować. Mam różne sprawy do załatwienia.

Irena przypominała sobie, kiedy widziała Jankę naprawdę zakochaną. Było to pod koniec liceum. Poznała chłopaka, który był pół Łotyszem, pół Polakiem. Jego ojciec został na Łotwie, a matka, Polka, po rozwodzie wróciła z czworgiem dzieci do Warszawy. Māris często przyjeżdżał do Anina. Przeważnie siedzieli z Janką w ogrodzie, wieczorem palili ognisko i piekli kartofle. Był miłym chłopcem o bałtyckiej urodzie i często nieprzewidywalnych reakcjach. Janka była w nim bardzo zakochana i on chyba też, ale widać było, że oboje z jakiegoś powodu cierpią. Któregoś dnia, w przypiływie rozpaczy i samotności, Janka wyznała matce, że Māris cierpi na schizofrenię i jest... narkomanem. Janka nie wiedziała, jak mu pomóc.

– Nie pomożesz mu, kochanie. Jesteś na to za młoda, za bardzo zaangażowana uczuciowo. I to nie ty możesz mu pomóc, tylko lekarze, jego rodzina.

Māris kontynuował wizyty u nich, czasami po prostu siedział gdzieś w fotelu i całymi godzinami nic nie mówił. Aż nagle przestał przychodzić. Janka starała się dowiedzieć, co się stało, ale telefon nie odpowiadał, w ich mieszkaniu nikt nie otwierał drzwi. Przychodziła tam codziennie. Szkoła też nic nie wiedziała. W końcu spotkała sąsiadkę z pierwszego piętra.

– Nie przychodź tu. Nie ma po co.

– Wyjechali?

– Matka ze starszymi dziećmi jest ciągle w Stanach, a jego zabrali.

– Zabrali? Kto?

– Ruscy. Z ambasady. Przyszło po niego chyba ze czterech i wyprowadzili z mieszkania. Szarpał się i darł: „Deportuj mnie! Deportuj!” Wszyscy sąsiedzi widzieli.

– A matka wie?

– Podobno tak, ale nie wie, dokąd go zabrali.

Janka wróciła do domu późnym wieczorem zalana łzami i wyczerpana. Biegała po całej Warszawie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. I dowiedziała się. Od profesora z liceum. Podobno kiedy matka Mārisa wróciła ze Stanów i odkryła, co się stało, starała się zdobyć jakieś informacje o losach syna. Nie wiadomo jaką drogą otrzymała od kogoś z Moskwy wiadomość, że zamknęli go w zakładzie psychiatrycznym i zrobili mu trepanację czaszki. Czy to prawda? Co się z nim dzieje teraz? Nic nie wiadomo. A matka Mārisa znowu gdzieś wyjechała. Janka przez dwa tygodnie nie wychodziła z domu. Ciężko chorowała. Irena siedziała przy niej dzień i noc, trzymając ją za rękę. Kiedy na chwilę odchodziła, Janka zaczynała płakać i wołała: „Mamusi, nie zostawiaj mnie!”. Po dwóch tygodniach wstała i prosiła matkę, żeby pojechała z nią na kilka dni nad morze. Była wczesna wiosna. Ciepło ubrane chodziły brzegiem morza we Władysławowie. Nie rozmawiały dużo, ważne, że były razem. Po powrocie czuła się lepiej. A po maturze poszła na Akademię Medyczną.

Georg przyjeżdżał do Polski dosyć często. Irena za każdym razem czuła do niego coraz większą sympatię. Był kimś niezwykłym, prawdziwym, głęboko zaangażowanym we wszystko, co robił. Planowali z Janką, że będą razem jeździć po świecie; ona jako lekarz będzie niosła pomoc, tam gdzie jest najbardziej potrzebna, a on będzie robił reportaże. Marzyli jak para dzieciaków.

W końcu nadszedł dzień ślubu. Przyjechała również rodzina Georga z Bawarii. Janka chciała urządzić bardzo skromne wesele, ale przecież trzeba było zaprosić chociaż najbliższą rodzinę, kilka starych ciotek i wujków. No i oczywiście Franków. Para młoda wyglądała tak pięknie, że na ich widok ludzie się zatrzymywali i pytali: „Kto to?”.



Na przyjęciu weselnym nie panowała jednak przyjazna atmosfera, odczuwało się niechęć rodziny Janki do Niemców. Anna robiła, co mogła, żeby rozchmurzyć stare pokolenie, ale nikomu nie dopisywał humor. A wujek Franek swoją uwagą o miłości, która godzi skłócone narody, ściągnął na siebie nieprzyjazne spojrzenia i wywołał pomruk niezadowolenia.

Młoda para wyjechała najpierw do Monachium, później odwiedziła posiadłości rodzinne Georga w Bawarii, po czym wróciła do Anina. A potem znowu gdzieś ruszyła w świat. Janka kursowała między Polską a Paryżem. Georg jeździł gdzieś po świecie. Czasami wpadał do Polski sam, bo akurat pisał artykuł na temat tutejszej sytuacji. Odwiedzał Irenę obładowany paczkami żywnościowymi i lekarstwami, które później Irena oddawała do kościoła. Sytuacja z zaopatrzeniem w podstawowe produkty stawała się coraz trudniejsza. Janka starała się, jak mogła, żeby Irenie niczego nie brakowało, i rzeczywiście jedzenia i artykułów chemicznych miała aż w nadmiarze. Część oddawała Frankom i sąsiadom, resztę zanosila do kościoła.

Mimo że małżeństwo córki wyglądało na udane, Irena nieraz zastanawiała się, jak długo Janka będzie zadowolona ze swojego życia, bo prawdopodobnie któregoś dnia zacznie się nudzić w tym niemieckim, do przesady uporządkowanym świecie. Znała odpowiedź: dopóki Janka będzie w żywiole, zaangażowana w jakąś działalność, dopóty nudy nie zauważy.

Tego grudniowego dnia Irena brnęła przez śnieg zatopiona w myślach. Janki od dwóch tygodni nie było. Zabrali ją. Przyszli nad ranem i po prostu zabrali. Zdążyła tylko włożyć na siebie ciepłe ubranie, które miała pod ręką. Wyszła bez śniadania. Nie dyskutowała z nimi. Tak jakby wcale jej to nie zaskoczyło. Zdążyła tylko powiedzieć: „Nie martw się, mamuś. Dbaj o siebie”. Dwa tygodnie wcześniej wróciła z Monachium. Opowiadała jej o spotkaniu z Zosią. O tym, jak się obie odnalazły. Cieszyła się, że są bliskimi kuzynkami, że Zosia jest taka śmieszna i dziecinna i taka podobna do wujka Franka, ale też i trochę do cioci Anny. Że martwi się o nią, bo Jacek jest dziwny, ale nie wie, dlaczego, że na razie nie bardzo rozumie jego zachowanie, ale kiedy znowu pojedzie do Paryża, postara się jakoś rozgryźć ten problem. Wujek Franek prosił ją o to, a ona czuje się odpowiedzialna za Zosię.

Irena wróciła od sąsiadki. Włączyła radio. Chciała posłuchać Wolnej Europy i BBC. Udało jej się złapać Radio France Internationale, które od 17 grudnia nadawało audycje dla Polaków w Polsce. Po paru minutach połączenie zostało przerwane. Straszne zakłócenia. Zrozumiała tylko, że jest wielu internowanych. Że boją się, że ześlą ich na Syberię, że nikt tak naprawdę niczego nie wie. Że po Warszawie jeżdżą czołgi. Że Europa organizuje pomoc humanitarną dla Polski. Już podobno dotarły transporty z Holandii i ze Szwecji. A co z resztą? Czy uda im się przekroczyć granice?

Staną w oknie. Płatki śniegu powoli opadały na ziemię. Janka. Gdzie ona jest? Boże, zlituj się! Łzy powoli spływały po jej zmęczonej twarzy. Pomyślała o Annie, swojej kochanej kuzynce, zawsze wiernej. Pewnie też się teraz zamartwia, bo Franka z całą pewnością nie ma w domu. Albo został internowany, tak jak Janka, albo gdzieś się ukrywa. To już druga wojna, która jest ich udziałem. Pierwsza była z Niemcami, a tę drugą wypowiedział im Polak.

W tym samym czasie Anna stała w oknie, spoglądając na zasypaną śniegiem ulicę Kasprowicza. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak ładnie, tak nieskazitelnie białe. Anna płakała już kolejny dzień i czuła się bardzo zmęczona. Zapasy od Ireny już się skończyły i nie miała co włożyć do garnka. Alicja przeważnie czytała książki, bo – jak mówiła – dzięki temu mogła mniej myśleć i mniej czuć. Książek też już zaczynało brakować, przeczytała wszystkie po raz kolejny. Franek. Gdzie on jest? Zniknął dwa tygodnie temu i nie wiedziała, czy go internowali, czy gdzieś się ukrywa. Dotarła wczoraj na piechotę do kościoła świętego Marcina, ale na razie nie mieli go tam na liście internowanych. Prosił, żeby się dowiadywać. Na liście była natomiast Janka. Dobrze, że są tacy ludzie, jak ci w kościele, którzy działają dla innych. Na samą myśl o nich od

razu robi się cieplej na sercu. Pomyślała o Irenie. Jak się z nią skontaktować? Szalona Janka. Taka inna od spokojnej i skrytej Ireny. A mimo to było widać, że bardzo się kochały. Janka życie by oddała za matkę. Nic dziwnego, od śmierci Jurka miały tylko siebie. Jak dotrzeć teraz do Anina i nakłonić Irenę, żeby na ten okres przeniosła się do nich na Bielany? Byłoby im razem łatwiej i raźniej. Całe szczęście, że Zosia jest teraz bezpieczna. Ale czy na pewno? Martwiła się o nią. Nie umiała powiedzieć, dlaczego, ale czuła, że Zosia nie jest szczęśliwa. I pewnie bardzo się teraz martwi o nich wszystkich. Kiedy Zosia coś przeżywała, to zawsze całą sobą, bez umiaru. Nawet nie można porozmawiać przez telefon, usłyszeć jej głosu, starać się jakoś ją uspokoić. Uspokoić? Czy można teraz w ogóle kogoś uspokoić?

Która to godzina? Za oknem było już ciemno. Zosia z trudem wracała do rzeczywistości. Zdrzemnęła się chwilę po obiedzie i prawdopodobnie spała kilka godzin. Śniło jej się, że brnie przez zasy śniegu, że musi koniecznie gdzieś dotrzeć, a zasy są tak wielkie, że nie może ich pokonać. Gdzie miała dotrzeć i po co? Uświadomiła sobie, że obudziło ją głośne pukanie do drzwi. Wsunęła się spod koca i wyszła na zimno i wilgoć panujące w mieszkaniu. Za drzwiami stała Valérie w towarzystwie Valeriana. Byli ubrani w puchowe kurtki.

– Zosiu, jedziemy do Polski, na dole stoi furgonetka. Chcieliśmy zobaczyć się z tobą przed wyjazdem.

– Poczekajcie, ubiorę się.

Zeszli do bistra na dole.

– Jacek w dalszym ciągu nie wierzy w ten podsłuch, o którym mówiła Janka, ale ja wolę nie ryzykować. I tak wiele razy zapominaliśmy się w rozmowach, choć staram się nie mówić o niczym ważnym. Bezpieczniej porozmawiać tutaj lub na ulicy.

– Podsłuch? Przecież to można sprawdzić. Po powrocie przyjdę do ciebie ze znajomym, on się na tym zna. Jeżeli rzeczywiście jest podsłuch, to go usunie – powiedział Valeriano.

– Świetnie, nie przyszło mi do głowy, że to przecież można sprawdzić – ucieszyła się Zosia.

– Podobno wasi ambasadorzy w Stanach i Japonii poprosili o azyl polityczny – wtrąciła Valérie.

– I pewnie przyjdzie im za to zapłacić – dokończył Valeriano.

– Boję się, Valérie, o moich najbliższych, bardzo się o nich wszystkich boję – powiedziała Zosia. – Śnią mi się ciągle. Idę do nich i nie mogę dotrzeć.

– Mamy odwiedzić twoją rodzinę?

– Nie wiem. Sama nie wiem, czy to byłoby dla nich dobre. Chyba nie. Mogłoby być niebezpieczne. Z drugiej strony tak bardzo bym chciała.

– Ja też bym chciała ich poznać.

– Może to jeszcze nie ten czas. Ale dam wam dla nich trochę jedzenia, możecie je zostawić w kościele świętego Marcina.

– Właśnie tam jedziemy.

Weszli na górę. W domu był już Jacek. Właśnie wrócił z pracy i gdzieś się znowu wybierał.

Wyruszyli w drogę. Najdłuższą w ich życiu. Najbardziej niewiadomą. W miarę jak mijały godziny i kilometry, robiło się coraz zimniej. Byli już bardzo zmęczeni, kiedy dotarli w pobliże granicy niemiecko-niemieckiej. Noc wprawdzie była już poza nimi, ale przejmująco zimny dzień wydawał się mało przyjazny. Zatrzymali się w jakimś zajeździe, żeby się trochę odświeżyć, zjeść coś ciepłego i zdrzemnąć choć godzinę. A także uzupełnić zapas benzyny. Niewiele rozmawiali, wszystko zostało już omówione wiele razy podczas przygotowań. Elke była dla nich naprawdę ogromnym wsparciem; pomogła im załatwić wizy dla członków organizacji humanitarnej i służyła wszelkiego rodzaju informacjami o ich prawach, a paryscy znajomi Andrzeja wręczyli im listę adresów „w razie czego”. Przepelniały ich tysiące obaw, a jednocześnie determinacja, by dotrzeć na miejsce. Był w nich bunt. Złość na tamten świat. Chęć uczestniczenia choć trochę w tamtej, nie ich historii. Znowu ruszyli w drogę. W miarę jak zbliżali się do granicy, na drogach rosła liczba ciężarówek i furgonetek. Wolno posuwali się do przodu, aż w końcu musieli się zatrzymać. Pojazdy stały nie wiadomo od jak dawna.

– Valérie, nie jesteśmy sami. Oni wszyscy tam jadą. Te kanalie trzymają ich na granicy. Pewnie nie mogą znieść tej reakcji Zachodu. Pójdę na zwiady, może dowiem się czegoś.

Po chwili wrócił.

– Nikt nic nie wie. Niektórzy stoją tu już sześć godzin. Nic się nie rusza, bo zaglądają do wszystkiego. I odchodzą gdzieś z paszportami. Nawet Niemcom trudno dogadać się z tamtymi zza granicy. A niby mówią tym samym językiem.

– Valeriano, myślę, że to dopiero początek. Zosia przestrzegала mnie, że straż graniczna i celnicy nie będą specjalnie sympatyczni.

– Pewnie.

– Mówisz po niemiecku?

– Nie.

– To nawet powiedzieć im nic nie można. Pewnie nie mówią w żadnym innym języku.

Mijały godziny. Co jakiś czas zapalali silnik i posuwali się pół metra do przodu. Jednak coś się ruszało, tylko powoli. Stracili poczucie czasu. Starali się nie sprawdzać na zegarkach, która godzina. Co jakiś czas z pobliskich ciężarówek docierały do nich wściekłe przekleństwa, przeważnie po niemiecku. O tym, że czas mija, przypominał im zapadający zmrok. Dopiero w nocy nadeszła ich kolej. Strażnik, anonimowy człowiek z innego świata, wziął ich paszporty i gdzieś na długo zniknął. Kiedy wrócił z jeszcze jednym mężczyzną, pokrzykując, dał znać Valeriano, żeby wysiadł z samochodu. Poszli razem na tył furgonetki. Strażnik przez cały czas się wydierał i kazał pokazywać, co jest w środku paczek. Zadowolił się zawartością dwóch kartonów i pozwolił im jechać dalej. Ruszyli. Przez pewien czas siedzieli w milczeniu. Oboje dygotali z emocji. Fakt, że znaleźli się po drugiej stronie żelaznej kurtyny, wydał im się niesamowity. Byli pełni obaw.

– Przykro mi, Valérie, ale nie możemy się tu zatrzymywać. Nie możemy też jechać za szybko, bo po pierwsze jest zakaz, a po drugie po tej „autostradzie” z czasów Hitlera, wybudowanej dla czołgów, nie da się pruć. Musimy teraz dotrzeć do polskiej granicy, a tam też może być strasznie, może nawet gorzej.

– Zobacz, Valeriano, co jakiś czas widać przy drodze milicjantów. Jest ich wielu. Stoją na tym mrozie. Prawie mi ich żal.

– Postaraj się zdrzemnąć trochę przed następnym etapem.

– Nie mogę. Nie chcę nic stracić z tej „wycieczki”.

– Na razie nic się nie dzieje. Ciągle to samo. Dopiero zbliżamy się do piekła, może być gorzej.

– W Polsce będzie jeszcze bardziej nieprzyjemnie?

– Na granicy. A później zobaczymy.

Znowu płynęły godziny, mijały szybciej niż ich droga na wschód po betonowych płytach z czasów wojny. Zbliżał się świt. Pierwsze promienie zimowego słońca były już na horyzoncie, kiedy wreszcie dotarli do punktu granicznego w towarzystwie tych samych ciężarówek, z którymi spędzili tyle godzin przed przekroczeniem poprzedniej granicy i w dalszej drodze na wschód. Za tym szlabanem była Polska. Mimo ogromnego zmęczenia, zimna i strachu, mimo widoku straży granicznej Valérie była wzruszona i szczęśliwa. W końcu ich tam wpuszczą. Bez względu na wszystko dojadą do celu.

Sytuacja wyglądała tu jednak gorzej niż poprzednio. Celnicy dokładnie przetrząsali ciężarówki. Jak to wytrzymać, jak wytrwać tyle godzin w tak ciężkich warunkach? Znowu stracili poczucie czasu. Było za zimno, by długo rozmawiać z kierowcami innych ciężarówek. Zresztą rozumieli się bez słów. Ich cel i pobudki były takie same.

Ciepła kawa w termosie już się skończyła, kanapki prawie też, a poza tym byli tak zmęczeni, że sami nie wiedzieli, czy jeszcze cokolwiek czują. Co jakiś czas przysypiali w zimnie.

– Valérie, jeżeli to przeżyjemy, po powrocie uznam, że żyjemy we Francji w skrajnym komforcie.

– To prawda, niestety zapominamy o tym na co dzień.

Co jakiś czas ciężarówki przesuwały się o metr, dwa, co oznaczało, że jeden samochód został odprawiony. Znowu zapadł wieczór. W środku nocy nadeszła ich kolej. Strażnik wziął od nich paszporty i odszedł. Po powrocie kazał Valerianowi iść na tył furgonetki i pokazać, co wiezie. Tutaj wtrąciła się Valérie, mówiąc, że też pójdzie z nimi, bo mówi po polsku. Dwóch celników kazało im wyciągać po kolei kartony, otwierać je i pokazywać zawartość. Jeden z nich zajrzał pod podwozie, zbadał koła i sprawdził pod siedzeniami. W końcu polecili wszystko zapakować i jechać dalej. Nie chcieli rozmawiać, mimo naiwnych zapewnień Valérie, że chętnie wyjaśni wątpliwości, jeżeli potrzebują jakichś informacji, by oszczędzić im poszukiwań. Kiedy w końcu załadowali wszystko z powrotem i ruszyli, Valeriano zaczął się głośno śmiać. Po chwili uspokoił się i powiedział:

– Przepraszam, Valérie, to nerwowe. A tak na marginesie to jesteś śmieszna.

– Śmieszna?

– No, zabawna. Nawet w takiej sytuacji myślałaś, że złapiesz ich na wdzięk, oczarujesz swoim urokiem. Niestety tutaj takie chwytły nie działają.

– W konsulacie podziałało.

– W konsulacie siedział jakiś osioł, a tutaj jest wojsko.

– Zobacz, Valeriano, jaki inny krajobraz. Kraina śniegu. Domy inne niż u nas.

– Postaraj się pospać trochę. Dam sobie radę. Wiele razy tędy jechałem. Najgorsze za nami.

Warszawa. Miasto budziło się ze snu. Ulice były smutne. Szare i jakby opuszczone. Miasto duch. Takie mieli pierwsze wrażenie. Jechali powoli, wszystkiemu się uważnie przyglądając. Wydawało się im, że tego ranka na ulicach było więcej milicji niż przechodniów. Co za widok! Valérie poczuła lęk. Przy przejściu dla pieszych stał młody mężczyzna. Przejechali wolno, tak wolno, że dokładnie widzieli jego twarz. Przez ułamek sekundy spojrzeli sobie w oczy. Na twarzy mężczyzny pojawił się nagle promienny uśmiech. Zrozumiał, po co tu przyjechali.

– Valérie, dla tego jednego uśmiechu warto było przejechać przez to piekło.

Dotarli na Stare Miasto. Nie byli jedyni. Przed nimi przyjechała już furgonetka z Niemiec. Powitano ich tak przyjaźnie i serdecznie, że wynagrodziło im to trudy całej podróży. Po wyładowaniu zawartości furgonetki i ciepłym posiłku mogli porozmawiać z osobami, które

ich przyjęły. Valérie chciała się dowiedzieć czegoś na temat sytuacji Andrzeja, ojca Zosi i Janki. O Andrzeju nic nie wiedzieli, pewnie się ukrywał, jego żona, jak również Janka, zostały internowane, ojciec Zosi był natomiast na wolności, ale nie mieszkał w domu. Valérie zostawiła paczkę dla matki Zosi. Napisała też do niej parę słów od siebie, żeby się nie martwiła, bo Zosia czuje się dobrze, że ma nadzieję, że poznają się osobiście, a Zosia jest dla niej jak młodsza siostra. Poprosiła o przekazanie tego wszystkiego. Po południu pojechali pod adres podany im przez znajomego Andrzeja. Marta, siostra znajomego, przyjęła ich tak, jakby znali się od dawna. Podziękowała im za solidarność. Mówiła świetnie po francusku, więc Valeriano również mógł brać udział w rozmowie. Valérie zapytała o Andrzeja, miała nadzieję, że może będzie mogła się z nim spotkać.

– Nie ma kontaktu z Andrzejem. Ukrywa się. Natomiast Basia, jego żona, jest internowana i bardzo martwimy się o nią, bo jest słabego zdrowia, ma chore serce i nie wiemy, jak to zniesie. To dzielna i wspaniała osoba. Zacie ją? Nie? Andrzej to szczęściarz. Są udanym małżeństwem. Andrzej bardzo ją kocha. Nie zniósłby, gdyby coś jej się stało.

Marta wzięła Valérie i Valeriano za parę, do głowy jej nie przyszło, że Valérie jest kochanką Andrzeja. Nie zauważyła, że po jej słowach Valérie na chwilę zamarła. Valeriano spostrzegł to od razu i objął ją opiekuńczo ramieniem.

Zostali w Warszawie dwa dni. Pospacerowali trochę po śródmieściu.

– Co za smutne miasto. Nawet nie można tu wyczuć dawnej świetności. Szarość i bieda – zauważył Valeriano.

– Czytałam, że przed wojną było tu pięknie.

– No tak. Zanim Adolf się nie zdenerwował.

– Sądzisz, że z Andrzejem już koniec? – zmieniła temat Valérie.

– Nie wiem. Oni żyją w innym świecie, innymi sprawami. Myślę, że Marta mówiła prawdę, bo zna ich oboje. Myślę również, że jesteś dla Andrzeja kimś takim jak muza dla artysty, odskocznią od tego smutnego świata. Valérie... Nie chciałem zrobić ci przykrości. No nie płacz. Przecież mogę się mylić.

– Najgorsze jest to, że ja też tak myślę. Oni tu mówią: „Serce nie sługa”. I to prawda. Nic na to nie poradzę.

– Nie martw się. Życie jest czasami dziwne i nigdy nie wiemy, co będzie dalej.

– Czuję, że to koniec.

– Żałujesz, że przyjechałaś?

– Nie, uśmiech tego chłopaka na przejściu był wart tej drogi.

– Myślę, że przyjadę tu znowu za miesiąc. Przyjedziesz ze mną?

– Postaram się.

Wyjechali z powrotem o świcie. Tym razem Valérie przez większość drogi spała. Na obu przejściach granicznych stali dosyć długo, ale było to do zniesienia. Celnicy znowu szukali czegoś w pustej furgonetce. Po dotarciu do Niemiec Zachodnich przesiedzieli trzy godziny w pierwszym napotkanym zajeździe. Nie byli jedyni. Inni kierowcy wracających z Polski ciężarówek też się tu zatrzymali. Byli to przeważnie Niemcy, ale również Francuzi. Zapanowała rodzinna atmosfera, a właściciel zajazdu wyjął butelkę i zaprosił wszystkich na lampkę wina za pomyślny powrót. Nagle wszyscy się rozgadali. Mówili o swoich wrażeniach, emocjach. Niektórzy kursowali tak od dawna, wożąc przeważnie lekarstwa. Opowiadali o napotykanym trudnościach, ale dodawali, że mimo wszystko zamierzają kontynuować jazdę z pomocą humanitarną. Valeriano wymienił numery telefonów z kilkoma osobami, po czym wyruszyli w drogę powrotną.

Pobyt w Warszawie wydał im się bardzo długi, bo ich emocje i przeżycia były jakby

skondensowane. Teraz znowu wrócili do świata, który nie miał nic wspólnego z tamtym. Szeroka wygodna autostrada przez zachodnie Niemcy, nowoczesne samochody i w końcu Francja ze swoim bałaganiarstwem i brawurą. Kiedy dotarli do Paryża, poczuli się, jakby to już nie było ich miasto. Jakby ten spokój i wygoda ich życia stały się im obce. Nie tak wygląda prawdziwe życie. Prawdziwe jest tam, za żelazną kurtyną, bo tam toczy się walka o godność człowieka. Valérie chciała zostać sama, musiała uporządkować sobie wszystko w głowie, wszystko przemyśleć. Po powrocie do mieszkania zdjęła buty, kurtkę i położyła się na chwilę na kanapie. Zasnęła natychmiast, dopiero następnego dnia obudził ją nieznośny ból głowy. Zadzwoiła do biura z informacją, że nie przyjdzie do pracy, i do Elke, że już przyjechała, ale dzisiejszy dzień musi zostać sama, dopiero jutro odbierze dzieci. Wzięła dwie tabletki doliprane i zamknęła się w łazience. Długo leżała w ciepłej wodzie, starając się odprężyć wymęczone ciało. W końcu usiadła z filiżanką herbaty, w szlafroku na kanapie i próbowała zrozumieć, co się wydarzyło, a także swoje odczucia na ten temat. Nie, nic z tego nie wyjdzie. Wykręciła numer telefonu Zosi. Po pierwszym sygnale usłyszała jej głos.

– Nareszcie wróciłaś. Jak było?

– Zosiu, czujesz się na siłach, żeby do mnie przyjechać?

– Tak, jestem już w płaszczu, bo wybierałam się na spacer, ale przyjadę do ciebie.

Kiedy Zosia weszła do jej mieszkania, Valérie w dalszym ciągu siedziała na kanapie. Nie czytała, nie słuchała radia, nie rozmyślała. Patrzyła przed siebie.

– Jesteś bohaterką, Valérie.

– Nie, Zosiu, jestem nikim. Wiodę przeciętne życie w tym wygodnym kraju.

– Pojechałaś tam. Do tego piekła.

– Tak, to prawda, wygląda jak piekło, tylko że tam są prawdziwi ludzie.

Zosia się rozplakała. Zakryła twarz rękoma i zastygła w takiej pozycji. Valérie poszła do kuchni, by zaparzyć herbatę. Nie umiała pocieszyć Zosi. Na jej miejscu też by płakała.

Opowiedziała o podróży, o postojach na obu granicach, o wizycie w kościele świętego Marcina, o rozmowie ze znajomą Andrzeja. W tym miejscu wybuchnęła płaczem.

– Valérie, nie płacz, proszę. Nic nie wiesz. Przecież go nie widziałaś. To nie on ci to wszystko powiedział. Na zewnątrz stosunki między ludźmi wyglądają często zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Może on cię naprawdę kocha. Może to, że istniejesz w jego życiu, pozwala mu żyć w tym piekle. Nic nie wiesz. Poczekaj.

– Ale ja zrozumiałam również, że teraz, kiedy dowiedziałam się o jego żonie nie tylko od niego, tylko od jej przyjaciółki, usłyszałam, jaka jest, nie chcę niszczyć jej życia. Do tej pory starałam się o niej nie myśleć, ale teraz stała się dla mnie realna.

Zosia się zamyśliła. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– O co chodzi, Zosiu?

– Miałam dziwny telefon dwa dni temu. Zadzwoiła poprzednia lokatorka, Dolores. Ta, która do niedawna wisiała u nas na ścianie.

– Czego chciała?

– Nie wszystko mogłam zrozumieć. Mówiła tak jakoś dziwnie po francusku.

– Z akcentem?

– Może tak. W końcu zrozumiałam, że jest w Paryżu i chce zobaczyć dziecko Jacka.

Powiedziałam jej, że nie ma żadnego dziecka. Zdziwiła się. Chciała, żebym powiedziała Jackowi, że jest w Paryżu, i czeka na niego tam, gdzie zwykle spotykali się ze znajomymi.

– I co, powiedziałaś mu?

– Tak. Był zaskoczony, a moje pytania zbywał. Mówił, że to nic ważnego, że nie ma czasu się z nią spotkać. W końcu stwierdził, że chyba jednak tam pójdzie, żeby jej wytłumaczyć,

by więcej nie dzwoniła i mnie nie niepokoiła.

– A skąd miała wasz numer telefonu?

– No właśnie.

– Może od jakichś wspólnych znajomych, a może z biura numerów.

– I tak to dziwne. Nie lubię jej.

– Ja też nie.

– Spotkał się z nią?

– Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Często gdzieś wychodzi.

– Na razie się tym nie zadręczaj. Zastanowimy się nad tym po porodzie. Teraz myśl tylko o sobie.

Któregoś popołudnia do Zosi przyszedli Valeriano i jego kolega, który przyniósł urządzenie do wykrywania podsłuchu. W milczeniu obszedł całe mieszkanie. Rozkręcał kontakty, przesuwając meble, zaglądał pod stół, dokładnie oglądał listwy przy podłodze. Zbadał każdy przedmiot. Po czterech godzinach machnął ręką i wszyscy troje zeszli na dół. Usiedli w bistrze, mężczyźni zamówili dla siebie piwo, dla Zosi sok.

– To nie znaczy, że nie ma. A nawet gdybym znalazł, to też nie znaczy, że pozbylibyście się kłopotu. Najlepiej się przeprowadzić albo uważać – stwierdził Tom, i to było jedyne zdanie, które wypowiedział, po czym dopił piwo, wstał i wyszedł.

Valeriano i Zosia przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, oboje zatopieni we własnych myślach. Czuli się trochę skrępowani, bo w zasadzie się nie znali i jedyne, co ich łączyło, to przyjaźń z Valérie. Valeriano pierwszy przerwał milczenie.

– Zosiu, czy Valérie opowiadała ci o naszej podróży do Warszawy?

– Oczywiście.

– Wiem, że jesteście przyjaciółkami, więc mogę rozmawiać z tobą, jakbyśmy się dobrze znali. Często mówi mi o tobie.

– Mnie o tobie też.

– Naprawdę? Co takiego?

– No, że razem pracujecie, że można na ciebie liczyć. Że rozbawiasz ją, kiedy jest smutna, tak że w końcu zaczyna się śmiać. Że jesteś niepoprawnym optymistą.

– No tak. To czasami taka fasada. Nie lubię, kiedy jest smutna. Po prostu nie mogę tego znieść, zrobiłbym wszystko, żeby była szczęśliwa.

Zosia długo wpatrywała się w Valeriana szeroko otwartymi oczyma, jakby zobaczyła go przed chwilą po raz pierwszy. Miał przystojną twarz typową dla mężczyzny z południa Europy, śniadą cerę, ciemne kręcone włosy opadające na brązowe oczy. Co one wyrażały? Zosia zrozumiała.

– Valeriano, ty ją kochasz.

Zmieszany, zakrył rękoma twarz i zaczął się śmiać.

– Jak zgadłaś?

– To widać.

– Ona o tym nie wie.

– Dlaczego jej nie powiesz?

– Jest Andrzej.

– Na razie tylko cierpi z jego powodu. On ma żonę i jest pewne, że jej nie zostawi, a w każdym razie nie teraz. A w ogóle to nie wiadomo, gdzie teraz jest, choć oczywiście to żaden argument.

– Wolę poczekać. Być jej przyjacielem. Nawet gdyby nigdy nic z tego nie wyszło. Lubię ją jako osobę. Chciałem zrozumieć ją lepiej, poznać, jaka jest. Pojechałem do Włoch, do



miasteczka, w którym mieszkała i z którego uciekła. Mówiła ci?

– Tak, mówiła, że tam pojechałeś, ale nie zrozumiałam po co. Jakie jest to miasteczko?

– Takie, jakby czas zatrzymał się w nim dwieście lat temu. Domy są kamienne, z okiennicami chroniącymi w lecie od słońca, w zimie od wiatru. Stoją jedno obok drugich tak blisko, jakby bały się zostać same w tym górskim otoczeniu.

– Gdzie to dokładnie jest?

– W Umbrii, miasteczko nazywa się Castelluccio di Norcia. Otaczają je Apeniny i jest tam naprawdę uroczo. Pojechałem do Włoch wiosną zeszłego roku. Zwiedziłem wiele miejsc, byłem między innymi w Asyżu; jest piękny. Nie można zapomnieć tego miejsca. A zwłaszcza jego historii. Castelluccio natomiast to przede wszystkim góry i łąki. Góry wydają się daleko, ale są ciągle obecne, stale o sobie przypominają, zewsząd je widać. Żyje się w ich otoczeniu. Doznawałem tam pewnego rodzaju klaustrofobii, chociaż patrzyłem na nie z zachwytem. Zmieniają się w zależności od pory dnia. Czasami są brązowe, czasami fioletowe. Łąki przypominają kolorowe dywany lub tkaniny. Mieniają się różnymi barwami, nie można od nich oczu oderwać. Rosną na nich polne kwiaty, maki, chabry i inne, których nie znam. W niesamowitych ilościach. Kraina dla malarzy i poetów.

– Tego mi Valérie nie mówiła.

– Bo ona prawdopodobnie inaczej patrzyła na swoje otoczenie. Widziała dom, teściową, sąsiadów i męża, który jej nie rozumiał. Nie pasowała do tamtego miejsca.

– To znaczy, że pojechałeś tam jeszcze wtedy, kiedy byłeś z Haliną.

Valeriano zaczął się śmiać.

– Nic się przed tobą nie ukryje. Tak, byłem jeszcze z Haliną, ale już podobała mi się Valérie. To nie wszystko. Wyobraź sobie, że Valérie zaprosiła nas do swojej babci do Burgundii, a ja zainteresowałem się historią jej rodziny. Opowiedziała mi ją jej ciotka, która mieszka w domu obok. Może zainspiruje mnie to kiedyś do napisania o nich książki. Pozmieniam tylko nazwiska, imiona i nazwę wioski.

– Czy w tym domu są duchy?

– Duchy? Dlaczego? Może są. Właściwie mogłyby być.

– Mnie się wydaje, że są, a przynajmniej jeden.

– Jej prababki?

– Skąd wiesz?

– To długa historia. Pewnie widziałas ją na portrecie w sali bilardowej. Kobieta o smutnej twarzy, w niebieskiej sukni. Była bardzo nieszczęśliwa, bo mąż jej nie kochał i miał kochankę w pobliskiej wiosce. Popadła z tego powodu w depresję i któregoś dnia wyskoczyła przez okno swojego pokoju. Nie zabiła się, bo to było tylko drugie piętro. Prawdopodobnie złamała kręgosłup i przez parę dni umierała w strasznych męczarniach.

– Dziękuję ci, Valeriano. Teraz już wszystko rozumiem. Ale dlaczego Valérie nie chciała mi o tym powiedzieć, kiedy zapytałam ją o kobietę, której duch nawiedza ich dom?

– Bo to ich rodzinny dramat.

– No dobrze. I co teraz zrobisz z Valérie?

– Już ci mówiłem. Poczekam.

Mijały tygodnie. Powoli nadchodziła wiosna. Valérie w dalszym ciągu nie miała żadnej wiadomości od Andrzeja. Jego znajomi również niewiele wiedzieli, co dzieje się z nim i jego rodziną. Wiadomości radiowe były niepokojące. Zosia relacjonowała Valérie swoje rozmowy z rodziną, które odbywała z budki telefonicznej na ulicy, bo nie chciała dzwonić z mieszkania. Co za różnica? Przecież to i tak były „rozmowy kontrolowane”. Valérie nie zawsze rozumiała zachowanie Zosi. Przypominała sobie w takich chwilach podróż do Warszawy, panującą tam

atmosferę, i było jej wstyd. Oni się po prostu boją. Wszystkiego, często irracjonalnie. Teraz szycowała się razem z Valerianem do następnej podróży do Polski. Wszyscy jej koledzy z biura brali w tym udział. Jedno z pomieszczeń przeznaczili na magazyn. Gromadzili lekarstwa od znajomych lekarzy i aptekarzy, ubrania, suchy prowiant. Tym razem zamierzali wyruszyć trzema furgonetkami. Ich dwoje, dwóch kolegów z działu Valeriana i Jean z Elke. Mogliby pojechać ciężarówką, może byłoby to taniej, ale nikt z nich nie miał odpowiedniego prawa jazdy. Planowali podróż na kwiecień. Każde z nich złożyło już w pracy podanie o dni wolne. Będą chyba jednak musieli odłożyć wyjazd. W nocy obudził Valérie telefon. To Zosia. Prosi, żeby natychmiast przyjechała. Będzie rodzic, a jest sama. Valérie nie zadaje pytań. Ubierając się, zastanawia się, jak najszybciej tam dotrzeć. Metro odpada. O tej porze już nie kursuje, a poza tym i tak za długo jedzie. Taksówka. Dzwoni, ale nikt nie odpowiada. Valeriano. Tak, zaraz będzie. Dzwoni do Zosi. Schodzi na dół. Czeka i czuje, że drżą jej ręce. Boi się o Zosię. W końcu przed domem z piskiem opon zatrzymuje się samochód Valeriana. Jadą szybko, o tej porze drogi są puste. Valeriano przejeżdża skrzyżowania na czerwonym świetle. Wbiegają na górę. Spotykają Zosię na klatce na trzecim piętrze. Trzyma się poręczy i ciągnie za sobą plecak, ten sam, z którym przyjechała z Brukseli. Valeriano bierze ją na ręce i znosi do samochodu. Wydaje mu się niesamowicie ciężka. Sadza ją na tylnym siedzeniu i rusza do najbliższego szpitala. Valérie sprawdza w tym czasie zawartość plecaka. Wyprawka dla dziecka, którą jej przygotowała. Ubranka po jej dzieciach. W szpitalu nikt się specjalnie nie śpieszy, ale przyjmują ich od razu, na szczęście Zosia jest jedyną pacjentką. Kiedy wiozą ją do sali, Valérie trzyma ją za rękę. Obiecują jej z Valerianem, że będą czekać. W ostatniej chwili Valérie pyta:

– Gdzie jest Jacek? Dlaczego nie ma go przy tobie?

– Pojechał do Brukseli po moje rzeczy, które nie zmieściły się do naszych plecaków.

Valérie nic nie mówi. To nie jest moment na komentarze. Idą do kafeterii napić się czegoś ciepłego. Valérie dzwoni do Elke, prosi, by poszła do jej domu, żeby dzieci nie były same. Przysypiają na twardych krzesłach poczekalni, w świetle jarzeniówek. Przez okna widać wschodzące słońce. Przychodzą lekarze i pielęgniarki z następnej zmiany. Valeriano idzie do najbliższej kawiarni po kawę. Kupuje też rogaliki. Po powrocie nie zastaje Valérie w poczekalni. Pielęgniarka informuje go, że poszła do Zosi. Mówi, że urodziła się dziewczynka. Valeriano całuje pielęgniarkę w oba policzki i pędzi do sali, w której leży Zosia. Pielęgniarka biegnie za nim. Zatrzymuje go. Odbiera mu pakunek z kawą i rogalikami i każe włożyć fartuch, czepek, ochraniacze na buty, a także umyć ręce. Valeriano poddaje się temu, a kiedy wchodzi do sali, zastaje Valérie w takim samym stroju ochronnym jak jego, z dzieckiem Zosi na rękach. Valeriano po raz pierwszy w życiu widzi małego człowieka, który właśnie przyszedł na świat. Brak mu słów, które mogłyby wyrazić ogarniające go na ten widok uczucie. Jedyne określenie, które przychodzi mu na myśl, to cud. Chciałby, żeby ta chwila trwała wiecznie, a on mógł patrzeć na Valérie trzymającą w ramionach maleńką dziewczynkę. Podchodzi jednak pielęgniarka, bierze dziecko od Valérie i wychodzi z nim do sali obok. Zosia ze zmęczenia ledwo utrzymuje otwarte oczy.

– Dziękuję wam za wszystko. Czy zostaniecie jej rodzicami chrzestnymi?

– Tak – odpowiadają prawie chórem.

– Valérie, czy mogę cię prosić, żebyś mi przyniosła z domu polski kalendarzyk? Leży na krześle obok łóżka. Weź klucze od mieszkania. Są w kieszeni plecaka.

Kiedy Valérie przychodzi po południu i bierze dziecko na ręce, Zosia zagląda do kalendarzyka, patrzy na daty i myśli, że to nie przypadek.

– Dam jej na imię Franciszka.

Parę dni później Jacek stoi w kabinie telefonicznej. W garści trzyma monety i wrzuca

jedna za drugą. Co chwila połączenie się rwie. W końcu rozlega się nagranie „rozmowa kontrolowana”. Słuchawkę podnosi matka.

- Halo! – mówi cichym, ale jakby zirytowanym głosem.
- Mamusiu, słyszy mnie mamusia?
- A, to ty Jacku.
- „Rozmowa kontrolowana”.
- Mamy córeczkę.
- Wszystko dobrze?
- Tak. No prawie.
- „Rozmowa kontrolowana”.
- Co się stało?!
- Ma na imię Franciszka.
- Kto to wymyślił?
- Zosia.
- Przyzwyczaisz się.
- „Rozmowa kontrolowana”.
- Co mamusia opowiada?! Jak można się przyzwyczaić do takiego imienia?
- Trzeba było być przy niej, to może miałbyś coś do powiedzenia.
- Skąd mamusia wie?
- Wstyd mi za ciebie.
- „Rozmowa kontrolowana”.

Koniec połączenia. Może to i lepiej. Ciekawe, czy zostało przerwane, czy też matka odłożyła słuchawkę? Franciszka. Czy w Polsce żyje jakaś młoda osoba o tym imieniu? Głowę by dał, że nie. Nie mieszkają co prawda w Polsce, ale nawet tutaj Françoise brzmi staroświecko. A w dodatku Zosia podała imię córki w polskiej pisowni. To jakaś kpina. Wszyscy będą wymawiać: Franciska. Kiedy jednak myślał o niej, o tej małej drobnej istotce, do której się natychmiast przywiązał, to imię stało się po paru dniach jej nieodłączną częścią, a po pewnym czasie nawet je polubił. I któregoś dnia uświadomił sobie, że mała Franciszka zajmuje wszystkie jego myśli, i jedyne, co mu przeszkadzało, to jego poczucie winy, z którym żył na co dzień.

Wyruszyli do Polski tydzień po przyjeździe na świat Franciszki. Jeszcze przed świtem dotarli do granicy niemiecko-niemieckiej. Pierwsi jechali Valeriano i Valérie, a za nimi Jean i Elke, i to ona prowadziła. Jean bił rekord liczby wypalonych papierosów. Za nimi podążali koledzy Valeriana. Starali się trzymać razem. Wszyscy byli zdenerwowani. Godziny spędzone na przejściach granicznych wyprowadzały ich z równowagi, a przecież trzeba było zachować spokój i opanowanie. Zdawało się, że służby tylko czekają na wybuch z ich strony. Najbardziej opanowana okazała się Elke, może ze względu na wyważony temperament. Schemat przejazdu przez granice był podobny, wszystko odbywało się jak za pierwszym razem, tylko pogoda była inna. I nawet w smutnej Warszawie było jakby odrobinę więcej nadziei; liście na drzewach, zielone trawniki i parki dopiero teraz uświadomiły im, że mimo wszystko może tu być całkiem przyjemnie. Po wyładowaniu furgonetek i przyjaznych powitaniach wszyscy udali się do mieszkania Marty, która czekała na nich z gorącym posiłkiem – bigosem. Elke była zachwycona. Marta wręczyła Valérie kopertę z listem od Andrzeja, a ona wyszła do drugiego pokoju, żeby go przeczytać. Kiedy po półgodzinie jeszcze nie wróciła do stołu, Elke uchyliła drzwi. Valérie siedziała nieruchomo w fotelu ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Nawet nie drgnęła, gdy do niej podeszła.

– Andrzej się ukrywa. Wiedział o mojej pierwszej podróży tutaj. Wie, że jestem tu teraz. Píše, że wiele rzeczy rozumiał, że zajmuję w jego życiu ważne miejsce, ale jestem jak zjawia, jak marzenie. A jego żona jest tutaj i jest internowana; pewnie wypuszczą ją niedługo ze względu na problemy ze zdrowiem, ale on nigdy jej nie opuści, są sobie potrzebni, a poza tym nie chce rozczarować swoich dzieci. Píše, żebym nie przyjeżdżała tutaj ze względu na niego, bo nawet gdyby to było możliwe, już nigdy się ze mną nie spotka. Życzy mi, żebym była szczęśliwa, zapewnia, że nigdy o mnie nie zapomni. A ja, Elke, cieszę się z tego listu, bo potwierdził to, co czułam już wcześniej. Jest mi smutno, ale to wszystko. Jestem wolna.

Siedziały tak jeszcze chwilę w milczeniu. Valérie w bezruchu, a Elke co jakiś czas potakiwała głową, jakby swoim myśłom.

– Powinnaś odwiedzić ciocię Deborah, ciągle się zastanawia, jak potoczyła się twoja znajomość z Andrzejem.

– Pojadę do niej w przyszłym miesiącu. Bardzo ją zaniedbałam w ostatnim czasie.

Marta zeszła na dół do budki telefonicznej. Wykręciła numer Anny.

– „Rozmowa kontrolowana”.

– Halo.

– Tu Kukułowa. Czy interesuje panią w dalszym ciągu dostawa koksu?

– Tak, jak najbardziej.

– „Rozmowa kontrolowana”.

– To od jutra można go odbierać.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę. Weszła na górę. Wszyscy siedzieli przy stole. Valérie i Elke były zamyślane.

– Jutro przed południem będziecie mieli niespodziankę.

– Co takiego? – zapytała Valérie.

– Nie powiem, trzeba cierpliwie poczekać.

Przez prawie całą noc Valérie nie mogła zasnąć. Czuła, że Elke również nie śpi, bo wstawała ciągle albo się czegoś napić, albo do toalety. Nie chciała jednak rozmawiać, żeby nie przeszkadzać innym, przecież wszyscy byli bardzo zmęczeni. Myślała o liście Andrzeja. Dopiero teraz naprawdę zrozumiała, na czym opierała się ich znajomość. Każde z nich miało inne oczekiwania wobec drugiej osoby. Ona naiwnie myślała, że będą razem. Egoistycznie marzyła, że Andrzej zostawi dla niej rodzinę. On natomiast był pewnie romantykiem, ale również egoistą,

dopiero teraz zaczął myśleć o żonie. Czy Basia wiedziała o Valérie? Musiała wiedzieć, świat jest przecież mały, a Andrzej nie ukrywał swojej relacji z nią, wręcz przeciwnie. I nagle zrobiło się jej wstyd. Po raz pierwszy. Myślała nawet o tym, czy jest jakaś możliwość naprawienia krzywdy, którą wyrządziła Basi. Myślała, że tamta kobieta, której nigdy nie widziała, a do której poczuła nagle wielką empatię, jest teraz odseparowana od najbliższych, od dzieci, i skazana na łaskę tych, którzy ją trzymają w zamknięciu. Słyszała tykanie zegara, noc wydawała się nieskończenie długa. Elke w końcu zasnęła – usłyszała jej głęboki oddech. W drugim pokoju któryś z mężczyzn głośno chrapał. Valérie, mimo ogromnego zmęczenia, wciąż leżała z otwartymi oczyma, aż do świtu, gdy zobaczyła, jak na suficie odbijają się promienie wschodzącego słońca. Słyszała Martę szyczącą się w łazience, a później krzątającą w kuchni. Wstała i poszła do niej.

– Już wstałaś, Valérie?

– Nie mogłam spać. Myślałam o tych wszystkich, którzy nie śpią we własnych domach, bo albo są w więzieniach, albo gdzieś w ukryciu.

– No tak. Też często o nich myślę. W dodatku nikt nie wie, kiedy to się skończy.

– A czy wiesz coś na temat Basi?

– Niestety od jakiegoś czasu niewiele. Bardzo się o nią martwimy ze względu na jej chore serce.

Valérie pomogła Marcie przygotować dla wszystkich śniadanie; po chwili usłyszały poranną krzątalinę, ziewanie, głośne przeciąganie się, pertraktacje, kto pierwszy ma skorzystać z łazienki. W końcu zasiedli do stołu. Na ich twarzach, mimo nocnego odpoczynku, malowało się zmęczenie. Najbardziej wyczerpana wydawała się Valérie. Zapytała nawet, czy nie przeszkadzałoby nikomu, gdyby po śniadaniu położyła się jeszcze na chwilę. Właśnie dopijali herbatę i kawę, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Zanim Marta otworzyła, spojrzała przez judasza. Do mieszkania weszły dwie kobiety. Przywitały się po cichu z gospodynią, po czym przeszły do pokoju, gdzie wszyscy kończyli śniadanie.

– Oto jest moja niespodzianka: Irena i Anna – powiedziała Marta. – Kiedy się dowiedziały, że przyjedziecie, koniecznie chciały was poznać, a zwłaszcza przyszłych rodziców chrzestnych Franciszki.

Wszyscy wstali od stołu i otoczyli kręgiem przybyłe kobiety, przedstawiając się po kolei. Spotkanie Valérie z Anną było pełne emocji. Przyglądały się sobie długo, bez skrępowania, tak jak czynią to osoby, które myślały o sobie, zanim się jeszcze spotkały. Valérie wyjęła z torebki zdjęcie z polaroida przedstawiające Zosię trzymającą na rękach dwudniową Franciszkę i dała je Annie. Przez jakiś czas nikt nic nie mówił, za dużo pytań cisnęło się na usta i za dużo emocji wisiało w powietrzu. Marta wyszła do kuchni przygotować następną porcję kanapek i zaparzyć herbatę. Pomyślała, że najpierw wszyscy muszą się trochę ze sobą oswoić się, zanim zaczną rozmawiać. Miała rację. Po chwili, kiedy ponownie zasiedli przy stole, zaczęła się seria pytań: jak wygląda mała Franciszka, jak się czuje Zosia, czy Anna wie coś na temat Franka, czy Irena ma jakieś wiadomości o Jance i wiele innych. Zosia czuje się dobrze, mała Franciszka jest urocza, a Valérie i Valeriano są szczęśliwi, że będą jej rodzicami chrzestnymi. Anna wciąż nie wie, gdzie jest Franek, ale fakt, że ubecy ciągle go poszukują, w pewnym sensie ją uspokaja, bo to znaczy, że jeszcze nie udało im się go dorwać. Irena martwi się o Jankę, bo wie, że ze swoim nieposkromionym charakterem jej córka może mieć większe kłopoty niż osoba spokojna, ale mąż Janki, Georg, poruszy niebo i ziemię, żeby ją uwolnić, i jest nadzieja, że mu się uda, bo zwraca się o pomoc do wszystkich możliwych organizacji międzynarodowych i ambasady niemieckiej. Rozmowy trwały do popołudnia, po czym Anna i Irena oznajmiły, że będą się już zbierać do powrotu, bo muszą dojechać do domu przed godziną milicyjną. Przy pożegnaniu wszyscy życzyli sobie spotkania się w szczęśliwszych okolicznościach.

Kiedy w domu są małe dzieci, zwłaszcza niemowlęta wymagające stałej opieki, czas leci szybciej, bo wyznacza go stały rytm podobnych do siebie, powtarzających się czynności. Zosia, skoncentrowana na Franciszce i swoich myślach, snujących się gdzieś między Kasprowicza a Płatniczą, nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. Franciszka zaczynała raczkować i w małym mieszkaniu, nieprzystosowanym do potrzeb rodziny, wymagała dużo uwagi. Któregoś popołudnia Zosia usłyszała pukanie. Wzięła na ręce Franciszkę i otworzyła drzwi. W progu stała Janka. Elegancka, jak dawniej, tym razem w jedwabnej zielonej sukience. Włosy miała dłuższe niż ostatnio, spływające złotymi falami na ramiona. Jej twarz wydawała się jednak jakby o parę lat starsza, a zwłaszcza spojrzenie – poważne, przenikliwe, pozbawione obecnej w nim dotychczas kpiny. Stały przez chwilę naprzeciwko siebie, wzajemnie się sobie przyglądając i myśląc, że każda z nich, pod wpływem tego, co przeszły od swojego ostatniego spotkania, trochę się zmieniła. Sytuację rozładowała Franciszka, która wyciągnęła rączkę do Janki. Janka uśmiechnęła się i wzięła ją na ręce, a następnie weszła do mieszkania. Dopiero teraz uściskały się na powitanie.

– Jest urocza – powiedziała Janka. – Na dole mam samochód, proponuję, żebyśmy odwiedziły Valérie. Po drodze, czekając na jej powrót z biura, możemy porozmawiać w Jardin du Luxembourg.

– Dobrze, tylko wezmę trochę rzeczy dla Franciszki.

Zeszły na dół i wsiadły do luksusowego granatowego audi. Zosia jeszcze nie jechała tak dużym i tak komfortowym samochodem.

– Musisz koniecznie przyjechać do mnie do Bawarii na wakacje, tylko trzeba już zacząć starać się o wizę.

– Wybiore się raczej do Burgundii, do Valérie, już jej obiecałam.

– Jedno nie przeszkadza drugiemu, naprawdę bardzo bym chciała, żebyś przyjechała.

– Postaram się, ale opowiedz lepiej, Janka, o swoim internowaniu? Kiedy cię wypuścili? Nagle Janka zacięła usta i zacisnęła ręce na kierownicy, jej twarz stężała.

– Opowiem ci, ale nie teraz. Może w czasie wakacji, jak będziemy miały trochę czasu dla siebie. Było ciężko.

– A mój tata?

– Wujek Franek prawdopodobnie w dalszym ciągu się ukrywa.

– Dlaczego prawdopodobnie?!

– Bo nie siedzi, to pewne.

– To znaczy, że może nie żyje?

– Żyje, bo od czasu do czasu mamy od niego wiadomości, tylko nie możemy o tym mówić.

– A mama wie?

– Tak.

– A jak się czuje ciocia Irena?

– Bardzo się zmieniła podczas mojej nieobecności, postarzała się. Zrobię wszystko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Chciałabym, żeby przyjechała chociaż na trochę do Bawarii, odpoczęła. Mamy naprawdę dużo miejsca i w domu w Monachium, i na wsi. Zobaczysz, jak przyjedziesz. A jak z Jackiem?

– Nie wiem. Żyjemy trochę jak obcy ludzie, bo on nie znosi żadnych pytań. Dlatego nigdy nie wiem ani gdzie jest, ani kiedy wróci. Wyobraź sobie, że któregoś dnia spotkałam w Paryżu koleżankę z Płatniczej, Joannę. Bardzo fajna dziewczyna, nasi rodzice dobrze się znali, a my lubiłyśmy chodzić razem do kina i na wystawy. Teraz mieszka w Nanterre Ville, ma troje dzieci, a jej mąż, Zbyszek, który kiedyś był miłym chłopakiem, zachowuje się jak bydlę. Zdradza

ją, ale nie z jakąś kochanką, tylko chodzi na dziwki z St. Denis i wydaje na to pieniądze z ich skromnego budżetu domowego, bo jest przeważnie na zasiłkach. A mówię ci o tym tylko dlatego, że wydaje mi się, że niestety tutaj, w tym innym świecie, niektórzy, ci słabsi, bardzo się zmieniają, i Jacek również.

– Dobrze, że mi o tym wszystkim mówisz. Przyda mi się do mojej książki.

– Ojej, Janka, książki? Daj spokój. Nie będziesz przecież pisała o codziennych nieszczęściach zwykłych ludzi. Napisz o ważnych sprawach, które sama przeżyłaś.

– O ważnych sprawach napiszą inni i zobaczysz, że jeszcze zrobią na tym karierę. Ja wolę pisać o zwykłych sprawach. A skąd Joanna wie, że Zbyszek korzysta z usług na St. Denis?

– Odkryłyśmy to razem. Jacek wprawdzie nie pozwala mi jeździć do Nanterre, zwłaszcza z Franciszką, bo to obskurne miasto, a szczególnie to miejsce, gdzie mieszka Joanna. Leży w dzielnicy HLM-ów, dziesięciopiętrowych ohydnych wieżowców, brudnych, slumsowych i w dodatku ani na ulicy, ani w blokach nie ma tam białych, tylko imigranci z Afryki Północnej. Zbyszek obiecał Joannie, że zostaną w Nanterre najwyżej dwa miesiące, a mieszkają tam już dwa lata. Dzieci ich sąsiadów bawią się w śmietnikach, a w tym czasie ich matki plotkują obok, siedząc na kubłach ze śmieciami. Kiedy przyjeżdża do nich dużo gości, to część z nich kładą spać na materacach w zsykach na śmieci, brudnych i cuchnących. Sama widziałam. Dużo by o tym mówić. Komuś, kto tego nie widział, trudno w to uwierzyć. W każdym razie odkryłyśmy to w ten sposób, że przejrzałyśmy wszystkie wyciągi bankowe Zbyszka, bo Joanna nie mogła uwierzyć, że od drugiego tygodnia miesiąca nie mają za co żyć. Okazało się, że Zbyszek wyjmuje trzysta franków zawsze z tego samego bankomatu w tamtej okolicy. Suma i miejsce regularnie się powtarzały. W końcu Joanna, kiedy już otrząsnęła się z szoku, zdobyła się na odwagę i przycisnęła Zbyszka. Najpierw wpadł w furię, a później się przyznał i obiecał poprawę.

– A dlaczego wpadł w furię?

– Bo Joanna ośmieliła się grzebać w jego wyciągach bankowych.

Janka wybuchnęła śmiechem.

– Muszę koniecznie ich poznać. To doskonały materiał.

Zaparkowała samochód, po czym weszły do pięknego Jardin du Luxembourg. W parku jak zwykle było dużo ludzi. Dorośli się przechadzali, siedzieli wokół sadzawki, a dzieci biegały po całym terenie. Zosia i Janka przeszły kawałek w poszukiwaniu spokojnego miejsca. W końcu znalazły dla siebie dwa wolne krzesła, Franciszkę posadziły na kocyku na trawie i dały jej zabawki, żeby miała się czym zająć.

– Na drugi raz, jak tu przyjadę, chciałabym pojechać do tego Nanterre i poznać Joannę, a zwłaszcza jej męża.

– Daj spokój, Janka. Joannę możesz poznać, to bardzo sympatyczna dziewczyna, ale na jej męża szkoda czasu. Wobec innych zachowuje się bardzo poprawnie, niektórzy uważają go niemal za świętego. Pomaga wszystkim naokoło, jest przyjazny i wyrozumiały. Ma pełno znajomych. Ale Joanna czuje się osamotniona, bo z trojgiem dzieci trudno jej wyrwać się z domu. A z tego, co mówi, kiedy są sami, Zbyszek nie traktuje jej dobrze.

– Właśnie dlatego chciałabym ich poznać. To dosyć typowy toksyczny związek, tylko że w obcym kraju jeszcze przybiera na sile. Z jednej strony to świetny materiał do mojej książki, z drugiej – może znajdziemy jakiś sposób, żeby pomóc Joannie.

– Mówię ci, że nie zdemaskujesz Zbyszka. Zrobi na tobie dobre wrażenie.

– Niekoniecznie, poza tym jeżeli Joanna się zgodzi, możemy go nagrać, kiedy będą sami. Mam bardzo dobry sprzęt. A przy okazji chciałabym zobaczyć to Nanterre, bo trudno sobie wyobrazić, że takie miejsca istnieją tak blisko Paryża.

– W dodatku jest to miasto, w którym chyba od sześćdziesięciu lat rządzą komuniści. Są

tam też, oczywiście, przyjemne miejsca zabudowane domami jednorodzinnymi i Joanna ma znajomych, którzy mieszkają w takiej okolicy, ale dzielnica bloków sprawia koszarne wrażenie.

– No dobrze, jak przyjadę, to tam pojedziemy. Chyba pójdziemy już do Valérie, bo robi się późno. A ty, Zosiu, zacznij załatwiać wizę do Niemiec, przyślę ci zaproszenie od kogoś, kto się cieszy dobrą opinią, nie tak jak ja.

Zosia wzięła Franciszkę na rękę i ruszyły z Janką w stronę rue des Écoles. Było już późne popołudnie i coraz więcej osób zmierzało w kierunku bramy. Kiedy już miały wyjść na zaludnioną ulicę, Zosia nagle się zatrzymała.

– Janka, muszę ci coś ważnego powiedzieć.

Janka czekała w milczeniu.

– Miałaś rację, kiedy przestrzegałaś mnie przed donosicielami – kontynuowała Zosia. – Któregoś dnia, kiedy Franciszka była malutka i byłam z nią sama w domu, nagle ktoś zapukał do drzwi. Ponieważ nie mamy judasza, otworzyłam, a właściwie uchylłam, drzwi. Mężczyzna, który stał na klatce, zapytał o jakichś Polaków, którzy tu mieszkali przed nami. Odpowiedziałam, że nigdy nie mieszkali tu żadni Polacy, a kiedy stał się natarczywy, przerwałam mu uprzejmie, mówiąc, że nie mam czasu na rozmowę, bo muszę zająć się dzieckiem. Chciałam zamknąć drzwi, ale on wsadził nogę za próg i wszedł.

Janka słuchała z przerażeniem, ale nie przerywała.

– Czułam się sterroryzowana, ale starałam się tego nie okazywać. Od razu jego wzrok padł na Franciszkę, która miała wtedy trzy miesiące. Zaczął opowiadać, że też ma takie małe dziecko, tylko chłopczyka, ale jeszcze go nie widział, bo jego żona jest w Polsce. Zadawał strasznie dużo pytań: co robi mój mąż, gdzie teraz jest, kiedy wróci. Wypytywał o moją rodzinę i znajomych, czy mam z nimi kontakt. Udawał takiego przyjacielskiego rodaka na luzie. A ja z kolei starałam się udawać głupią i naiwną. Trwało to nieskończenie długo. W końcu poszedł.

– Zapamiętałaś, jak wyglądał?

– Oczywiście. I widziałam go któregoś dnia w tłumie przed kościołem polskim przy Concorde.

– No tak, tam może łatwo nawiązywać znajomości. A co na to Jacek?

– Jacek? Już parę razy był wzywany do konsulatu. Różne propozycje mu składano.

Ruszyły dalej w milczeniu.

Valérie stała w drzwiach z trójką dzieci.

– Valérie, to moja ulubiona kuzynka Janka. A to moja ulubiona przyjaciółka Valérie.

– Miło mi cię poznać, Janka. Jesteś podobna do swojej mamy. Wejdźcie, właśnie zamierzałam przygotować kolację. Lubicie makaron z sałatą?

– Wszystko lubimy – odpowiedziała Janka.

– Valérie świetnie gotuje. Zobaczysz, że to nie będzie zwykły makaron i zwykła sałata – dodała Zosia. – Mogę przygotować mleko dla Franciszki?

– Chodźmy wszystkie do kuchni, będziemy mogli jednocześnie gotować i rozmawiać – zaproponowała Valérie.

Zaczęły się krzątać w kuchni i pomagać sobie. Zapanowała pozornie wesoła atmosfera. Pozornie, bo wiedziały, że gdy tylko położą dzieci spać, będą musiały porozmawiać o ważnych sprawach. Kiedy Franciszka wypila swoją butelkę mleka i oczy zaczęły jej się zamykać, Zosia zaniósła ją do pokoju Valérie i tam utuliła do snu. Gdy mała zasnęła, wróciła do salonu, gdzie wszyscy już siedzieli przy stole. Janka i Valérie rozmawiały o podróżach z darami do Polski. Valérie przygotowywała następny transport po wakacjach. Dzieci zjadły kolację, pożegnały się i poszły do swoich pokoi.



– Masz urocze dzieci, Valérie – powiedziała Janka.  
– A ja jeszcze nigdy nie widziałam tak grzecznego dziecka jak Franciszka – zrewanżowała się Valérie.  
– To prawda, jest grzeczna i mało płacze – przyznała Zosia. – A zmieniając temat, pojedziesz do Polski z Valerianem? Gdzie on teraz jest? Dawno go nie widziałam.  
Valérie się zmieszala. Przez chwilę ważyła słowa. W końcu się przemogła.  
– Mam nadzieję, że pojedziemy razem. Wydaje mi się, że on coś bardzo przeżywa. Jakby oddalił się ode mnie, inaczej na mnie patrzy, jest mniej przyjacielski, bardziej milczący. A dwa tygodnie temu wyjechał do Hiszpanii i zamknął się tam w jakimś klasztorze, gdzie panuje obowiązek zachowania milczenia. Przed wyjazdem powiedział mi, że odczuwa potrzebę spotkania z samym sobą, musi poczuć obecność Boga.  
Na twarzy Zosi pojawił się uśmiech.  
– A może, Valérie, on cię kocha?  
– Jeśli tak jest, to chyba by mi o tym powiedział?  
– Niekoniecznie, może myśli, że w dalszym ciągu masz nadzieję, że będziesz z Andrzejem. I boi się, że go odrzucisz.  
Valérie się zamyśliła, a Zosia i Janka utkwili w niej spojrzenie. Ponieważ żadna z nich przez dłuższy czas się nie odzywała, Janka zmieniła temat.  
– Valérie, znasz Joannę i Zbyszka?  
– Tak, byliśmy u nich z Zosią parę razy. A dlaczego pytasz, chcesz ich poznać?  
– Tak, ale chciałabym wiedzieć, co o nich myślisz? Wprawdzie Zosia zdała mi relację z ich sytuacji, ale chciałabym poznać również twoje zdanie.  
– Joanna i Zbyszek to trochę jak Zosia i Jacek. Zobaczysz zresztą sama. Obaj mają ładne, miłe i zdolne żony, ale sami są niepoważni, nieodpowiedzialni i egoistyczni. Zosia robi świetne zdjęcia, lecz nic z tego nie wynika. Jacka nigdy nie ma w domu. Wyjechał gdzieś, tak naprawdę nie wiadomo dokąd, nawet w czasie, kiedy Zosia miała rodzić. Natomiast Joanna wspaniale gra na fortepianie, wiem, bo zagrała kiedyś u Elke. Tyle że w domu nie mają pianina, sama zobaczysz, co tam jest.  
Obie spojrzały na Zosię. Valérie nagle się przeraziła, że zbyt obcesowo wypowiedziała się o Jacku i mogła sprawić jej przykrość. Zosia wyglądała na zatroskaną, ale odparła:  
– Niestety to prawda. Miałam nadzieję, że zastanę u ciebie Valeriana, bo znalazłam korespondencję Jacka z Dolores i pomyślałam, że może Valeriano mógłby zobaczyć, o czym do siebie piszą. Zrobiłam ksero listów.  
– W takim razie zostaw je u mnie, żeby Jacek ich nie znalazł. Pokażę je jutro w pracy koleżance, która jest Hiszpanką.  
– Valérie, namów Zosię, żeby załatwiła wizę i przyjechała do mnie do Bawarii. Myślę, że potrzebuje odpocząć na jakiś czas od Jacka – powiedziała Janka. – Ty też przyjedź do mnie. Mamy duży dom w Bawarii.  
– Może kiedyś – odpowiedziała Valérie.  
– A wracając do Joanny, może mogłybyśmy, Zosiu, pojechać do niej jeszcze przed moim wyjazdem?  
– Chwileczkę. Valérie, mogę skorzystać z twojego telefonu?  
– Pewnie.  
Zosia usiadła w fotelu obok aparatu telefonicznego i wykręciła numer Joanny.  
– Dobry wieczór, mówi Zosia. Czy mogłabym porozmawiać z Joanną? Nie przeszkadzam?  
– Joanna? To ja, Zosia. Jak się masz? Posłuchaj, przyjechała moja kuzynka Janka. Tak,

wypuścili ją. Kilka dni zostanie tutaj. Tak, wraca do Niemiec. Pozdrowię, ale ona chciałaby cię poznać. Kiedy? Jutro? Tak, Janka kiwa głową, że może. Z rana? Dobrze. No to do jutra. Pa!

Odłożyła słuchawkę i pokręciła głową.

– Co się stało? – zapytała Valérie.

– Nie podoba mi się to, co się dzieje u niej w domu, czuję na odległość, że jest załamana.

Zosia wstała i spojrzała na zegarek.

– Musimy już jechać, zrobiło się późno.

– No to jedziemy – odparła Janka. – A ty, Valérie, koniecznie przyjedź do mnie.

Zobaczysz, jak tam ładnie, a dzieci będą miały gdzie biegać. A gdyby Valeriano miał ochotę zwiedzić Bawarię, również jest mile widziany.

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

Kiedy Zosia weszła do mieszkania, Jacka jeszcze nie było. „Tym lepiej, pomyślała, nie będzie mi robić wymówek, że ciągam gdzieś Franciszkę po nocy”. Wrócił, kiedy Zosia kładła się już spać. Po jego twarzy, pozbawionej jakiegokolwiek ekspresji, nie mogła zgadnąć ani co robił, ani czy jego dzień był udany.

– Miałaś dobry dzień?

– Męczący, a dlaczego cię to interesuje?

– Tak pytam. Widziałam się z Janką, wypuścili ją w końcu i przyjechała się ze mną spotkać.

– Wiem.

– Skąd wiesz?

– Po jej perfumach.

– Jak to?

– Poczułem je na klatce.

– Niesamowite!... Zaproponowała mi, żebym przyjechała do niej do Bawarii, tylko muszę załatwić wizę. Ma mi przysłać zaproszenie.

– A więc jedź.

– A ty, ty nie miałbyś ochoty do nich pojechać?

– A zapraszała mnie?

– Nie, ale mogę ją poprosić, żeby wysłała zaproszenie także dla ciebie.

– Nie, dziękuję.

– Nie lubisz Janki.

– Nie przepadam za nią.

– Dlaczego? Przecież jej nie znasz, nigdy tak naprawdę z nią nie rozmawiałeś.

– Jest bardzo interesującą kobietą, ale mnie przeraża.

– Czym cię przeraża?

– Nie wiem, wydaje mi się niebezpieczna.

– Niebezpieczna? To bardzo dobry człowiek i jest wobec mnie opiekuńcza, a Franciszkę prawie cały czas trzymała na kolanach.

– Jest niebezpieczna nie dla was, a dla mężczyzn.

– Wytłumacz mi to.

– Nie wiem, Zosiu, idź spać, jest już późno.

Następnego dnia padał deszcz, wiosenny paryski deszcz, kiedy niebo jest całkiem szare i nagle robi się przeraźliwie wilgotno i smutno. Jacek ociągał się z wyjściem do pracy. Miał jakieś mieszkanie do pomalowania w 8. dzielnicy i zapowiedział, że wróci późno, bo zaczął też dodatkowo uczyć francuskiego Polaków, których pojawiło się teraz bardzo dużo w Paryżu. Kiedy już wychodził, do drzwi zapukała Janka. Był zaskoczony jej wizytą i nie wiedząc dlaczego,

poczuł się zmieszany. Prawie bez słowa szybko zbiegł po schodach. Janka wzruszyła ramionami i weszła do mieszkania. Stwierdziła, że jest tam bardzo wilgotno. Wzięła Franciszkę na rękę. Przyniosła jej w prezencie małego różowego misia, który nazywał się Bizunursek. Zosia przygotowała torbę z rzeczami dla dziecka na cały dzień i zeszły na dół. Dojechały do Rueil-Malmaison, gdzie zostawiły samochód, przesiadły się do RER-u i pociągiem dotarły do stacji Nanterre Ville. Tego dnia Janka nie wyglądała elegancko, miała na sobie stare spodnie, kurtkę wojskową, która już niejedno przeżyła, i plecak. Świetnie rozumiała, że tam, dokąd jadą, nie należy sugerować swoim wyglądem, że jest się bogatym. Po lewej stronie torów kolejowych miasto wydawało się dosyć ładne, pełne sklepów, kamienic i domków jednorodzinnych; tylko że one miały skrócić w prawo. Najpierw jednak skierowały kroki do lepszej dzielnicy, bo Janka chciała kupić jakieś prezenty dla dzieci Joanny. Niedaleko stacji był sklep z zabawkami. Zosia pomogła kuzynce wybrać zabawki stosowne do wieku dzieci.

– Ucieszą się, Janka, bo nie mają dużo zabawek. Nie możemy tam jednak pójść na cały dzień bez żadnego prowiantu, bo Joanna na pewno poczęstuje nas jakimś posiłkiem i później sami nie będą mieli co jeść. Lepiej zrobmy jakieś małe zakupy spożywcze. Nie będziemy się czuć skrępowane, że ich objadamy.

Przeszły kawałek w głąb miasteczka i po chwili wyłoniły się ze sklepu obładowane siatkami. Teraz pomaszerowały na drugą stronę szyn kolejowych. Na ulicy prawie nie widziało się Francuzów. Kobiety arabskie miały na sobie długie tuniki i chusty na głowach, tak jak w Afryce Północnej. Mężczyźni przechadzali się powoli, co chwila przystając na męskie pogawędki. Na rogu ulicy mieścił się sklep rzeźniczy, a w jego witrynie wisiał w charakterze reklamy wielki baran obdarty ze skóry. Zosia z obrzydzeniem odwróciła głowę. Jedyńm językiem, jaki słyszały, był arabski. Przeszły obok niewielkiego ciągu sklepów, między innymi apteki, i dotarły do dzielnicy bloków, dziesięciopiętrowych HLM-ów na rue Maurice Thorez. Przed budynkiem, w którym mieszkała Joanna, stali młodzi mężczyźni i gapili się na nie nieruchomym wzrokiem. Weszły do klatki schodowej, dużej i brzydkiej. Janka przebiegła wzrokiem listę lokatorów. Znalazła tam trzy nazwiska francuskie, dwa polskie, jedno włoskie i jedno portugalskie. Reszta należała do przybyszów z Afryki Północnej. Weszły do drugiej części klatki schodowej, żeby wsiąść do windy. Podłoga z beżowego linoleum była podziurawiona papierosami. Kiedy w końcu ogromnych rozmiarów winda zjechała na dół, zobaczyły, że jest tak brudna i cuchnąca, iż zrezygnowane postanowiły wejść na górę po schodach. Na klatce nie było jednak światła. Zosia wyjęła z torby latarkę. Janka wybuchnęła śmiechem.

– Widzę, że jak tu przyjeżdżasz, jesteś przygotowana na wszystko.

Betonowych schodów i ścian prawdopodobnie od lat nie malowano, były po prostu czarne, a zaduch i smród nie mniejsze niż w windzie; gdzieś walały się też śmieci, resztki jedzenia, obgryzione kości. W końcu dotarły na trzecie piętro. Klatka miała kształt litery U; obok szczytowych mieszkań znajdowały się duże pomieszczenia z zypami na śmieci, w takim samym stanie jak reszta. W jednym z nich ktoś przechowywał materace do spania, prawdopodobnie dla gości. Koło zsypu przy otwartych drzwiach mieszkania siedziała na stołeczku kobieta i mieszła coś w wielkim kotle stojącym na kuchence gazowej. Dochodził stamtąd intensywny zapach baraniny. Janka oglądała wszystko z wielkim zainteresowaniem, żałując, że nie może tego sfilmować. Patrzyła uważnie, ale jakby z obojętnością, spod opuszczonych powiek, udając, że wcale jej to nie interesuje, aby nie zwrócić na siebie uwagi mieszkańców. Obiecała sobie, że przyjedzie tutaj w męskim towarzystwie, z ukrytą kamerą.

W drzwiach naprzeciwko windy stała Joanna. Janka pomyślała, że można by ją uznać za ładną, a nawet bardzo ładną, gdyby nie była tak bardzo zmęczona, niewyspana, zmartwiona,

biednie ubrana, nieuczesa. Była drobna, delikatna, miała jasne włosy, może trochę za długie, i duże zielone oczy pozbawione blasku.

– Widziałam was przez okno.

Zosia przedstawiła sobie kobiety.

– To jest Janka, moja kuzynka, a to Joanna, moja najlepsza koleżanka z Płatniczej.

– Bardzo mi miło. Wejdźcie. Zaraz zrobię herbatę.

– Joasiu, przyniosłyśmy trochę jedzenia, bo zamierzamy spędzić u ciebie cały dzień, więc w południe razem coś upichcimy. Myślę, że jest sporo rzeczy do omówienia. Czy Zbyszek jest w domu? – zapytała Zosia.

– Nie, ale zaraz wróci, wyszedł tylko do apteki, bo Jaś jest chory. Ale ma jakieś spotkanie w sprawie pracy i bardzo się śpieszy, więc pewnie pobędzie tylko chwilę.

Zosia posadziła Franciszkę na podłodze i zabrała się do wypakowywania zakupów. Janka poszła za Joanną do pokoju obok kuchni. Mieszkanie było niewielkie jak na pięcioosobową rodzinę, bo zaledwie dwupokojowe, na dodatek pokoje oddzielały od siebie aż trzy przedpokoje. Janka zastanawiała się, co za kretyn wymyślił taki rozkład. Prawie nie było tam mebli. Ubrania trzymali w kartonach, a spali na materacach położonych bezpośrednio na podłodze. Spod starej wykładziny miejscami prześwitywał beton. Jedynymi meblami były trzy łóżeczka dziecięce stojące jedno obok drugiego w pokoju przy łazience. Janka zauważyła jednak, że mimo biedy było tu bardzo czysto i nie wiedzieć czemu przytulnie. Może dlatego, że na ścianach wisiały w czarnych wąskich ramkach przyciągające wzrok czarno-białe zdjęcia dzieci prawdopodobnie, sądząc po stylu, wykonane przez Zosię, a w oknach wisiały ładne lniane zasłony. Weszły do pokoju dziecięcego. Joanna przedstawiła Jance dzieci.

– Najstarszy jest Staś, ma cztery lata. To jest Paulina, ma prawie dwa lata. A najmłodszy Jaś ma rok.

– Masz piękne dzieci, Joanno, i chyba są bardzo grzeczne.

– Dziękuję. Są dla mnie wszystkim.

– Nie możesz tak mówić. Podobno masz talent. Valérie mówiła, że nie zna nikogo, kto tak dobrze gra na fortepianie jak ty.

Joanna się zaśmiała. Podeszła do łóżeczka Jasia. Chłopiec przysypiał, miał rozpaloną buzię. W tym samym czasie usłyszały głos Zbyszka i dźwięk kluczy rzuconych na stół w kuchni. Joanna wyszła z pokoju, wzięła od niego torbę z lekarstwami. Zbyszek zamienił parę słów z Zosią i wszedł do pokoju do dzieci. Przywitał się z Janką. Był bardzo sympatyczny i sprawiał wrażenie osoby, do której można mieć zaufanie i na którą można liczyć. Pogłaskał dzieci po główkach i ze zmarszczonym czołem i zatroskanym wzrokiem położył rękę na rozpalonym policzku Jasia.

– Joasiu, daj mu od razu lekarstwa. Jeśli będzie trzeba, pójdź jeszcze raz do lekarza. Wrócę późno, bo mam parę spotkań w Paryżu, a wieczorem w Instytucie Polskim jest koncert połączony z konferencją. Pożegnał się miło ze wszystkimi i wyszedł.

Janka poszła do łazienki umyć ręce. Przyniosła swój plecak do pokoju dziecięcego. Usiadła na małym taborecie i wyjęła kupione dla dzieci zabawki. Staś dostał duży wóz strażacki i był zachwycony prezentem. Przykucnął na podłodze obok Janki i zaczął pokazywać jej konstrukcję samochodu. Paulina dostała szmacianą lalkę z długimi warkoczami i oczami, w których odbijały się wszystkie kolory tęczy. Lala była ubrana w czerwoną sukienkę w białe groszki. Dziewczynka od razu nazwała ją Zosia.

– Masz piękne imię, Paulinko. Po kim je dostałaś?

– Mama. – Dziewczynka wskazała palcem Joannę, prosząc ją o wyjaśnienie.

– Tak, Paulinka wie, dlaczego dostała takie imię, ale na razie to dla niej zbyt

skomplikowane do opowiedzenia. Kiedy się miała urodzić, byliśmy już z małym Stasiem praktycznie bez dachu nad głową, bo rodzina Zbyszka chciała się nas pozbyć z domu. Wtedy ktoś poradził Zbyszkowi, żebyśmy poszli do Biura Pomocy Polakom, a tam pani Plater udzieli nam ważnych informacji na temat naszych praw, pomocy lekarskiej, a także powie, do kogo powinniśmy się zwrócić, żeby znaleźć mieszkanie. Przyjęła nas urocza staruszka, prawdziwa dama, człowiek niezwyklej dobroci, wielkiego serca i wielkiej mądrości. Była oburzona zachowaniem rodziny Zbyszka. Udzieliła nam wszelkich niezbędnych informacji, a przede wszystkim dodała mi odwagi i mnie pocieszyła. Ma na imię Paulina, dlatego nazwałam moją córeczkę na jej cześć.

Janka przytuliła małą Paulinkę, po czym wstała i wyjęła Jasia z łóżeczka. Wyniosła go do drugiego pokoju i położyła na materacu. Dzieci przybiegły za nią. Janka poprosiła Stasia, żeby przyciągnął jej plecak.

– Jestem lekarzem i zbadam teraz waszego małego braciszka. Zobaczymy, co mu dolega.

Joanna obserwowała, jak Janka delikatnie rozbiera małego, jak go osłuchuje, zagląda mu do gardła, do uszu, jak sprawdza stawy, odruchy. Jednym słowem przeprowadza dokładne badanie. Była przy tym czuła i delikatna.

– Nie jestem pediatrą, ale z całą pewnością maluch ma zapalenie oskrzeli. Dlatego tak ciężko oddycha. A co powiedział lekarz?

– Że to chyba zapalenie uszu.

– A ty, Joasiu, co o tym sądzisz?

– Myślę, że gdyby to były uszy, to by strasznie płakał.

– No właśnie i to ty masz rację, a nie ten lekarz od siedmiu boleści. Pokaż mi lekarstwa, które przyniósł Zbyszek. I jeżeli możesz, to pokaż wszystkie lekarstwa, jakie macie w domu.

Joanna wyjęła ze schowka karton z lekami. Janka przejrzała wszystkie i odłożyła kilka opakowań na bok.

– Z tych leków, które kupił Zbyszek, możesz mu dać tylko jedno, pozostałe są na coś innego. Oprócz tego dasz mu to i to. Zapiszę ci na opakowaniu ile razy dziennie i przez ile dni. Przynieś łyżeczkę, to od razu mu to damy.

– Czy mam mu robić chłodne kąpiele na obniżenie temperatury?

– Absolutnie nie, bo możesz przeziębic go jeszcze bardziej. Nie ma za wysokiej gorączki, ta, którą ma, pomoże mu zwalczyć mikroby. Tutaj jest mój numer telefonu, będę tu jeszcze dwa dni. Gdyby się pogorszyło, zadzwoń do mnie nawet w nocy. Przyjadę natychmiast. Ale nie martw się, będzie coraz lepiej, to nie jest jakieś straszne zapalenie. Będę go obserwować do wieczora.

Do pokoju weszła Zosia. Zobaczyła, że dzieci Joanny przytulają się do Janki.

– Wszystkie dzieci cię lubią, Janka. Powinnaś zrobić specjalizację z pediatrii.

– Zastanawiałam się nad tym. Dzieci to moi ulubieni pacjenci. Myślałam o chirurgii dziecięcej.

– A co z pisaniem?

– Ciągle piszę.

– Piszesz książki? – zapytała Joanna.

– Tak i dlatego między innymi tu jestem.

– To znaczy?

– Już przygotowałam obiad dla dzieci, my zjemy później. Zajmę się nimi, a wy sobie spokojnie porozmawiajcie – wtrąciła Zosia i zabrała dzieci do kuchni.

– Zosia opowiadała mi o tobie i twojej sytuacji. Pomogę ci, ale najpierw muszę dokładnie wiedzieć, o co tu chodzi, bo trudno uwierzyć w tę całą historię, jak się widzi takiego

sympatycznego faceta jak Zbyszek. A poza tym muszę wiedzieć, czego ty właściwie chcesz.

– Wiem, że to wygląda nieprawdopodobnie, bo mnie samej trudno w to uwierzyć.

Przedwczoraj oświadczył mi, że musimy się rozstać, że nie wyobraża sobie dalszego życia ze mną, bo są inne kobiety, które okazują mu więcej zainteresowania niż ja.

– Joanno, mogę przeprowadzić śledztwo na własną rękę, ale co będzie, jeżeli okaże się, że prawda jest bolesna? Jesteś na to gotowa? Na najgorszą prawdę? Wiedz, że w razie czego ci pomogę. Mam w Paryżu duże możliwości. Mogę znaleźć ci inne mieszkanie, pracę, adwokata. Mogę sfinansować pewne sprawy.

– Dlaczego? Dlaczego chcesz to zrobić?

– Bo jestem altruistką, egoistką, filantropką.

– ...

– Mówię poważnie, Joanno. Altruizm jest najwyższą, najszlachetniejszą formą egoizmu. Sprawia mi wielką przyjemność. Mam jednak również inny cel. Napiszę o tobie, o twojej historii. Nie bój się. Pozmieniam imiona, niektóre wydarzenia. Zgadzasz się? Masz do mnie zaufanie?

– W sytuacji, w której teraz jestem, zależy mi tylko na dzieciach. Pisz, co chcesz, a za pomoc będę ci wdzięczna, mając nadzieję, że któregoś dnia będę ci się mogła odplącić.

– Dobrze, więc do roboty, czas nagli. Już wiem, jak mi się odplącisz. Przyjedziesz do mnie z dziećmi do Bawarii i codziennie wieczorami będziesz grała na fortepianie. Jesteś pewna, że Zbyszek nie wparuje tu nagle?

– Nie, jego przeważnie nigdy nie ma w domu, a często wraca nad ranem. Ale co zrobimy?

– Zostawię ci magnetofon, ulokujemy go gdzieś, gdzie nie ma zwyczaju zaglądać.

– Chyba nie grzebie mi w torebce.

– Bardzo dobrze. Kiedy zaczniesz się na ciebie wydzierać, naciśniesz ten guzik.

Chciałabym się dowiedzieć, jak to wygląda. Tylko go specjalnie nie prowokuj, szkoda twojego zdrowia.

– Co jeszcze?

– Chciałabym przejrzeć wasze rachunki, dochody, zasiłki i jego kalendarzyk ewentualnie kieszenie kurtki.

Joanna wróciła za chwilę z dużym segregatorem, kalendarzykiem Zbyszka i tym, co znalazła w jego kieszeniach. Janka zabrała się do pracy. Notowała w zeszycie wszystko, co znalazła, liczyła. Przerwała tylko na chwilę, żeby zjeść obiad, ale nawet podczas posiłku nie uczestniczyła w rozmowie, zajęta własnymi myślami. Zaraz potem zostawiła Zosię i Joannę, które zajmowały się dziećmi i porządkiem kuchni, i wróciła do przeglądania papierów. Ważnych informacji i tych zupełnie banalnych. Wygrzebała z kubła na śmieci podarte na strzępy papiery i odtworzyła z nich trzy listy. Po południu poskładała wszystko, oddała Joannie dokumenty i poprosiła o herbatę. Zamyślona popijała ją w milczeniu, zagryzając herbatnikiem. Później wstała i jeszcze na chwilę wróciła do swoich notatek, po czym poprosiła Joannę na rozmowę. Zamknęły się w pokoju, a Zosia zabrała dzieci do pokoju dziecięcego oddzielonego trzema przedpokojami.

Janka z Joanną zasiadły na materacach. Janka ze swoimi notatkami.

– Nie wiem, od czego zacząć, ale ponieważ jesteś przygotowana na wszystko, to może od tego, że wcale nie musisz z nim być, jeżeli nie chcesz. Finansowo dasz sobie radę. Wasze zasiłki wystarczą ci na życie. To on wydaje wasze pieniądze na siebie. Miesięcznie to jest połowa waszych dochodów, a zarabia tyle, co kot napłakał. Czy jesteście zapożyczeni?

– Tak, u jego siostry.

– Dużo?

– Tak, ale nie wiem dokładnie na ile.

– To nie twoja sprawa, to on jest w to zaangażowany. Zobacz, tu są wasze dochody, przeważnie z zasiłków rodzinnych na dzieci, bo jesteście rodziną wielodzietną. A to wasze wydatki, rachunki i tak dalej. Tyle powinno zostać na życie, na jedzenie, ubrania dla dzieci i inne potrzeby. Jeśli się odejmie jego osobiste wydatki, które obliczyłam na podstawie tego, co wyjmuje z bankomatu ciągle w tym samym miejscu, zostaje wam tyle. Podobno się przyznał do wybierania pieniędzy?

– Tak, przyznał się, ale w dalszym ciągu pieniądze znikają, bo sprawdziłam w banku.

– To dobrze, że sprawdziłaś, ale moim zdaniem on nikogo nie ma. Problem jest inny. Gdyby kogoś miał, to nie wydawałby tyle pieniędzy na prostytutkę. Znalazłam coś jeszcze. Zamieszcza w gazetach ogłoszenia matrymonialne. Zobacz: „Samotny mężczyzna... wiek... pozna kobietę...”. On jest kopnięty.

– Może, ale to wszystko to jakieś szaleństwo. Jesteś pewna? Nie mylisz się?

– Niestety nie.

Joanna zaczęła płakać. Janka poszła po Zosię.

– Zajmij się teraz Joanną, myślę, że zrobisz to lepiej niż ja. Przekonaj ją, że jej pomogę, niech mi zaufa.

Teraz Janka została z dziećmi. Włączyła się do ich zabawy. Później wzięła małego Jasia na rękę, zmierzyła mu gorączkę i dała następną dawkę lekarstwa. Trochę płakał, więc utuliła go i się uspokoił. W towarzystwie dzieci czuła się najlepiej, a i one lgnęły do niej. Była jedynaczką, a dzieciństwo trwało krótko, tylko do śmierci ojca, nie miała więc w życiu okazji do zabawy z dziećmi. Do pokoju weszły Zosia z Joanną. Joanna miała czerwone oczy, ale wyraz twarzy zdeterminowany.

– Zgadzam się, Janka, na twoją pomoc.

– Muszę się teraz zastanowić, od czego zacząć. Czy myślisz, że dobrze by było, żebym porozmawiała ze Zbyszkim? Starła się przemówić mu do rozsądku?

– Nie wiem. Chcę przemyśleć to wszystko jeszcze raz.

– Na razie nic nie rób. Przemyśl sprawę. Wyśpij się. Dzwon, gdyby coś się działo. Ja też będę się zastanawiać. Jesteśmy w kontakcie.

Pożegnały się i Janka z Zosią wyszły. Zostawiły Joannę samą z jej problemami. Droga powrotna wyjątkowo im się dłużyła. Zdawało im się, że idą kilka kilometrów do stacji, i kiedy w końcu wsiadły w Rueil Malmaison do samochodu Janki, odniosły wrażenie, że znalazły się w lepszym świecie. Nie miały ochoty na rozmowę, czuły się przytłoczone problemami Joanny, które zdawały się nie do rozwiązania. Bo czy w ogóle istnieje pozytywne rozwiązanie takiej sprawy? Janka odwiozła Zosię do domu, pomogła jej wnieść na górę śpiącą Franciszkę i wróciła na noc do przyjaciół. Zjadła z nimi kolację, po czym wyszła na spacer. Była już prawie noc, ale ona nie mogła znaleźć spokoju. Życie Joanny zbulwersowało ją kompletnie. Otoczenie, w którym ta kobieta żyła, blok przypominający slums, jej mąż, który zdawał się dobrym człowiekiem i pewnie taki był, tyle że dla innych, nie dla najbliższych, najbardziej go potrzebujących. Cały ten zgniły świat. Jej dzieci, tak samo jak Joanna, niepasujące do tamtego miejsca ani do życia, na które były skazane. Czy wyrwijąc ją stamtąd, naprawdę jej pomoże? Czy istnieje jakaś szansa, żeby Zbyszek się zmienił, poczuł się odpowiedzialny? Czy należy poczekać? Jakim kosztem? Ile jeszcze może znieść Joanna i jej dzieci? Janka, zawsze silna, nagle poczuła się bezradna. Czy jest ktoś, kto mógłby jej poradzić? Pomyślała o mamie. Na pewno mogłyby razem przedyskutować sytuację Joanny, ale „rozmowy kontrolowane” nie pozwolą im na szczerą rozmowę. Valérie? Pewnie tak, ale ona czasami nie może zrozumieć szalonej natury Polaków. Wydaje się jej, że są romantyczni, rycerscy. Czy Zbyszek ma te cechy? Z pozoru może się wydawać, że tak, ale tak naprawdę jest dziecinny. Piotruś Pan. Tak, to właśnie jest syndrom Piotrusia Pana. Co musi się

wydarzyć, żeby Piotruś Pan zechciał dorosnąć?

Janka szła wzdłuż Sekwany; nie zwracała uwagi na przechodniów ani na to, że zaczął siąpić deszcz. Czyżby zanosilo się na mgłę? Patrzyła na odbijające się w wodzie światła i nagle zdała sobie sprawę, że nie pamięta ani ulic, którymi szła, ani niczego po drodze. Weszła do budki telefonicznej i wykręciła numer swojego domu w Monachium. Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszała:

– Halo.

– Georg, tu Janka. Obudziłam cię, przepraszam.

– Gdzie jesteś, czy coś się stało?

– Nie. Jestem na spacerze.

– Janka, uważaj na siebie, sama o tej porze na ulicy w Paryżu.

– Nie martw się, Georg. Jak praca?

– Wczoraj wróciłem. Teraz mam dużo pracy w domu. Wracasz pojutrze?

– Nie wiem, Georg, tak planowałam. Opowiem ci wszystko, jak wrócę. Czy myślisz, że trzydziestoletni mężczyzna, który wciąż nie dojrzał, może jeszcze stać się dorosły?

– Nie wiem, Janka, nigdy o tym nie myślałem. Pewnie tak, ale chyba nie w wyniku swoich przemyśleń czy dobrych rad od przyjaciół. Musi dostać porządnego kopniaka od życia. A o kogo chodzi?

– O męża koleżanki Zosi. Opowiem ci wszystko. Chciałam tylko usłyszeć twój głos i poczuć, że nie jestem sama.

– Nie jesteś sama, samarytanko. Dlaczego się śmiejesz?

– Bo widzę stąd duży budynek, który nazywa się Samaritaine.

– Janka, obiecaj, że zaraz wrócisz tam, gdzie powinnaś być o tej porze, i położysz się spać, a gwarantuję ci, że jak się wyśpisz, znajdziesz rozwiązanie problemu. I czekam na ciebie.

– Pewnie tak. Czekaj na mnie. Myśl o mnie i kochaj mnie.

– Tak, Janka. Wiesz dobrze, że tak jest.

Janka odłożyła słuchawkę. Odetchnęła głęboko. Wyszła z budki, zamiast jednak wrócić od razu do domu przyjaciół, kontynuowała spacer w stronę Place de la Concorde. Była tutaj, w centrum Paryża, ale jej myśli krążyły gdzieś po Polsce. Nie potrafiła pozbyć się dojmującego uczucia cierpienia, które nieustannie jej towarzyszyło. Wspomnienia z Białoleki, uczucia zimna i strachu, jakie wtedy odczuwała, były wciąż żywe. Najgorszy ze wszystkiego był jednak wtedy niepokój o mamę. Wyobrażała sobie, jak się o nią martwi, jak stoi samotna przy oknie, nie mogąc zaznać spokoju. Martwiła się o jej bezsenne noce. Byłoby łatwiej, gdyby babcia żyła, za wcześnie umarła, nie była jeszcze stara. Gdyby żył ojciec... Martwiła się o wujka Franka i ciotkę Annę, która teraz zamartwiała się o niego. Wszyscy martwili się o wszystkich. Czy ludzie tutaj są w ogóle zdolni do tego, żeby zrozumieć takie uczucia? Czy kiedykolwiek potrafi nie myśleć o tym wszystkim chociaż przez jeden dzień? Przeszła przez Pont Neuf. Stanęła na placu przed katedrą Notre Dame. Była sama. Zapatrzyła się w ciemną fasadę budowli, która w nocy wyglądała jeszcze bardziej imponująco niż w ciągu dnia, ale też ponuro i tajemniczo. Janka stała tam zamyślona, samotna, zamknięta w sobie samej. Chciała upaść na kolana i błagać o litość dla najbliższych, dla kraju, do którego nie miała już prawa wstępu. Czuła niedający się opisać, niepodobny do żadnego innego ból tęsknoty. Przeżywała własne uczucia, jak również kogoś, kto wiele lat temu stał dokładnie o tej samej porze, w tym samym miejscu i również płakał, błagając o litość dla kraju droższego mu nad życie, do którego nie miał powrotu. Ocknęła się i przemarznięta wróciła do świata, na nowo usłyszała dźwięki dochodzące z ulicy. Nie wiedziała, jak długo tak stała. Ponownie przeszła przez most i szła brzegiem Sekwany. Doszła do Place de l'Alma. Postąpiła pod pomnikiem Mickiewicza, a następnie powędrowała w kierunku spokojnej



i ekskluzywnej Avenue Montaigne. Tam udało jej się znaleźć taksówkę i postanowiła wrócić do przyjaciół. Była późna noc, a jej w dalszym ciągu nie przychodziło do głowy żadne rozsądne rozwiązanie. Wyczerpana, zgnębiona myślami rzuciła się w wilgotnym ubraniu na łóżko i dręczona koszmarnymi snami dotrwała do rana. Kiedy wstała, żeby wziąć prysznic, w domu nie było już nikogo. Żadne dobre rozwiązanie, obiecane przez Georga, nie przyszło jej do głowy. Zjadła śniadanie i wyszła z domu. Od kogo zacząć? Z kim ma się pożegnać najpierw? W końcu złapała taksówkę i pojechała do Nanterre. Nie miała siły jechać samochodem ani tym bardziej RER-em. Schody i winda były w tym samym stanie co poprzedniego dnia. Dlaczego miałyby się coś zmienić? Joanna też wyglądała na tak samo zmęczoną jak wczoraj.

– Przyszłam bez uprzedzenia.

– Nie szkodzi, wejdz.

– Jak się czuje Jaś?

– Lepiej. Sama zobacz. Dzwoniłam wczoraj wieczorem do twoich znajomych, bo chciałam jeszcze z tobą porozmawiać, ale powiedzieli, że wyszłaś.

– Tak. Poszłam przemyśleć sprawę.

– I co?

– Nic nie wymyśliłam. Nie wiem, co trzeba zrobić. Macie troje dzieci. Zbyszek jest niedojrzały, tak samo jak Jacek. Nie wiem, czy się opamięta. Chyba ty sama musisz zdecydować, czego chcesz. Pamiętaj jednak, że mogę ci pomóc, tak jak zaproponowałam. Będziemy w kontakcie. Zadzwońię do ciebie od czasu do czasu. Ty też możesz. Tu jest mój numer telefonu, nie zawsze jesteśmy w domu, ale możesz zostawić wiadomość, a ja na pewno odzwonię. Georg mówi po polsku. Masz tu trochę pieniędzy, mogą ci się przydać.

– Nie, Janka, nie chcę od ciebie pieniędzy, a zwłaszcza takiej sumy.

– Joanno, myśl o dzieciach.

– Dziękuję, oddam ci, kiedy będę mogła.

– Dobrze, ale nie musisz, mnie niczego nie brakuje. Niczego, oprócz spokoju ducha.

– Tak, to taka nasza polska cecha.

Paulinka wdrapała się na kolana Janki. Trzymała w ramionach swoją nową lalkę Zosię. Janka pomyślała, że są takie lalki, których się nigdy nie zapomina. Dobrze się czuła z Joanną i jej dziećmi w tym ubogim mieszkaniu, w którym nie było nawet gdzie wygodnie usiąść. Mimo całego nieszczęścia i miejsca, do którego nie pasowali, od Joanny emanował spokój, który na poranioną duszę Janki był jak balsam. Bawiła się tu z dziećmi; one polubiły ją od razu, a ona wiedziała, że będzie o nich ciągle myśleć, kiedy stąd wyjedzie. O nich i o małej Franciszce.

– Joanno, nie boisz się mieszkać tutaj?

– Nie lubię tego miejsca, tego brudu i tutejszych zwyczajów, ale się nie boję. Arabowie szanują rodzinę. Znają mnie z widzenia. Mieszkamy obok siebie, więc dla nich jestem swoja. A oni swoich nie ruszają. Mają takie zwyczaje, jakie mają, ale tego, co nam przeszkadza, nie robią złośliwie. I to nie jest do końca ich wina, że tu są. Byli przecież kolonią. Ich obecność tutaj jest konsekwencją pewnych wydarzeń. Starsze pokolenie to często bardzo porządni ludzie. Z młodymi nie wiem, jak będzie. Pewnie nic dobrego z nich nie wyrośnie. To jest problem ich i Francuzów. Nie wiem, czy do rozwiązania.

– Masz tu jakichś przyjaciół? Kogoś, z kim możesz porozmawiać? Na kogo możesz liczyć?

– Mam Zosię i od jakiegoś czasu Valérie. A w Nanterre za torami, w tej lepszej dzielnicy mieszka Marie-Chantale. Poznam cię z nią, jak przyjedziesz następnym razem. Jest Francuzką z tradycyjnej wielodzietnej rodziny, jej mąż też. Mają dwie małe córeczki, ale pewnie będą mieli więcej dzieci. Są dla nas bardzo serdeczni i ciągle nas zapraszają. I nie liczą na rewizytę.

A Marie-Chantale wiele razy wpadała do nas na chwilę, więc dobrze wiedzą, jak żyjemy. Mam wrażenie, że są bezinteresowni.

– Trzymaj więc z nimi. Niektóre przyjaźnie są na całe życie.

– Tak, oczywiście. Może na zewnątrz wygląda to na przyjaźń, ale brakuje w tym wszystkim głębi. Oni są inni. Nie wiedzą, gdzie dokładnie leży Polska. Wydaje się im, że gdzieś na wschodzie, bardzo daleko. Chyba w okolicy Rumunii albo i dalej. Dziwią się, że mamy góry i morze. Kiedyś zaprosiłam ich na kolację i podałam polskie dania. Widziałam ich zdumienie, i nie było to miłe. Nawet herbata wydaje im się dziwna, bo zbyt mocna, i boją się, że nie będą mogli zasnąć w nocy. Bez problemu natomiast piją wieczorem kawę. To takie detale, może bez znaczenia. To, co mnie najbardziej dziwi, to ich ignorancja, bo zawsze wydawało mi się, że gdy interesuje cię jakiś człowiek, to jego kraj również. Okazuje się, że nie do końca. Teraz jest moda na Polaków, w dobrym tonie jest ich mieć w swoim kręgu towarzyskim. Taki rodzaj snobizmu.

– Nie wszyscy są tacy.

– Oczywiście, że nie. Są Francuzi związani ze starą wojenną emigracją, są tacy, którzy zakochali się w kimś z Polski, a także kręgi intelektualistów. I oni dużo wiedzą o naszym kraju. Są nim naprawdę zainteresowani, a przeciętni przedstawiciele burżuazji to często *paraître et non être*. Wszystko na pokaz. Może z czasem ich zrozumie.

– To dla mnie bardzo ciekawy temat. Może następnym razem więcej mi o nich opowiesz albo mi ich przedstawisz?

– Nie ma sprawy. To jednak bardzo dobrzy ludzie. Pomagają innym, gdy tylko mogą. Tylko mają „tutejsze” cechy. Rodzaj zamknięcia, ksenofobii.

– Będę do ciebie dzwonić. Teraz pojedę pożegnać się z Zosią, a później z Valérie.

Lato nadeszło bardzo szybko. Tutaj pory roku nie były tak wyraziste jak w Polsce. Granice między nimi jakby się zamazywały. Któregoś dnia po prostu było lato. Pojawiało się bez szczególnej zapowiedzi. Zosia miała już wizę do Niemiec. Janka usilnie nalegała, żeby ją odwiedziła, więc Zosia zamierzała pojechać do niej na początku jesieni. Teraz szykowała się do wyjazdu do Burgundii do Valérie. Joanna z dziećmi również została zaproszona i Zbyszek obiecał, że ich tam zawiezie. To przedziwne, ale gdy zobaczył, że Joanna cieszy się przyjaźnią innych ludzi, że nie jest sama, bo odwiedzają ją przyjaciółki, że Janka często dzwoni do niej z Niemiec i nalega, żeby ją odwiedziła, a teraz dostała od Valérie zaproszenie na wakacje do starego majątku w Burgundii, zaczął na nią inaczej patrzeć i ją szanować. Szybko znalazł pracę i więcej czasu spędzał z rodziną. Czy była to definitywna zmiana? To bez znaczenia. Tak mało rzeczy w życiu jest stałych, pewnych czy zakończonych.

Zosia postanowiła zabrać się razem z Valérie. Jechały obładowanym samochodem, podziwiając winnice. Pojawienie się tylu dzieci ożywiło monotonne życie w domostwie babci, a Maria – mimo że miała teraz więcej pracy – cieszyła się, że mogła popisać się swoimi wypiekami i za każdym razem, kiedy wchodziła z tacą, witały ją entuzjastyczne okrzyki.

Dni spędzały na spacerach po pokrytych winnicami pagórkach i okolicznych wioskach, na odpoczynku w ogrodzie oraz długich dyskusjach z babcią i tutejszymi ciotkami. Edward, korzystając z okazji, że ma towarzystwo, bo w ciągu roku często się nudził, nie odstępował ich na krok. Zosi zdawało się, że dzięki obecności dzieci w tym ponurym domu zapanowała pogodniejsza atmosfera. Mimo to nigdy nie wchodziła do pokoju Valérie. Teraz spała razem z Franciszką w dużym pokoju na parterze, z którego bezpośrednio mogła wyjść do ogrodu. Przesiadywały tam do wieczora. Franciszka zasypiała również po południu, a Zosia wylegiwała się w tym czasie na hamaku. Tak właśnie wyobrażała sobie sielankowe życie na wsi. Joanna wolała w tym czasie przechadzać się po ścieżkach między winnicami w towarzystwie Valérie i Edwarda. Wieczory, kiedy po kolacji dzieci szły spać, dorośli spędzali razem w salonie lub na

tarasie. Czasami przychodziła do nich babcia Valérie i przysłuchiwała się rozmowom albo opowiadała jakieś historie ze swojej młodości. Wszyscy wiedzieli, że zabiorą z pobytu w tym miejscu wspomnienia. Wakacje zbliżały się do końca. Najpierw po swoją rodzinę przyjechał Zbyszek, a następnego dnia Valérie zdecydowała, że również wrócić wcześniej, niż było to przewidziane, bo bała się korków na drogach i tłoku w sklepach, kiedy trzeba będzie robić zakupy dla dzieci przed rozpoczęciem roku szkolnego. Załadowały więc samochód bagażami i z gromadką dzieci ruszyły w drogę, obiecawszy wcześniej babci, że wrócą w tym samym składzie na przyszłe wakacje. Valérie dodała, że postara się namówić również Jankę, żeby do nich dołączyła. Słońce jeszcze prażyło, ale przyroda kolorami sygnalizowała, że jesień jest już obecna. Mijając pola winogron, żałowały, że trzeba będzie czekać cały rok, żeby je znowu zobaczyć.

– Czy rozumiesz, Zosiu, dlaczego jestem tak bardzo przywiązana do Burgundii?

– Rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem. Jest tu pięknie, chociaż w zimie pewnie trochę groźnie. Myślę, że kiedyś zamieszkaż tu na stałe.

– Nie wiem, co mi przyniesie życie, ale ze wszystkich miejsc na świecie do tego jestem przywiązana najbardziej.

– Tak jak ja do Warszawy. Tylko nie wiem, kiedy będę mogła tam pojechać. Czy jeszcze kiedyś będę mogła.

Zamilkły obie pochłonięte własnymi myślami. Zosię przepełniały smutek i niepewność. Valérie myślała o swoich podróżach do Polski, dzięki którym zaszła w niej ważna przemiana. Też nie wiedziała, jak będzie wyglądało jej życie. W porównaniu z Zosią była jednak wolna. Mogła wybierać. Była niezależna. Poza tym miała liczną rodzinę, na której mogła polegać w każdej sytuacji. Przekonała się o tym niejednemu raz. Miała też przystań: dom rodzinny, dom babci, w którym wychowały się pokolenia jej przodków.

– Jak myślisz, Valérie, co będzie z Joanną i Zbyszkiem?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mało znam Zbyszka. Mówiłam ci kiedyś, przy okazji twoich problemów z Jackiem, że tak naprawdę to was nie rozumiem. Jesteście inni. Czasami zupełnie dla mnie niezrozumiali. Wasi mężczyźni są często czarujący, romantyczni, ale czy odpowiedzialni, tego nie wiem. W sumie poznałam ich trzech, Andrzeja, Jacka i Zbyszka, i zawsze pojawiał się podobny problem.

– A jak z Valerianem?

– Jeszcze nie wiem. Czuję, że sytuacja wyjaśni się na jesieni. Dzwonił po powrocie z Hiszpanii. Mówił, że dużo zrozumiał w klasztorze, gdzie był tylko sam ze sobą. Więc zaczekam.

Była już późna noc, kiedy w końcu dotarły do Paryża. Valérie zostawiła Zosię pod domem. Chciała jej pomóc wejść na górę z torbą i śpiącą Franciszką, ale Zosia stwierdziła, że da sobie radę. Najpierw postanowiła wnieść Franciszkę i położyć ją do łóżeczka, a później wrócić po torbę, którą zostawiła na klatce schodowej pod drzwiami dozorczy.

To, co uderzyło ją od razu, to zapach. Zapach Janki, jej perfum. Perfum, których nikt oprócz niej nie nosił. Właśnie, nie nosił, bo ona nosiła je tak, jak inne kobiety nosiły futra. Perfum mocnych, pełnych charakteru i eleganckich, jak ona sama. Czyżby Janka już przyjechała, by zabrać ją do siebie do Niemiec? Kiedy tworzyła drzwi, zobaczyła na podłodze damskie buty i porzucane ubrania. Na chwilę zamarło jej serce. Jacek i Janka?! Jak to możliwe? Przypomniała sobie, jak Jacek patrzył na Jankę, jaki był zmieszany w jej obecności. A Janka? Wydawało się, że go nie lubiła i pogardzała nim, nie rozwodziła się jednak zbyt na jego temat. Wycofała się przerażona. Nie, takiej prawdy nie była w stanie przyjąć. Czuła, jak wali jej serce, pot leje się z czoła, a mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Zeszła na dół. Dźwigając śpiącą

Franciszkę i ciężką torbę podróżną, tę samą, z którą przyjechała z Warszawy do Paryża, doszła z trudem do metra. Już nie kursowało. Po jakimś czasie udało jej się złapać taksówkę. *Rue des Écoles, s'il vous plaît*. Roztrzęsiona stanęła przed drzwiami mieszkania Valérie.

– Co się stało, Zosiu, dlaczego tu jesteś i dlaczego płaczesz?

Valérie wzięła od niej Franciszkę i wniosła do mieszkania. Zosia rzuciła na podłogę torbę i weszła do salonu. Przez łyzy w oczach zobaczyła siedzącą na kanapie Jankę.

– Janka! Ty jesteś tutaj, nie z Jackiem?

– Zosiu, przestań płakać. Coś się stało?

– Nic nie rozumiem. Poczułam na klatce twoje perfumy, myślałam, że jesteś u mnie w domu.

– Byłam tam wieczorem, pukałam do drzwi, ale nikt nie otwierał, więc przyjechałam do Valérie. A ponieważ jej nie zastałam, poszłam do Elke. Powiedziała, że pewnie niedługo wrócicie, więc kiedy zobaczyłam przez okno samochód Valérie, przyszedłam tutaj. Coś się stało? Dlaczego nie jesteś w domu?

– Bo zanim weszłam do mieszkania, na podłodze w przedpokoju zobaczyłam porozrzucane damskie ubrania.

– I myślałaś, że to ja?!

– Tak, poczułam twoje perfumy.

– Zosiu, właściwie powinnam się na ciebie obrazić do końca życia. Pomijając wszystko inne, ten twój Jacek nie wydaje mi się wart grzechu. Nie gniewaj się, ale to prawda. Co teraz robimy?

– Kładziemy dzieci spać. Są zmęczone i to nie jest temat dla nich – oświadczyła Valérie.

– Mam pomysł – powiedziała Janka. – Ta cała sytuacja nawet mi się podoba.

– Jesteś nienormalna – odpowiedziała Zosia.

– Tak, nienormalna – dodała Valérie i wybuchnęła śmiechem. – W sumie to ten cały dramat jest nawet zabawny.

– Jadę tam – oznajmiła Janka. – Daj klucze, Zosiu. Biorę swój aparat. Zdobę dowód jego zdrady, dzięki czemu będziemy górą. I powiedz, co ci przywieźć z mieszkania.

– Pudełko kartonowe, niebieskie, stoi na półce w pierwszym pokoju.

– To wszystko?

– Tak.

– Zapomniałam, że jesteś minimalistką. A co w nim jest?

– Moje dokumenty i parę zdjęć. Naszyjnik. Ale ja się o ciebie boję, Janka. Co zrobisz, jeżeli rzucą się na ciebie z pięściami?

– Umiem się bić. Ćwiczyłam ju-jitsu.

Janka zamówiła przez telefon taksówkę i wyszła z mieszkania. Nie wiedziała jeszcze, jak to rozegra, ale była wściekła. Zosia podejrzewała ją, że przespała się z tym głupim Jackiem. Trochę ją rozumiała, bo wszyscy wyczuwali jej obecność po perfumach, nawet po paru godzinach. Tak, *calandre* były niezrównane, jedyne w swoim rodzaju. Ale mimo wszystko Zosia powinna mieć do niej trochę więcej zaufania. A z tego Jacka jest niezły łajdak. Pomstowała na niego w myślach przez całą drogę. Wsiadła z taksówki i cicho weszła na szóste piętro. Następnie wstrzymała oddech, cichutko, nie robiąc hałasu, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Wszędzie na podłodze leżały porozrzucane w nieładzie ubrania. Zostawiwszy uchylone drzwi, zdjęła z półki niebieski karton i wystawiła go za próg. Przygotowała aparat, włączyła lampę błyskową. Sprzęt był profesjonalny, reporterski, więc nie potrzebowała dużo czasu. Dała sobie minutę. Weszła do pokoju. W świetle dochodzącym przez okno zobaczyła dwa pograżone we śnie ciała, leżące na łóżku z rozrzuconymi na boki rękami i nogami. Niewiele się

zastanawiając, uruchomiła aparat. Najpierw przez ułamek sekundy słychać było cykanie aparatu, następnie pokój zalało światło flesza, a potem śpiący podnieśli wrzask. Nie, to nie był wrzask, raczej coś w rodzaju skowytu wydawanego przez kogoś, kto doznał straszliwego bólu. Janka powinna już być na zewnątrz, zbiegać ze schodów z kartonem. Nie mogła jednak zrezygnować z przyjemności konfrontacji. Dała sobie jeszcze kilka sekund. Dziewczyna wpadła w histerię, a Jacek doszedł do siebie i rozpoznał Jankę. Widziała to po jego spojrzeniu. Jeszcze nie wszystko rozumiał, ale wiedział, że to ona. Dziewczyna zerwała się z łóżka, by ją dopaść. Zrobiło się niebezpiecznie. Janka w ułamku sekundy pojęła, że ta okrągła, ciężka postać jest zdolna do wszystkiego. Umknęła zwinnie i po chwili razem z niebieskim kartonem była już na schodach. Dochodziły ją jakieś słowa po hiszpańsku, najprawdopodobniej obelżywe. Nie rozumiała ich znaczenia. Na dole stanęła oko w oko z zaspanym dozorcą. Rozpoznał ją.

– Coś się stało?

– Myślę, że to awantura, może trzeba wezwać policję.

Wbiegła do czekającej na nią taksówki. Taksówkarz z zaciekawieniem spojrzął na zwisający z jej szyi aparat.

– A pani to turystka nocna?

– Coś w tym rodzaju.

Kiedy wróciła na rue des Écoles, Zosia i Valérie, obie mocno zaniepokojone, czekały na nią. Valérie już się przebrała w koszulę nocną. Na stole stały talerze i filiżanki po kolacji.

– Dacie mi coś do jedzenia? Umieram z głodu. I może szklaneczkę czegoś mocniejszego. Za dużo emocji.

– Damy, ale może opowiesz, co się stało – odpowiedziała Valérie.

– Jacek był w łóżku z babą. Tłustą babą. W dodatku wściekłą.

Valérie wybuchnęła śmiechem.

– Nic dziwnego, że była wściekła, skoro wparowałaś tam w środku nocy i oślepiłaś ich światłem flesza.

– Co robimy?

– Idziemy spać, a jutro z samego rana wyruszamy do Bawarii. W końcu i tak miałaś tam ze mną pojechać mniej więcej o tej porze. No może parę dni później.

– Zaraz będzie świtać.

– W takim razie jemy śniadanie i jedziemy, a jeżeli Jacek tu przybiegnie, nie wpuścimy go do mieszkania. Będziemy udawać, że nikogo nie ma. Jesteście jeszcze w Burgundii, tak jak było planowane. Miałycie przecież wrócić dopiero za cztery dni.

Valérie mimo całego dramatyizmu sytuacji była rozbawiona. Zosia natomiast zdawała się obojętna, zmęczona. Nie zapytała o nic.

– Co mam powiedzieć Jackowi, jeżeli jednak uda mu się ze mną skontaktować? – zapytała Valérie.

– Udawaj, że nic nie wiesz. Powiedz, że Zosia pojechała do Niemiec prosto z Burgundii. Będzie dzwonił do mnie.

Kiedy wsiadały do samochodu Janki, na dworze było jeszcze szaro, a ulice prawie puste. Janka ruszyła i obie odetchnęły z ulgą. Przez parę godzin słuchały jazzu. Nie rozmawiały, czuły się zmęczone. Po kilku godzinach zjechały z drogi do jakiegoś małego miasteczka, żeby kupić coś do jedzenia, trochę odpocząć i zjeść obiad, smaczniejszy niż te w przydrożnych zajazdach. Franciszka zaczęła grymasić. Zasnęła dopiero po południu, ukołysana miarowym ruchem samochodu. Zosia również miała ochotę zamknąć oczy, ale widziała, że Janka jest bardzo zmęczona. Musiała dotrzymać jej towarzystwa. Jej przecucie potwierdziła Janka.

– Mów do mnie. Boję się, że zasnę.

– Może zatrzymamy się przy jakimś zajeździe i zdrzemniemy się na chwilę?  
– Tak zrobimy, ale na razie nie ma zjazdu z autostrady.  
– Powiedz, Janka, jak to jest z mężczyznami? Czy ci prawdziwi są tylko w książkach?  
– Nie, na cmentarzach.  
– Tylko?  
– I w więzieniach, albo działają w podziemiu, tak jak wujek Franek.  
– Smutne jest to, co mówisz.  
– Taka jest prawda. Nie wiem, czy zauważyłaś, że w Polsce jest jakiś problem z mężczyznami naszego pokolenia. Mamusino-komunistyczne wychowanie produkuje fajtlapy, wygodnickich i leni.

– Co ja mam zrobić? Przecież nie zostanę na zawsze u ciebie. W Niemczech. Gdybym mogła, wróciłabym do Polski...

– Na razie nie możesz. I nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy mogły tam pojechać. Możemy się tylko modlić i mieć nadzieję. Na razie zostaniesz u mnie. Później, jeżeli zechcesz, możesz wrócić do Paryża. Mam przyjaciół, którzy są właścicielami galerii, na pewno będziesz mogła dla nich pracować. Znajdziemy ci jakieś niedrogie mieszkanie. To nie jest najważniejsze. Ważne, żebyś w końcu uwierzyła w siebie. Żebyś wiedziała, że zasługujesz na kogoś wartościowszego niż Jacek.

Znowu jechały w milczeniu. Janka podkreśliła trochę głośniej radio. Zosia widziała po jej twarzy, że słucha muzyki, poruszała się delikatnie w jej rytm.

– Zosiu, opowiedz coś śmiesznego. Rozmawiamy tylko o trudnych sprawach. Odłóżmy je na razie na później.

Zosia zastanawiała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się radośnie.

– Dobrze, ale to smutna historia, którą opowiedziała mi kiedyś Joanna.

– To dlaczego się uśmiechasz?

– Bo mimo wszystko mnie rozbawiła.

– No więc?

– To jest historia, którą opowiedziała mi Joanna. Chłopak przyjechał do Francji, żeby zarobić trochę pieniędzy, wynajął się do opieki nad psem u pewnej rodziny, która wyjeżdża na wakacje na wyspy. Pies był stary i chory, a na dodatek bardzo duży, labrador. Dlatego właściciele nie mogli zabrać go ze sobą. Chłopak zajmował się psem, jak tylko potrafił, ale ten zdechł. Co tu robić? Głupio mu było, że pies zdechł akurat wtedy, kiedy był pod jego opieką. W dodatku nie miał pojęcia, co zrobić z ciałem. Nie stać go było, żeby oddać zwłoki do skremowania. Jakiś inny znajomy zgodził się zakopać ciało w ogródku. Chłopak wsadził więc psa do wielkiego solidnego worka na śmieci i ruszył w drogę. Na dworcu RER-u podbiegło do niego dwóch czarnych i zapytało: „Co tam masz?”. „Wynyle” odpowiedział. Nie mógł przecież powiedzieć, że zdechłego psa. Wtedy oni wyrwali mu wór i uciekli. Gonił ich przez jakiś czas, dopóki nie wskoczyli do odjeżdżającego pociągu.

Janka wybuchnęła śmiechem, którego nie mogła opanować. I nie było w tym momencie ważne, czy była to historia prawdziwa, czy zmyślona. Ważny był śmiech, bo po tym wszystkim, co przeżyła, najbardziej ze wszystkiego potrzebowała śmiechu. Wcisnęła przycisk świateł awaryjnych i skręciła na obrzeże szosy.